

PIEŚŃ O HILDEBRANDZIE
(pocz. w. IX)

Słyszałem, jak powiadano,
że się wyzwali pośród dwu wojsk
na pojedynek — Hildebrand i Hadubrand.
Syn i ojciec sposobili swój rynsztunek,
poprawili odzież, przypasali miecze
na pierścieniach pancerzy i konno ruszyli do walki.
Hildebrand przemówił — starszy, hartowny,
doświadczeńszy w życiu; jął się dopytywać
w słowach niewielu, między wojakami
kto jest jego ojcem...

«lub jaki jest ród twój?

Wymień mi jednego, będą wiedział o innych
w całym państwie: znam wojaków co lepszych». 11
Hadubrand odrzekł chrobry, syn Hildebranda:
«Przed laty mówili mi nasi ludzie,
starzy i mądrzy, którzy byli drzewiej,
że Hildebrand zwał się mój ojciec; jam jest Hadubrand.
Na wschód on uciekł przed Otakera gniewem
dawno z Dytrychem i wielu wojakami.
W domu swoim zostawił w niedoli
małżonkę i syna, malca wówczas, bez mienia
wszelkiego, gdy na wschód wyruszył.
Dytrych bowiem dręczył się tak i tęsknił
za moim ojcem — zupełnie wyklęty.
Był on ogromnie zły na Otakera,
a dla Dytrycha — z wojaków najdroższy.
Jeździł jeno na czele ludu, lubił jedynie szermierkę,
znali go dobrze... męża odważni...»
«Niech zaświadczy Najwyższy wysoko w niebie,
że nigdy przecie z tak bliskim krewnym
nie stawałeś do boju...»

Wówczas zdjął z ramienia skrócone sprzązki
z cesarskiego złota, otrzymane w darze od króla,
Hunnów władcy: «To składam ci w hołdzie!»
Ozwie się Hadubrand, syn Hildebranda:
«Dary oszczepem należy zdobywać,
ostrze przeciw ostrzu...»

Staryś ty, Hunnie, a chytry bez miary,
nęcisz mnie swemi słowy, chcąc lancę na mnie cisnąć;
tak bardzoś stary mąż, a zawsze niewierny.
Powiedzieli mi to ci, co jeżdżą po morzu,
tam po zachodniem, że zabrała go wojna:

zmarł już Hildebrand, syn Heribranda.
 Ale owszem widzę po twym pancerzu,
 że masz tam w domu pana dobrego,
 żeś nigdy z państwa nie musiał uciekać».
 Zawoła Hildebrand, syn Heribranda:
 «Biadaż mi, mocny Boże, nieszczęście jest bliskie.
 Wiosen i zim sześćdziesiąt wędrowałem poza krajem,
 odkąd mnie przygarnięto do ludu strzelców.
 Przed żadnym grodem nikt nie zadał mi śmierci krwawej,
 aż oto ma mnie przebić włócznia własnego syna,
 ma mnie on mieczem powalić, albo ja mu śmierć zadam.
 Możesz przecie poprośtu, gdy zapalu ci starczy,
 pozyskać zbroję starca
 i zdobycz zagarnąć, jeśli masz jakie prawo...»
 «Byłby jednak największym tchórzem z ludzi wschodnich,
 kto by ci odmówił walki, skoro masz chęć taką
 do pojedynku. Niech walka rozstrzygnie,
 kto ma dzisiaj postradać swą zbroję,
 albo też posiąść pancerze obudwu».
 A wtedy najpierw cisnęli lance jesionowe —
 silnie wzruszeni; lecz wstrzymały je tarcze.
 Następnie zderzyli się razem do walki na miecze,
 cięli boleśnie w błyszczące tarcze,
 aż drzewo lipowe rozbili na drzazgi,
 zmiażdżyli orężem...

(Brak końca; prawdopodobnie zwyciężył Hildebrand i, stojąc nad zwłokami syna, opłakiwał zniszczenie własnego rodu.)

Thum. Alfred Tom.

Z «PIEŚNI O ANNONIE»

(II poł. w. XI)

Słuchamy o ludziach bitnych
 Z dziejów starożytnych:
 Jak rycerze walczą stałą,
 Jak warowne zamki wałą,
 Jak przyjaźń najstalsza ginie,
 Z królestw bogatych — pustynie.
 Już czas o tem myśleć sobie,
 Jak skończymy wszyscy w grobie.
 Boć Chrystus, Pan nasz sprawiedliwy,
 Ciągłe czyni tak wielkie dziwy —
 Jakich w Siegburg dokona
 Przez mądrego męża Annona,
 Co był biskupem oraz świętym,
 Jego wzniosłą wolą tkniętym,
 Byśmy baczyli wciąż na siebie,
 Jeśli kiedyś chcemy być w niebie,
 Gdzie po tych jękach i skowycie
 Dane nam będzie wieczne życie!

Gdy Lucyper, złem zajęty,
 I Adam łamie zakaz święty,
 Pan gniewem płonie; tem mocniej go boli,
 Że inne dzieła szły po jego woli.

Księżyc i słońce się wznoszą,
 Rozsiewają blask w rozkoszą;
 Gwiazdy w dawnym biegu drżącym
 To sypią lodem, to palą gorącym;
 Ogień w górę zwraca lot,
 Huczy wiatr i ryczy grzmot;
 Wgórze z deszczem obłok długi,
 A na ziemi płyną strugi;
 Kwiatami łąka się odziewa,
 Bór rozciąga gęste drzewa;
 Zwierz tam, gdzie puszcza straszliwa;
 Ptaszek słodko się odzywa.
 Wszystkie dzieła są w porządku,
 Jaki Bóg dał od początku;
 Tylko z dwóch stworzeń na ziemi,
 Najlepszych między wszystkimi,
 Każde się z głupstwa odmienia,
 Stąd na świat spadły cierpienia.

Kłóż jego dobroci nie zaznaje?
 Spójrzcie na jego obyczaje!
 Był szczery w każdym swoim słowie,
 Wszędzie za prawdą się opowie;

Jako lew siedział przed książęciem,
Przy biednym stawał się jagnięciem;
Dla złych okrutny był i srogi,
Dla dobrych miał zawsze uśmiech błogi:
To też wdowy i sieroty
Sławiły jego wielkie cnoty.
Rozgrzeszał mądrze, a kazanie

Wygłaszać umiał niezrównanie;
Tyle rozłaczał namaszczenia,
Że był przedmiotem uwielbienia
Dla tłumów, co tam przychodziły:
Ale i Bogu Anno był miły.
To też Kolonja czuła się szczęśliwa,
Że biskupa tego swoim nazywa.

Tłum. A. J. Szabrański i Alfred Tom.

PIEŚŃ O NIBELUNGACH

(ok. 1200)

JAK ZABITO ZYGFRYDA

Krynica przejrzysta chłodna;
Choć go widok ten zachwycił,
Wstrzymuje się, pragnie, by król
Pierwszy zdrojem się nasycił.

Przybiegł Gunter, padł na ziemię,
Do zdroju usta przyłożył —
Pije chciwie, potem powstał —
Po omdleniu jakby ożył.

Zygfryd schylił się do wody —
Hagen krzyż na szacie zoczył,
Usunął miecz i pociski,
Porwał oszczep, nabok skoczył.

A kiedy Zygfryd szlachetny
Z czystego zdroju pił,
Hagen w znak krzyża uderzył
I oszczep żelazny wbił.

Z tej rany krew trysła zdrojem,
Zalala Hagen szaty.
Tak wielkiej, tak strasznej zbrodni
Nie było nigdy przed laty.

Morderca w trwodze ucieka,
Twarz zbladła, drżą mu kolana.
Zygfryd się silny porywa —
Ogromna na piersiach rana.

Ryczy; głos się odbija
Od zdroju przez góry, gaje.
Oszczep żelazny pierś przeszył
I z piersi długo wystaje.

On sięga po miecz, pociski,
Choć się we krwi własnej tarza,
Chce jeszcze ostatkiem siły
Zmiażdżyć mordercę, zbrodniarza.

Lecz śmiertelnie ranionemu
Kto miecza dostarczy?
Nie już nie ma obok siebie,
Prócz swej jednej tarczy.

Tarcz złoconą pochwycił,
Trzyma w drżącej dłoni
I zdrajcę, przeniwiercę,
Krwia obłany, goni.

Choć śmierć bliska rwie mu siły,
Zerwał się i cucił;
Potem tarczą raz ostatni
Za Hagenem rzucił.

Upadła na ziemię z hukiem,
A z ozdoby złotej
Rozsypały się wokoło
Błyszczące klejnoty.

Tarcza tylko Hagenowi
Ramię zboku ściera;
Z piersi Zygfryda rozdartej
Boleść się wydziera.

Jeszcze gdyby miecz miał w rękę,
O! ścigałby dalej,
Bo go tyle rana w piersiach,
Co i zemsta pali.

Zbladła twarz, nogi się chwieją,
Ostatek sił z ciała ginie —
Gaśnie życie. Ileż po nim
Z pięknych oczu lez popłynię!

Padł na kwiaty wśród zieleni
Z ciężkiem przeciągłym westchnieniem;
Krew z ran, żelazem zadanych,
Wielkim się leje strumieniem.

On miota przekleństw tysiące
Na tych, co, zmówieni skrycie,
Tak zdradziecko, tak nikczemnie
Młode wydarli mu życie.

Tak jęczy: «Zdrajcy! mordercy!
Waszym byłem w każdej chwili!
Cóż mi pomogły zasługi!?
Wyście mnie wreszcie zabili.

«Byłem tak wierny, że za was
Sił poświęcałem ostatek;
Teraz daliście krewnemu
Pięknej przyjaźni zadatek!

«Pastwicie się nad bezbronnym,
Zdradą nasycacie gniew!
Hańba z takiego morderstwa
Niech spada na waszą krew!

«Od dnia dokonanej zbrodni
Niech wam serce ból wyjada,
Niech was ściga bezustanku
Wściekła nienawiść i zdrada!»

Wszyscy tam biegną rycerze,
Gdzie Zygfyrd leży krwią zlany.
Przeraża ich i oburza
Wypadek tak niespodziany.

Każdy go ze czcią wspomina,
W kim jeszcze cnota się budzi;
Bo nieszcześliwy bohater
Posiadał miłość u ludzi.

Stoi król Burgundów we łzach,
Z zgryzotą w sercu tajemną;
Rzekł mu umierający:
«I tyś zapłakał nade mną?»

«Kto płacze nad morderstwem,
Którego sam jest przyczyną,
Godzien pogardy i hańby,
Łzy zdradzieckie z oczu płyną».

Hagen przybiegł, z gniewem woła:
«Poco te łzy? poco jęki?
Raz się kończą na tej ziemi
Nasze cierpienia i męki.

«Dla mnie chwała z mej dzielności!
To mi zawsze będzie miłem,
Że tę nadludzką potęgę
Sam jeden tylko rozbiłem!»

«Chęć się z twych mordów zdradzieckich» —
Zajęknął Zygfyrd przy zgonie —
«Jakżebyś cię zgniótl był snadnie
W twych potężnych zdrajców gronie.

«Gdybym mniej w uczciwość wierzył,
Znał zdradę, co mi tajono...
A teraz żal serce ściska,
O, ty biedna moja żono!

«Oby syn mój dorósł mężny,
Oby w sercu mu została
Ta myśl jedna, że mu ojca
Rodzina zamordowała!

«Dosyć już zbrodni, Gunterzel
Stało się, przestaśmy na tem.
Dla mej żony, dla twej siostry
Bądź opieką, bądź raz bratem!

«Ojciec mój wróci ze swymi,
A wy, zbrodniarze zuchwali,
O tem tylko pamiętajcie,
Żeście mnie zamordowali!»

Kwiateczki drobne i trawki
Strumień krwi szkarłatnej broczy;
On się rzuca, walczy z śmiercią,
Ale zwolna gasną oczy.

Bo w głąb zapadłe żelazo
Przecięło żywotne tchnienie.
W gronie zebranych rycerzy
Jedno głębokie milczenie.

Kiedy już wszyscy ujrzeni,
Że serce bić w nim przestało,
Na swoje złocone tarcze
Złożyli Zygfylda ciało.

I niosą w jednym orszaku,
A myślą i radzą skrycie,
Jak to utaić przed światem,
Że Hagen wydarł mu życie.

Na to się godzą, by głośić,
Że Zygfyrd, łowów niesyty,
Sam się w głąb puszczy zapędził
I tam przez zbójców zabity.

Hagen rzekł: «Głoście, co chcecie,
Mało dbam, jak się to wyda;
Ciężko płakała Brunhilda,
Niech płacze żona Zygfylda».

Tłum. A. J. Szabrański.

HAGEN Z VOLKEREM NA STRAŻY

Zgasło dnia światło, noc już naokoło mroczy,
Gościom, drogą zmęczonym, senność klei oczy,
Każdy myśli, gdzie spocznie, jakie znajdzie łoże.
Hagen nalegał, dłużej nikt zwlekać nie może.

Więc Gunter rzekł do króla: «Niechaj Bóg was z nieba
Ma w opiece! Żegnajcie! Już nam spać potrzeba;
Jeżeli łaska wasza, jutro znów tu staniem».
Król z wesołem odprawił gości pożegnaniem.

Tłoczyli się, cisnęli rycerze dokoła,
Aż Volker gromkim głosem na Hunnów zawoła:
«Jak śmiecie moim panom tak pod nogi lazić?
Na ustępl! Albom gotów którego obrazić!

«I tego lub owego tak pokropię smykiem,
ż przyjaciele będą z lamentem i krzykiem
Po nim płakać. Precz z drogi! Choć nam wspólne miano
Rycerzy, lecz nam męstwo niejednakie dano!»

Gdy im Volker te gniewne słowa w oczy rzucił,
Zuchwały Hagen także ku nim się odwrócił
I rzekł: «Otóż nam radzi dzielny grajek szczerze.
Idźcie spać do gospody, Krymhildy rycerze!

«Zaczepekki szukać dzisiaj już za późno, ano,
Jeżeli taka wola, przyjdźcie jutro rano.
Dzisiaj dajcie nam spokój! Myślę, że w tej mierze
Tak sobie poczynają zawsze cni rycerze».

Zaprowadzono gości do obszernej sali,
Tam już dokoła łoża gotowe zastali,
Wielkie, długie, wygodne, zaścielone suto.
Tymczasem u królowej zgubę dla nich knuło.

Pościel była wspaniała: tkanina powabna
Z Arras lub materyja arabska jedwabna
Jak najprzedniejsza każde posłanie zalega,
Świetnym galonem wkoło zdobiona u brzegu;

Przykrycia z gronostajów lub z czarnych soboli.
Więc rycerze wygodnie wyspać się dowoli
Mogli noc całą, póki nie zbudzi ich zorza;
Nigdy król z świtą nie miał wspanialszego łoża.

«Smutny to nocleg», młody Gizelher powiada,
«I biada naszym wiernym towarzysmom, biada!
Bo choć siostra nas mową witala łaskawą,
Boję się, że zginiemy wszyscy za jej sprawą».

«Porzućcie troskil» śmiały Hagen mu odrzeczce,
«Stanę tę noc na straży i będę miał pieczę.
Myślę, że was ustrzegę, aż nie wzejdą zorze.
Śpijcie, jutro niech każdy broni się, jak może».

Pokłonili się wdzięcznie, iż taką usługą
Im wygodził; spać poszli, za chwilę niedługą
Legli, by po podróży znojach odpoczywać,
A Hagen jął się zbroją wojenną okrywać.

Ale wtem rzekł do niego skrzypek Volker śmiały:
«Jeżeli nie wzgardzicie, to aż po dzień biały
Z wami, Hagenie, nocnej straży się podejmę».
Dziękował Hagen i te słowa rzekł uprzejme:

«Bóg ci zapłać, Volkerze, żeś pomagać gotów.
Niczegobym nie pragnął wśród moich kłopotów,
Jeno, abys w niedoli zawsze pomógł szczerze.
Odwdzięczę ja się, chyba że mnie śmierć zabierze!»

Ogarnęli się rażno, kryty jasną zbroją
Każdy zuch bez namysłu tarcz pochwycił swoją,
Stanęli u drzwi domu, gdzie królowie legli,
I wiernie swoich druhów przez noc całą strzegli.

Po chwili śmiały Volker tarcz wypróbowaną
Odejmuje z ramienia, opiera pod ścianą,
Wraca nazad do sali i swe skrzypki bierze.
On swoim towarzyszom lubił służyć szczerze.

Siadł sobie na kamiennej ławie pode drzwiami
Ten grajek najdzielniejszy pomiędzy grajkami,
A kiedy z skrzypek słodkie popłynęły dźwięki,
Wszyscy mu towarzysze jęli składać dzięki.

Brzmiały struny, po domu rozległy się tony,
Boć on w sile i w sztuce równie wyćwiczony;
To znów druhom tak słodko, mile kwilić zaczęć,
Iż zapomniawszy troski, zasypiali smacznie.

A gdy spostrzegł, że wszyscy spoczęli w uśpieniu,
Złożył skrzypki, tarcz znowu zwiesił na ramieniu,
Wyszedł z domu, na straży stanął pode drzwiami,
By gości przed Krymhildy bronić rycerzami.

O północy lub może nieco przed północą,
Ujrzał Volker, jak przed nim szyszaki migocą
Wdali pośród ciemności. Była to gromada
Wojów Krymhildy, obcym gościom szkodzić rada.

Więc rzekł grajek: «Słuchajcie, druhu mój Hagenie!
Wypada nam obydwom podzielić strapienie:
Widzę, iż ku nam zbrojni mężowie nadchodzą;
Jeżeli się nie mylę, na nas oni godzą».

«Niech bliżej przyjdą», Hagen na to mu odrzeczę,
«Nim nas spostrzegą, pierwiej zrąbią nasze miecze
Hełm niejeden, gdy na nich spadniem niespodzianie.
Odeśleń ich królowej w nieszczególnym stanie».

Lecz jeden z napastników obaczył zawczasu,
Że przy drzwiach straż, więc szybko rzecze bez hałasu:
«Nic z tego! Jakoś nam się w zamiarach nie darzy,
Bo spostrzegam, że grajek stoi tam na straży.

«Jasny szyszak na głowie ma on rycerz hardy
Z lśniacej stali, niezgięty, hartowny i twardy,
A po pancerzu niby ogień się przesuwa.
Przy nim Hagen. Wyborna straż nad nimi czuwa».

Więc z niczem powrócili, nie czekając dłużej.
Na ten widok w Volkerze krew się cała wzburzy.
«Pozwólcie, pójdę ku nim, chcę jeszcze pogadać
Z zuchami, aby jedno pytanie im zadać».

«Nie, gwoli mnie daj pokój!» Hagen mu odrzecz,
 «Gdy odejdziesz od domu, mogą cię ich miecze
 W trudne przywieść opaly; już cię dopomogę,
 Lecz przez to mam rodzinę całą zgubić mogę.

«Bo kiedy z tą czeredą my się będziemy bili,
 Może się dwóch lub czterech dobrać w jednej chwili
 Do domu i tam takiej szkody nas nabawić
 Wśród śpiących, że nikt tego nie zdoła naprawić».

Więc prosił Volker, aby mu pozwolić racył
 Choć na jedno: «Niech wiedzą, iżem ich obaczył,
 Aby jutro nam w oczy wyprzeć się nie śmieli,
 Iż nas dzisiejszej nocy zdradnie podejść chcieli».

I zaraz krzyknął na nich grajek z całej mocy:
 «Przec tak zbrojno chodzicie, rycerze, po nocy?
 Czyście wyszli na łupież? W wyprawie takowej
 Pomożemy wam obaj, hej, zuchy królowej!»

Nikt mu nie odpowiedział, więc grajek zacięty:
 «Tchórze, tchórze obrzydli!», wolał gniewem zdjęty,
 «Chcieliście nas uśpionych mordować jak zbóje?
 Tego nie czyni rycerz, co swą godność czuje».

Tłum. Ludomił German.

Z «GUDRUNY»

(ok. 1210).

PRZYBYCIE ORTWINA I HERWIGA

Czekały długo, długo; wzrok ich po morzu brodzi;
 Wtem dwóch, nikogo więcej, spostrzegły w jednej łodzi,
 I do królowny Gudrun tak wraz Hildburga powie:
 «Dwaj, widzę, płyną ku nam; zapewne twoi będą to posłowie».

I rzecze boleściwa: «O, biedna ja dziewczojal
 Miłości oraz żalu pełna jest dusza moja!
 Jeśli to posły Hildy i jeśli mnie zobaczą
 Piorącą na tych żwirach, gdzież się podzieję z wstydem i rozpaczą!

«Sam Bóg mnie snąć opuścił, że nie wiem, co uczynię!
 Hildburgo, druho moja, daj mi swą radę ninie:
 Czy uciec precz, czy posłom ukazać swoją postać,
 Okrytą takim wstydem? raczej na zawsze służebnicą zostać!»

Odrzecz jej Hildburga: «Co czynić nam wypada,
 Sama najlepiej wiecie, zbyteczna moja rada!
 Ja z wami zniosę wszystko, przecierpię wszystkie bole,
 Nie rzucę was przenigdy, razem na dolę pójdę i niedolę».

I w stronę ku domowi zwróciły się tej chwili.
 Lecz obaj ci mężowie tak blisko miejsca byli,
 Że oczy ich odrazu na brzegu je spostrzegły,
 Poznali też niebawem, że swej odzieży radeby odbiegły.

Wnet z łodzi wyskoczyli i zawołali na nie:
 «A naco, piękne praczki, to chyże uciekanie?
 My obcy tutaj ludzie, odgadnąć łatwo przecie,
 Ze płótno swe odbiegłszy, przez nas na zawsze stracić je możecie».

Udały, że nie słyszą z tej rady ani słowa;
A przecież do ich uszu dotarła wszystka mowa,
Gdyż głos Herwiga-króla donośny był i gruby.
Hej! weale on nie przeczuł, że był tak blisko swojej dziewczki lubej.

rzeki im pan na Sêven: «Czyjaż ta odzież, czyja?
Powiedcież, gdy nam trochę wasze serce sprzyja,
Na honor wszystkich dziewic prosimy was to szczerze:
Niewiasty wy nadobne, i pocóż rzucać macie to wybrzeże!»

Szlachetna rzekła Gudrun: «O, wiem, że wstyd mnie spali,
Jeśli na honor dziewic, na któryście wezwali,
Sama dziewicą będąc, ukryję to przed wami.
Niedarmo prosiliście, choćbym się tutaj miała zalać łzami!»

W koszulach przyszły ku nim — koszule te zmoczone!
Czy zniosłyby to dawniej cne białogłowy one?
Od mrozu dzisiaj drżały te biedne służebnice —
Tak nędzny był ich żywot, a wiatr marcowy śniegiem dał im w lice!

Było to w onej porze, gdy zima już uchodzi,
Gdy ptactwo na wyścigi piosenki swe zawodzi,
Do chwil marcowych strojąc ten swój rozhovor słodki.
ak często spotykano w śniegu i lodzie te biedne sierotki!

Z włosami rozwianemi cne dziewczki się zbliżyły;
Jak te ich zwoje dawniej nadobne zawsze były!
A dzisiaj wiatr marcowy warkocze im rozrzucił
Na śniegu i na deszczu! O, jak ten ciężki los te biedne smucił!

Na morzu lód wokoło pokrywał jeszcze fale,
Zaczawszy ledwie topnieć. Wielkie ich były żale:
Prześwieca przez koszule, niby ten śnieg bielutki,
Ich ciało. Widok obcych sprawił ich sercu nazbyt gorzkie smutki.

«Dniem dobrym» je powitał król Herwig w ten poranek;
To słodkie pozdrowienie zbyt mile dla wygnanek:
Na służbie u złej pani cierpienia znoszą mnogie —
«Dzieńdobry!» «Dobrywieczór!» nadzwyczaj były tym dziewczicom drogie.

«Powiedźcie nam», pan Ortwin odezwie się tej pory,
«Do kogo to należą kosztowne te ubiory
Lub komu je pierzecie? Wdzięk we was tak uroczy!
I któż to was tak męczy? Niech Bóg od niego swe odwróci oczy!

«Tak piękneście, że obu w koronach tylko chodzić
Jeśliby to się mogło i z rodem waszym zgodzić,
To z każdej z was uczciwie byłaby cna królowa!
Czy ten, komu służycie, takich tam więcej ślicznych praczek chowa?»

I rzekła piękna dziewczka, tonąca w swej żalobie:
«Piękniejsze ma on jeszcze niżeli my tu obie.
Pytajcie, o co chcecie; gdy ujrzy pani z wieży,
Że z wami rozmawiamy, to nam niebawem pokutę wymierzy!»

«Przyjmijcie bez urazy to złoto z naszej ręki,
Te cztery dobre spiny zabierzcie jako dzięki
I chcecie — my je radzi dajemy, piękne panie —
Nie czując do nas żalu, wraz odpowiedzieć na nasze pytanie».

«Niech wyjdzie wam na szczęście ta każda wasza spina,
Nagrody nie pragniemy», odpowie mu dziewczyna,
«Pytajcie, o co chcenie, nam pora już do domu,
Bo jeśli nas zobaczy, to bólu dozna me serce i srom!»

«Czyż to jest dziedzictwo i te bogate łany,
I te wspaniałe grody? Jak jest ten nazwany,
Co tak was bez odzieży tę służbę spełniać zmusza?
Wiedzialby, że to niecznie, jeśli by dbała o cześć jego dusza».

«Hartmut — to jeden książę», tak dziewczka odpowiada,
«Ten ziemie ma rozległe i nad grodami władą,
A drugi zwie się Ludwik, normandzkiej dziedzic ziemi,
Dzielnego pan rycerstwa: ci dwaj panują tutaj berly cnemi».

Na to Ortewin rzecze: «Pragniemy ich zobaczyć;
Urocze wy dziewoje, umiecież nam oznaczyć,
Gdzie obu spotkać można? Posłyszeć myśmy radzi:
Wysłano nas tu właśnie. I my z królewskiej jesteśmy czeladzi».

Odrzeknie wzniosła Gudrun: «Dzisiejszym rankiem, wcześniej,
Gdym wyszła, obaj w zamku leżeli w łóżach we śnie;
Rycerze — cały tysiąc i czterysta — pełnili
Straż przy książętach śpiących. Nie wiem, czy w domu są jeszcze tej chwili».

Król Herwig na to rzecze: «Powiedzcież, dziewczki moje,
Dlaczego taki ciężar te dzielne znoszą woje,
Że tylu aż rycerzy trzymają w każdej porze?
Jabym królestwo zdobył, gdybym ten hufiec miał na swoim dworze».

Odrzekną białogłowy: «Nieznane są nam sprawy,
Nie wiemy, jak książęce rozsiadły się dzierżawy.
Jest tylko kraj — to wiemy — co Hegelingen zwie się:
Boją się po wsze czasy, że on im wrogów okrutnych przyniesie».

Ze zimna wielce drżały nadobne te dziewczęta.
Tak rzecze im król Herwig: «Nie będzież nam pojęta
Ta prośba za urazę: Czybyście u wybrzeży
Tych mroźnych nie raczyły przyjąć, panienki, coś z naszej odzieży?»

Odpowie córka Hildy: «Niech Bóg na szczęścia wiele
Obróci wam te płaszcze, lecz u mnie na mem ciele
Przenigdy męskiej sukni nie ujrzy ludzkie oko».
Gdyby wiedziały wszystko, nie ważyłyby tego tak głęboko.

Herwig z nadobnej dziewczki nie spuszczał prawie wzroku,
Tak pełną mu się zdała lubości i uroku,
Że aż mu się westchnienia w bolesnem rodzą tonie:
Do tej snąć jest podobna, o której nieraz w słodkich dumach tonie.

Wtem Ortwin, król Ortlandu, to do nich zwróci słowo:
«Pytam was, dziewczki obie, nie znacie przypadkowo
Drużyny, która niegdyś zjawiała się w tej ziemi?
Śród niej tam była jedna, imieniem Gudrun zwana między swemi».

«Wiadomo mi», powiada na słowa te dziewczyna,
«Że w dawne lata przyszła do ziemi tej drużyna;
Do dzierżaw tych przybyła po czasie wielkiej wojny:
Bezdomne te niewiasty zbladły od bólu i od troski znojnej».

Powiada: «W wielkim trudzie widziałam tę niebogę,
O którą się pytacie, i wyznać wam to mogę».
Toć ona była właśnie przygnana przez Hartmuta,
Nieszczęsna, biedna Gudrun, ją to spotkała taka doła luta.

Tedy król Herwig rzecze: «Patrzajcie, Ortewinie!
Jeżeli jeszcze w świecie, w jakiej tam bądź krainie,
Od śmierci się Gudruna, siostrzyca wasza, broni,
To ona jest nią właśnie, nigdzie nie widział tak podobnej do niej».

Odpowie król Ortewin: «Przeluby wzór dziewoi,
Lecz wcale nie podobna do słodkiej siostry mojej;
Z młodości nas obojga pamiętam jeszcze czasy,
Że w krąg na całym świecie nie było dziewczki tak uroczej krasyl»

Kiedy tak druha zdradził, że Ortwin jest z nazwiska,
Tak w niego swe badawcze spojrzenie ciągle wciska
Gudruna, biedna dziewczka. Dowiedziećby się rada,
Azaliż on jej bratem: to jej męczarniom kres ostatni zada.

«Jakkolwiek się zowiecie, znać, że z was rycerz dobry,
I mnie był znan bohater, podobny do was, chobry,
Ten Hartwig był imieniem, z Morskich-Ziem pochodził.
O, gdyby żył jeszcze, z tychby nas ciężkich więzów wyswobodził.

«I mnie króla Hartmuta przywiodły wojsk szeregi,
Ująwszy wraz z innemi, przez morze na te brzegi;
Lecz jeśli wy Gudruny szukacie, to bez celu:
Dziewica z Hegelingen zmarła po trudach i cierpieniach wielu»

Łzy gorzkie Ortwinowi blask sémity pod powieką,
I Herwig-król nie ukrył tych łez, co z ocz mu cieką:
Gdy wieść tę posłyszeli, że piękna Gudrun zmarła,
To w piersi bohaterów ciężka się żalność odrazu rozparła.

Tak widząc ich przed sobą w tych łzach i w tej holeści,
Bezdoma Gudrun zaraz te słowa im obwieści:
«Z waszego zachowania dziś serce moje widzi,
Że biednej tej Gudruny ród się wasz nigdy, nigdy nie powstydzi».

Król Herwig odpowiedział: «W mem łonie ból wyrasta
I będzie rósł do końca: wszak moja to niewiasta!
Mnie była zaręczona uroczystymi śluby!
Straciłem ją, niestety! a stary Ludwik sprawcą mojej zguby».

«Wy mnie oszukać chcecie», odpowie dziewczę rzewne,
«O śmierci Herwigowej dostałam wieści pewne;
Wszystkie rozkosze świata spłynęłyby mi w duszę,
Jeśliby on żył jeszcze! Dałby swobodę i skończył katusze».

«Spójrzycie na mą rękę», szlachetny rycerz powie,
«To złoto poznajecie? Herwigiem świat mnie zowie;
To znak, abym pamiętał Gudrunę kochać szczerze:
Jesteście li mą panią, a z tej niewoli Herwig was zabierze».

Odpowie mu dziewczica z radości uśmiechnięta:
«To złoto było moje, Gudruna je pamięta;
A teraz wam pokażę, co przysłał mi w te lata
Mój luby, gdym nie znała, u ojca będąc, co jest szczęścia strata».

Spojrzawszy na jej rękę, spostrzegłszy złoto na niej,
 Szlachetny Herwig rzecze radośnie do swej pani:
 «Nie zrodził cię nikt inny, tyś z matki jest książęcej;
 O, szczęście! o, słodyczy! nie znam już dzisiaj utrapienia więcej».

Nadobną on dziewicę w objęciu zamknął swoim;
 Co sobie tam mówili, radością to i znojem.
 Całował swą królowę, hej! nie wiem ile razy,
 A także Hildeburge, bladą wygnankę, wierną i bez skazy,

Tłum. Jan Kasproicz.

HARTMANN VON AUE

(ok. 1170 — po 1210)

Z «BIEDNEGO HENRYKA»

(Bogaty rycerz cierpi na straszny wrzód, od którego może go wybawić jedynie dobrowolna śmierć niewinnej dziewicy. Zrozpaczony, rozdaje swe mienie, by zamieszkać u poddanej sobie rodziny chłopskiej. Pobożna dziewczyna posłyszała o warunku wyleczenia rycerza i pragnie krew swoją dla niego przelać.)

Tak podążyła do Salerna
 razem z swym panem dziewczka wierna,
 otuchę czując i wesele.
 Cóż ma się jeszcze skarżyć wiele —
 chyba na długość tej podróży
 że jej życie jeszcze służy.
 A gdy na miejsce już przybyli,
 to on do mistrza tejże chwili,
 jako ułożył w swojej głowie,
 pójdzie i wszystko mu opowie
 z radością w sercu, że na świecie
 znalazł dziewoję, lube dziecię,
 co go wybawić ma w zamiarze;
 przeczem mistrzowi ją pokaże.
 Ten nie da wiary i tak spyta:
 «Zastanowiłaś się dosyła
 nad swoją wolą? czyś związana
 chęcią lub groźbą swego pana?»
 Na to mu dziewczka odpowiada,
 że to, co czyni, czyni rada,
 że gdy to spełnić jest gotową,
 idzie za duszy swej namową.
 «Dziw tu» — pomyśli on — «na dziwie»,
 weźmie ją nabok i skwapliwie
 rozpocznie badać, czy też ona
 nie jest groźbami przymuszona,
 aż w tem pana niema woli.
 «Dziecię» — tak powie — «do swej doli
 trzeba-ć się lepiej przygotować;
 wiesz, co masz spełnić, co sprawować;
 umrzesz, lecz korzyść nie uświęci
 twojego końca, jeśli z chęci
 nie własnej dajesz młode życie;
 postępuj jawnie, a nie skrycie,
 otwórz przede mną swoją duszę,
 słuchaj, co rzec ci tutaj muszę;

mam cię rozebrać, mam obnażyć,
 czy to nie dosyć — zechciej zważyć —
 by opuściła cię odwaga
 z wstydu, gdy stać tak będziesz naga?
 Zwiążę ci nogi, zwiążę ręce,
 ulituję się ciała męce,
 rozważ, dziewczyno, te męczarnie!
 Z żywego łona ci wygarnie
 nóż mój twe serce wśród boleści!
 Powiedz, dziewczajo, na te wieści
 czy jeszcze czujesz męstwo w sobie?
 Wszakże dotychczas w żadnej dobie
 nie doznał tego nikt na ziemi.
 Na myśl, że na to oczy swemi
 będę spoglądał, czuję dreszcze.
 A kiedy sobie wspomnę jeszcze,
 że nadaremne wszystko będzie,
 gdy żal w najmniejszym zdjął cię względzie,
 wtedy stracone trudy, leki
 i młode życie twe na wieki.
 Tak jej to wszystko przypomina,
 tak-ci ją prosi, tak zaklina,
 by porzuciła taką śmiałość,
 ale w niej silna woli stałość.

Dziewka, poznawszy, że co prędzej
 może się wyrwać z ziemskiej nędzy —
 nim jeszcze jeden dzień uciecze —
 tak-ci do niego z śmiechem rzecze:
 «Za twoją miłość zapłać Boże,
 że nim na bólów pójde łożę,
 mówią mi prawdę usta twoje;
 wierzaj, poniekąd ja się boję,
 albowiem zdjęło mnie zwątpienie,
 a ja ci wyznać się nie lenię,

w jakim rodzaju jest prawdziwie
 ona wątpliwość, którą żywie:
 twoje wahanie mnie przestrasza,
 że wniwecz pójdzie służba nasza,
 bo ty nie spełnisz jej, niestety!
 Twe słowa godne są kobiety,
 a duch jest w ciele twem zajęczy.
 Zbyt wielki przestrach ciebie męczy,
 że ja mam dzisiaj umrzeć, paniel!
 Źle ty wypełniasz swe zadanie,
 chociaż mistrzostwa dierzysz sławę.
 Jestem kobietą, lecz obawę
 wygnałam z serca; odważże się
 krajać, a duch mój ból już zniesie.
 Słyszałam właśnie z twojej wargi
 na śmierć straszliwą groźne skargi,
 wypowiedziane bez osłony.
 Ale czy byłabym w te strony
 przysłała tak zdala, gdybym w duszy
 nie czuła męstwa, by katuszy
 choćby najwięcej znieść, gdy trzeba?
 Tyś na mnie ściągnął łaskę nieba:
 sam mi tę błądźcę odebrałeś,
 a jeszcze więcej męstwa wlałeś;
 w takiej mnie tutaj widzisz trwodze,
 jakbym do tańca była w drodze;
 bo gdzież męczarni taka siła,
 coby się w życie moje wpiła,

coby przez jeden dzień je żarła,
 ażebym rada nie umarła,
 abym nie miała mieć przyczyny
 oddać ten jeden dzień jedyny
 za wieczystego dni żywota!
 Niech się już zacznie twa robota!
 Dalej! bo strachu niema we mnie
 Jeśli krew moja niedaremnie
 popłynie dzisiaj; masz li w głowie,
 że memu panu wrócisz zdrowie,
 przyczem ja żywoł zyskam wieczny,
 na miłość Boga! bądź bezpieczny,
 zacznij co prędzej, pokaż przecie,
 że jesteś mistrzem na tym świecie!
 Sam mnie pobudzasz w tej godzinie;
 wiem-ci, dlaczego ja to czynię —
 w imieniu Tego, co łaskawy
 widzi tu nasze dobre sprawy
 i swą nagrodę za nie łoży;
 wiem, co powiedział nam Syn Boży:
 Kto tu na ziemi odda siebie
 na wielką służbę, w mojem niebie
 weźmie największą ten zapłatę.
 Dlatego życia mego stratę
 bolesną — myśl mi słodzi,
 że on mnie wynagrodzi.
 Umysłbym miała wzdryć szalony,
 niebios wyparłszy się korony».

Tłum. Jan Kasprówicz.

GOTTFRIED VON STRASSBURG

(zm. po 1210)

Z «TRYSTANA I IZOLDY»

(Izolda pod działaniem miłosnego napoju, który ma jej serce przykuć na zawsze do Trystana, po niejakięj z sobą walce, nie może już stłumić ognia, co ją przenika, i pierwsza wyznaje miłość kochankowi.)

«Achl to, co wiem, mnie niepokoi,
 i to, co widzę, ból mi sprawia,
 niebo i morze mnie udęcza,
 ciało i duszę mi przygniata».
 Tutaj ku niemu się przechyli
 i ręką się o niego wspiera.
 To był jej pierwszy krok wyznania.
 Jej jasne oczy zwierciadlane
 zaszły powłoką tajemniczą,
 jej serce w piersiach się rozdyma,
 jej piękne lica ogniem płoną,
 bezwładna głowa wdół się zwiesza.
 Kochanek do niej się przysuwa
 i w pół ramieniem obejmuje,
 lecz niezbyt śmiało, niezbyt zbliska,
 nie więcej, jak to goście czynią,
 i tak przemawia słodko, zeicha:
 «O powiedz mi, ty piękna, miła,

co cię udęcza, skąd te skargi?»
 Na to Izolda odpowiada:
 «Lameir — to moje udęczenie,
 lameir uciska duszę moją,
 lameir to sprawia boleść mnie».
 Gdy tak «lameir» wciąż powtarzała,
 począł zamyślać się i badać
 rozliczne znane sobie zwroty,
 chcąc sens zrozumieć tego słowa.
 Toć przecie dobrze miał w pamięci:
 ameir oznaczać może kochać,
 ameir — to gorzkie, la meir — morze:
 aż tyle może być tłumaczeń.
 Jedno pominąć chciał z tych trojga
 i o dwa tylko się zapytać;
 tak więc nie wspomniał o miłości,
 co przecie była ich władczynią,
 pociechą ich i upragnieniem,

jeno — o gorzkim i o morzu.
I mówił: «Więc, Izoldo piękna,
udręcza morze cię i gorzkie,
przeciwnie są ci wiatr i morze
i napawają cię goryczą».
«Nie, nie, mój panie, co ty mówisz?
Ni to, ni owo mnie nie trapi,
ni wiatr, ni morze nie dokucza,
l'ameir jedynie dręczy mnie».
Tu, gdy wyrazu myśl zrozumiał
i poznał miłość w jego brzmieniu,
stłumionym głosem tak przemówił:
«Zaprawdę, pani, tak i ze mną,
l'ameir i ty — to męka moja,
ty ukochana, ty Izoldo,
jedynie ty i miłość twoja
wyście mą duszę zakłócili
i podwróciły umysł mój.
Jam już nad sobą panowanie
zupelnie stracił, tak iż odtąd
spokoju nigdy nie odzyskam,

i na cokolwiek rzucę okiem,
wszystko mnie męczy, niepokoi,
wszystko mi nudne, wszystko wstrętne,
i memu sercu na tym świecie
jedynie droga jesteś ty!»
«Tak jak ty mnie» — Izolda rzekła.
Gdy tak oboje kochankowie
odkryli w sobie jedną myśl
i jedno serce, jedną wolę,
uspokoili się oboje
i podzielili swe cierpienia.
Śmielej na siebie spoglądają
i rozmawiają teraz śmielej,
zniknął już przymus między nimi;
on ją całuje, ona jego
nawzajem czule i miłośnie.
Taki rozkoszny był początek
ich miłosnego udręczenia.
Oboje razem sączą, piją
słodczych zdroj, co z serca płynie.

*Tłum. Edward Grabowski.
Uzupełnił Alfred Tom.*

WOLFRAM VON ESCHENBACH

(zm. ok. 1220)

Z «PARSYWALA»

(Przybycie do grobu św. Grala)

Do pałacu się udali,
sto pajaków napotkali,
w wszystkich świec mnoho płonie,
a prócz tego w każdej stronie
pełno się mniejszych świeczek bieli.
I miękkich łóżnic sto ujrzeli,
a na nich sto poduszek leży;
na każdej czterech wraz rycerzy
wczasu zażywać może.
Zosobna stoi każde łożo,
kobierzec każde z nich przedziela.
Wszystko to króla Frymutela
mógł sobie sprawić syn, co z pieczy
nie puścił także jednej rzeczy,
wcale nie skąpiąc złota.
Z marmuru była to robota
te trzy kominki czworogranel
A na nich ognie bezustanne
z lignum aloë — tak się zwało
kosztowne drzewo. — Nie widziało
tu w Wildenburgu żadne oko
ognisk, płonących tak szeroko.

na krześle miętkko ślanem.
Rozkoszy nie był panem
żadnej na świecie — nie! — on nie żył,
lecz wciąż się z śmiercią mierzył.
Gdy się Parsywal w zamku stawił,
wnet się przyjaźnie z nim rozprawił
ten, co w gościnę go zaprosił;
odrazu słowo doń wygłosił,
aby się zbliżył, nie stał dłużej,
lecz usiadł obok: «Niech wam służy
to miejsce przy mnie; siadać zdala —
na to gościnność nie pozwala».
To rzekł gospodarz nieszczęśliwy.
Był schorowany, więc nie dziwy,
że potrzebował, nawpół skrzepły,
wielkiego ognia, sukni ciepłej:
z wierzchu i spodu temu gwoli
dostatnią suknię miał z soboli
i płaszcz rzęsisty miał na sobie
czarny i szary: w tej ozdobie
najgorszy skrawek wart pochwały.
Takiż z soboli okazały
kolpak na głowie miał dwucięty,
górz z arabska burtą spięty,
a w środku na nim spina
z przezroczystego rubina.

Sam-ci gospodarz w tej godzinie
tuż przy środkowym siadł kominie

I przed rycerskich szereg gości
wniesiono oznaki żalości.
Do środka giermek drzwiami wskoczył
z oszczepem w rękę (gdyś go zoczył,
to wraz do żalów byleś rączy).
Krew z jego ostrza tak się sączy,
że aż na dłoń po drzewcu spływa
i gdzieś w rękawie się ukrywa.
Jak tam jęczeli, jak plakali
w onej rozległej sali!
Nie umiałyby tej boleści
podołać ludy z ziem trzdziesięci!
I tak naokół każdej ściany
podniósł się oszczep krwią obłany,
co uczyniwszy, wnet za progi
skierował giermek swoje nogi.
Potem się ludu żal ułożył,
co z tego bolu się wytworzył,
gdy owy giermek wniósł był w rękę
oszczep do sali, sprawcę jęku.

A jeśli was nie znużę,
to dalej wam posłużę
i rad opowiem od początku
o cnych sprawowań dalszym wątku.
Przy samym końcu sali
otworzyły się drzwi ze stali,
a nimi weszły dwie dziewoje —
słuchajcie, jakie na nich stroje!
Wielkąby miłość temu dały,
ktoby w ich służbę poszedł, śmiały.
Przecudne to kochanki!
Dwa na ich włosach wianki,
uwite z kwiatów milej woni.
Każda z nich niosta w dłoni
świecznik złocisty; włos z ich głowy
spływał, rozwiany, długi, płowy.
I świece niosta zapalone.
Nie trza zapomnieć, w jakiej one
cudne dziewice lśniły szacie,
gdy je ujrzałeś w tej komnacie.
W sukni grafini z Tenabroku
brunatny szkarłat błyszczał oku,
w takimże stroju jej powiernia.
Faldów i sprzączek moc niezmierna,
a nad biodrami, w smukłym stanie,
podwójne miały przepasanie.
Zkolei weszła wraz z swą družką
księżna, a każda z nich z sztaluzką,
z słoniowej kości utoczoną.
Kraśne ich wargi ogniem płoną.
Wszystkie się pokłoniły,
a dwie z nich ustawiły
przed gospodarzem swe sztalugi.
Tak się sprawiwszy, wierne sługi,
mając przystojność cną na względzie,

stały wszystkie w jednym rzędzie.
Na wszystkich czterech jednakowy
błyszczał się strój od stóp do głowy.
Co się nie stało, patrzcie, dalej
Dwa razy cztery pań do sali
weszło za nimi: w rękę świece
dzierżyły cztery dziewice,
a drugie cztery za te progi
przyniosły kamień drogi.
Wszystkim on znany jest z nazwiska —
Granat-hiacynt — a tak błyska,
jak słonecznego światła smugi.
Kamień szeroki był i długi.
rznięty w tak gładkie, cienkie płyty,
że może być na stół użyty,
przy którym do uczy nielada
sam-ci gospodarz siada.
Jakgdyby za rozkazem,
przy gospodarzu wszystkie razem
stanąwszy, głowy swe skłoniły.
Cztery z nich płyty położyły
na owe z słoniowej kości
sztalugi takiej białości,
że niczem jasność śniegu.
Potem stały znów w szeregu.
Od świeżej trawy zieleniej
na wszystkich ośmiu się mieni
aksamit z Agagugi,
dobrze skrajany, suty, długi.
A w samym środku strój był spięty —
pas miał kosztowny, wąsko cięty.
Każda z tych ośmiu niebianek
miała na włosach wianek,
uwity z kwiatów niewielu.
Hrabia Iwain na Nonelu,
a także Jernis, pan na Ryłu,
pomimo mil dalekich tyłu,
dali w tę służbę córy swoje:
co za przedziwne stroje
miały księżniczki te hoże!
Od ości ostrzejsze dwa noże,
godne podziwu okrzyku,
przyniosły z sobą: na ręczniku
każdy z nich leżał, srebrzysty.
Mistrz je wykonał rzeczywiście,
a takiej były ostrej sily,
że nawet stalby przekroiły.
Poprzed tem srebrem znowu inne
cztery panienki szły niewinne,
cztery wybrane, cne dziewice,
niosące w rękę jasne świece.
I tak ich weszło sześć do sali.
Zważcie, co tu się stało dalej.

Pokłoniły się. Potem z koła
dwie, przybliżywszy się do stoła,

złożyły noże swe na płycie,
 a zasię przeszły należycie,
 gdzie się postacie lśnią dziewicze
 w liczbie dwunastu... Dobrze liczę,
 jest osiemnaście ich w tej porze.
 Lecz znowu idzie sześć — a hoże,
 a w drogie suknie naodziane,
 napoły z pialtu tkane,
 napół z bisioru z Niniwy.
 Te więc i pierwszych sześć — o, dziwy!
 miały wzorzyste odzienie —
 dwanaście sukien — po cenie
 najdroższej zakupionych.
 Wślad strojnych dziewic onych
 weszła nakońcu królowa,
 a tak jaśniała jej głowa,
 że wszystkim się zdawało,
 jakgdyby wokół zadniało.
 Szła w sukni cudnego wzoru
 z arabskiego bisioru,
 a zaś w jej rękę się mieni
 na achmardowej zieleni
 ta «Rozkosz Raju» — z korzeniem
 i z konarami: imieniem
 Grała to rzecz nazwana,
 nad wszystko w świecie wybrana.
 A ta, co go dźwigała,
 Repanse de Schoye się zwała.
 Ta zaś właściwość Grała,
 że trza od fałszu być zdala,

że trza niewinność swą zachować,
 gdy jego służbę chcesz sprawować.

A zaś przed Gralem przyniesiono
 sześć szklanych latarni, które pono
 niemało strawy miały w sobie:
 balsam się palił w nich w tej dobie.
 Gdy przekroczyły próg dziewicę,
 niosące w rękę te szklenice,
 pełne balsamu, wraz z królową
 skłoniły się przystojnie głową,
 potem królowa, tak jak była
 pełną godności, postawiła
 przyniesionego z sobą Grała
 przed gospodarzem. Parsywała
 zaduma schwyci wnet głęboka,
 tak że nie spuszczał długo oka
 z onej królowej bogatej,
 co wniosła Grała do komnaty,
 a której płaszcz krył mu ramiona.
 Do osiemnastu tamtych grona
 te siedem w rychłym czasie
 zwróciły kroki, w środek zasię
 tę najprzedniejszą wzięły.
 Tak wokół niej stanęły —
 wzdyc po dwanaście z każdej strony,
 a ona z blaskiem korony
 na swem królewskim czole
 lśniła urodą w tem kole.

Tłum. Jan Kasprowicz.

DIETMAR VON EIST

(1140—1170)

DO SOKOŁA

Stoi samotna dziewica
 I spogląda w długie pola,
 I czeka swego kochanka.
 Wtem ujrzała sokoła wysoko:
 «Szczęśliwy sokole! lecisz tam
 Podług woli, gdzie chcesz sam,
 I wybierasz sobie w lesie
 Drzewo, jakieć się podoba.
 I ja tak uczyniłam,
 I jam wybrała jednego,
 Już znalazły oczy moje —
 Ale inne mi zazdroszczą,
 Biada! one mi nie zostawią mojego kochanka,
 Chociaż ja ich własności nie pragnęłam nigdy».

Tłum. A. J. Szabrański.

DER VON KÜRENBERG

(2-a poł. XII w.)

ZBIEG

Chowałam sokoła dłużej niż rok cały;
 Gdy go oswoiła, jak sztuki kazały,
 Kiedy mu skrzydełka owinęła złotem,
 Wzleciał, w obce strony umknął chyżym lotem.
 Obaczyłam później mojego sokoła,
 Miał na nogach piękne sznury dookoła,
 Skrzydła jasnym złotem w powietrzu migają:
 Niechaj Bóg połączy tych, co się kochają!

_____ *Tłum. Ludomił German.*

[WIERNOŚĆ]

(Rękopis niezn. autora z w. XII w klasztorze Tegernsee)

Tyś jest mój,
 A jam twoja —
 Niech to będzie twa ostoja.
 Jesteś zamknięty
 W mojem sercu —
 Ale kluczyk
 Zginął nam:
 Musisz na wieki
 Pozostać tam.

_____ *Tłum. Alfred Tom.*

FRIEDRICH VON HAUSEN

(um. 1190)

SERCE A CIAŁO

Serce chce rozstać się z ciałem,	Smutek teraz duszę toczy —
W którym spokojnie wzrastało:	Że się cel ich tak rozchodzi,
Ciało do walki się zrywa,	Wina tego moje oczy —
Serce jedną ukochało.	Bóg to jeden załagodzi.

_____ *Tłum. Ludomił German.*

HEINRICH VON VELDEKE

(2-a poł w. XII)

PIOSNKA

Kto mi szkodzi u mej pani,	Ktokolwiek pyta o nią —
Temu życzę stryka —	Niech przyzna, że tak ładną
Losu, co lotrów spotyka;	Świat się nie szczydzi żadną. —
Lecz kto czyni mi zadość —	Za szczyptę dla mnie łaski
Do Nieba wznoszę dłonie:	Miej wszystkie słońca blaski!
Oby miał wieczną radość!	Księżycu — niech mnie przypadną.

_____ *Tłum. Alfred Tom.*

HEINRICH VON MORUNGEN

(um. 1221)

PIOSNKA

Napiszcie te słowa
 Tam, gdzie mnie pochowa
 Już grobowy głaz:
 Kochałem — nie dbała,
 Jej serce jak skała —
 I przeminął czas.
 Niech wędrowiec tam wyczyta,
 Jaka ciężka na niej wina,
 Jak dręczyła ta kobieta
 Wierną duszę — niech wspomina
 I osądzi nas.

Tłum. Ludomił German.

WALTHER VON DER VOGELWEIDE

(po 1160 — ok. 1230)

ODDANIE SIĘ I ODPRAWA

Mego serca przenika głębinę	Piersi moje troska ciśnie głazem;
Jej niebiańskich oczu rajski blask;	By ją zrzucić, jest li we mnie moc?
Patrzeć na nią częściej, co godziny,	Potajemnie chciałbym z nią być razem
Być jej sługą — ach! to szczytem łask!	Za białego dnia i w późną noc.
Jej oddana dusza ma,	Lecz nadzieja — próżny szal.
Ale ona czyliż o to dba!?	Zgody pani mej nie będę miał.

Jeśli moją wierność tak odplaca,
 To któż drugi da jej wiarę znów?
 Śnać od pochwał moich się odwraca,
 Woli słuchać mych nagany słów.
 Ach! dlaczegoż czyni tak,
 Gdy w mem sercu nienawiści brak!?

POTEGA MIŁOŚCI

Miłości! któż tej mocy cud
 Dał ci, żeś tak wszechmocna ty?
 Pod twojem jarzmem wszelki lud —
 Stary i młody wszakże drży.
 Jać chwale Boga, odkąd sam
 Kajdany twoje noszę, odkąd pewność mam,
 Ze wiernej służby nadszedł dzień!
 Nie rzucę tego jarzma: pozwól, bym ci, pani,
 Aż do ostatnich służył tełnień.

Tłum. Jan Kasprówiez.

POD LIPĄ

Kędy szeleszcze	Bo zmięte kwiaty pomną nas.
Lipa w kwiecie,	Z lasku płynął słodki śpiew
Gdzie z miłym swym siedziałam wraz,	Tan-da-ra-daj!
Miejsce to jeszcze odnajdziecie,	Słowik nucił pośród drzew.

Gdym porą nocną
 W to ustronie
 Przyszła, mój miły już tam był.
 Tulił mnie mocno
 Na swem łonie,
 Dotąd mam słodycz w głębi żył.
 Czy całował? Rozdział z chust?
 Tan-da-ra-daj!
 Patrz na czerwieni moich ust!

I poszedł łoże
 Popod lasem
 Z przeróżnych kwiatów usłać nam.
 Śmiały się może,
 Ktoby czasem
 Przechodził i przystanął tam.
 Zarazby po różach zgadł
 Tan-da-ra-daj!
 Mej leżącej głowy ślad.

Gdyby obwieścił
 Kto te śluby,
 Broń Boże, gdzież przed wstydem schron?
 Lecz jak mnie pieścił
 Mily, luby,
 Wiemy jedynie ja i on.
 A słowiczek z pośród róż
 Tan-da-ra-daj!
 Pewnie milczeć będzie już.

Tłum. Leopold Staff.

DOBRY OBYCZAJ

Przymioty we mnie dwa, choć bez przymiotów jam;

Już je od dziecka połączyłem w sobie:

Ciesz się u mnie ktoś i ja uciechę mam,

Nierad się śmieję, jeśli kto w żalobie.

Razem z ludźmi dzielę śmiech,

Razem z ludźmi płakać pragnę:

Do łez nieraz — czyż to grzech? —

I do śmiechu ja się nagnę.

Jako oni, i ja tak,

Aby nie pójść ludziom wspak.

Kto, widząc boleść ludzi,

Uczuwa rozkosz w sereu, ten ku sobie

Wstręt u wszystkich budzi.

Dawniej to człowiek był milej miłości rad,

Radość też sobie moja pieśń wybrała;

Lecz dziś, gdy powiadł już miłości miły kwiat,

Z mej pieśni radość ubiegła też cała.

Zawsze tylko chwili służ,

Śpiewaj zawsze, jak kto może;

Gdy swawola minie już,

I ja dworską pieśń ułożę.

Przyjdzie jeszcze śpiewu czas:

Szczęśliw, kto go dożył z nas!

Niech każdy mi uwierzy,

Że sposób wynalazłem, jak i kiedy

Śpiewać mi należy.

Śpiewałem kobiet cześć dla ich pozdrowień słów,

W nich nagroda była mi gotowa;

Lecz, gdy daremnie dziś czekam nagrody znów,

Chwałą inni za pozdrowień słowa.

Nie uzyskam za mój śpiew

Pozdrowienia nawet w darze,

Nie postąpię dumie wbrew,

Twarz odwrócę, grzbiet pokażę.

Znaczy to: jak o mnie dbasz,
 Takiego też we mnie masz.
 Wysławiam te jedynie,
 Co dzięki nieść umięją: dla zbyt pysznych
 Pieśń ma nie popłynię.

Patrzcie, skąd tyle zła ponosim wszyscy my:
 Rozróżniają nas mało kobiety.
 Równy jest dla nich mąż, czy dobry on, czy zły;
 Ta równość czci nam uwłacza, niestety!
 Rozróżni nas kobiet ród,
 I my je rozróżnim wtedy,
 Nie wyniknie tyle szkód
 Płci obojej, tyle biedy.
 Gdy różnicy nie ma być,
 Co jest dobrze, co źle żyć?
 Zważcie, zacne panie:
 Gdy, mszcząc się, my was wszystkie tak zrównamy,
 Cóż się z wami stanie?

RÓWNOŚĆ WOBEC BOGA

Kto działa, Boże, twym sprawom wbrew,
 Choć na swych ustach ma wciąż ich zew,
 Szczerzej miłości ten w sobie nie chowa.
 Niejeden ciebie swym ojcem zwie:
 Ale za brata kto nie ma mnie,
 Dla tego słabą treścią wielkie słowa.
 Jednego szczepu wszyscy my odnogi;
 Ginie ta strawa, co nam pokarm błogi,
 Spożyta przez nas, dała.
 Pana od slugi któż odróżnić w stanie
 (Choćby to jego byli przyjaciele),
 Gdy spojrzy na ich piszczele,
 Gdy robak niszczy ich ciała?
 Temu, co wszystkich żywi, i poganie,
 I żydzi służą, i brać chrześcijan cała.

WYZNANIE

Jak rzadko Ciebie, Boże chwalebny, ja tu sławię,
 A przecież pieśń i słowo Ty dałeś mi laskawie:
 O, biada! że tak grzeszyć nie jestem dziś w obawie.
 Złe czynię i miłości nie mam do Twoich dzieci —
 Współchrześcijan — ni do Ciebie, o wielki Ojciec mój!
 Na siebie tylko zlewam swojej miłości źródło:
 Niech duch Wasz, Boże Ojciec i Synu, mnie oświeci!
 Jak mogę kochać tego, co tu mi czyni źle?
 Ten dla mnie zawsze miłszy, co jest życzliwy mnie,
 Me inne przebaczyć winy, w tem się nie zmienię, nie!

BOGA ZGLEBIC NIE MOŻNA

Któż, Boże, Twą szerokość i Twą wysokość zna?
 Niech człek — by ich nie tracić — o czas i trud swój dbał
 Potęgę Twa i wieczność czyż miarę jaką ma?

Wiem o tem, gdy to zbadać zmysł innych się porywa,
 Dla zmysłów niedościgła wszak jest istota Twa!?
 Zbyt wielkiś i zbyt małyś, a zmysł nasz mrok okrywa.
 Kto noc i dzień to zgłębia, ten zmysłów się pozbywał
 Czyż zbada to, co zbadać czezum trudem się nazywał?

Tłum. Jan Kasprowicz.

FREIDANK

(koniec w. XII — poł. XIII)

O NIEBIE I PIEKLE

O piekło w stokroć większym trudzie,
 niżli o niebo, walczą ludzie,
 większy ich mózół przygniata,
 choć tak nierówna zapłata.

W piekielne, patrzcie, wiodą progi
 w każdy otwarte czas trzy drogi:
 pierwsza to droga jest rozpaczy,
 ta duszy wieczną śmierć już znaczy;
 druga, gdy spełnia człek złe czyny,
 a przytem mieni się bez winy;
 trzecia szeroka, potoczysta,
 że z niej dziś cały świat korzysta:
 bo świat najwięcej przez to grzeszy,
 jeśli nadzieją się pocieszy,
 że mu poprawa nie uciekła;
 pociecha wiedzie wprost do piekła;
 kto ma pociechę tę na względzie,
 ten sobie szczęścia nie zdobędzie.

W niebo też można każdej doby
 na te trzy różne wejść sposoby:
 jeden przemocą siądzie w niebie,
 jeśli wyrzeknie się sam siebie,
 drugi w nie znowu się zakrada,
 gdy o swej enocie nic nie gada,
 trzeci je targiem kupi jednym,
 że swe dobytki rozda biednym.

Słowy bożemi, kto je umie,
 nieraz władano w czartów tłumie,
 że czart, pomimo swej ochoty,
 wyznał swą hańbę, swe zgryzoty.

Zakłęcim człek przywabia węże,
 gdzie je z rąk jego śmierć dosięże;
 jeśli zakłęcie kto wyrzeczce,
 tracą swe ostrze twarde miecze,
 nawet żelazo cię nie sparzy,
 chociaż przez cały dzień się jarzy;
 tylko gdy na mszy jesteś święcie,
 to ci nie robi nic zakłęcie.

Czarta i śmierci bać się muszą,
 to mi napelnia strachem duszę:
 nie widziało ich oko moje,
 przecież, jak złego, ich się boję;
 czem są, powiedzieć wszak nie mogę,
 a przed obojgiem czuję trwogę.

Czart do tych chytrze nie przychodzi,
 których na pasku swym już wodzi:
 do tego chytrze się zabiera,
 kto jego sprawom się opiera.

Czart zawsze wiernie się wyplaca:
 jeśli mu służysz, to twa praca
 w pamięci jego nie zaginie
 o włoś, choć tysiąc lat przeminie.

Tłum. Jan Kasprowicz.

HUGO VON TRIMBERG

(ok. 1230 — ok. 1313)

Z «BIEGACZA»

(Jak mąż żonę swoją zamknął)

Gdzieś to czytałem przed laty:
 mieszczech pewien, pan bogaty,
 przystojny i z miną godną,
 miał żonkę bardzo urodną.
 Lecz przez miłość, czy przez trwogę,
 w dzień, w noc zamykał niebogę
 i tak trzymał jakby w skrzyni,
 jak to wielu głupców czyni.
 Lecz dawne przysłowie niesie:
 żona w straży — to wilk w lesie.

Niedość na tem, że raz w nocy
 wrota zamknął z całej mocy,
 klucz do siebie wziął w tej dobie;
 lecz wtem biedak zasnął sobie.
 Więc pocichu, pokryjomu
 pani żona dalej z domu.
 Przebudził się mąż niemiło:
 bardzo go to zadziwiło.
 Nic nie krzyczy, nie wyrzeka;
 drzwi zamyka i sam czeka.

Niedlugo małżonka wraca,
 chce wejść cicho — próżna pracal
 By otworzyć, męża wzywa.
 On rzekł: «Ha, ty niegodziwa!
 zapomniałaś już o Bogu!
 Stój tam aż do jutra w progu,
 na śmiech ludzki wystawiona,
 kiedyś niegodziwa żona».
 Ona rzekła: «Bądźmy szczerzi!
 mgło mi było... duszno w piersi...
 wybiegłam więc choć na chwilę
 odetchnąć powietrzem mile —
 a ty dla mnie tak surowy!»
 On rzekł: «Znam ja twoje mowy!
 próżno kłamiesz, czekaj rana —
 ty musisz być ukarana».
 Ona rzekła: «Chcesz mej kary
 za miłość, za tyle wiary?
 na mą hańbę nie pozwolę:
 pójdę, utopić się wolę».
 Wtem poskoczy w mgnieniu oka
 przed dom, gdzie studnia głęboka,
 chwyla wielki kamień, potem
 rzuca go w wodę z loskotem.
 Ten wpadł z trzaskiem — tak się zdało,
 że jej utonęło ciało.
 Przywiązany mąż najczulej

na ten odgłos, choć w koszuli,
 lecz nieszczęściem przerażony,
 biegnie na ratunek żony.
 Ona wpośród nocnych cieni,
 ukryta przy progu w sieni,
 wsunęła się w drzwi tą doba
 i te zamknęła za sobą.
 «Żmijo! zginiem tu oboje —
 życie twoje albo moje!»
 wołał mąż w gniewu zapale.
 Żona na to: «Próżne żale!
 zasłużyłeś — cierp, kochanku!
 Ty to grzeszysz bezustanku,
 po kątach się włóczysz wszędzie —
 co to z ciebie dalej będzie!?
 Teraz przecie, chwała Bogu!
 złapałam cię tu na progu.
 Zaufana w słusznej sprawie,
 na śmiech ludzki cię wystawię;
 potem, dość mając powodu,
 pójdę z tobą do rozvodu».
 Patrzenie! tak mąż biedny leci
 i sam wpada w własne sieci —
 wstyd go czeka niespodzianie.
 Cóż tu robić w takim stanie?
 Więc przeprosił zręczną żonę —
 i tak wszystko pogodzone.

Tłum. A. J. Szabrański.

JOHANNES HADLAUB

(zm. ok. 1320)

PIESZCZOSZEK

Ach, widziałem, jak z dzieckiem pieściła się miło;
 A mnie tak było
 Lubo, tajemnie...
 Ona je wzięła lekko do swojego boku;
 A z tego widoku
 Drży serce we mnie.
 Ona dłońmi śnieżnymi niemowlę trzymała,
 I kiedy do ust jasných z zapalem je tuli,
 Ach! najczulej
 Pocałowała.

I tak, jakbym sam życzył: dzieciątko ją zbliśka
 Rączkami ścisła
 Z równym zapalem.
 O, dobrze, dobrze! tak rozkosz się dzieli.
 I mnie weselej,
 Że to widziałem.
 Ach! ja na to z zazdrością zawsze patrzeć muszę!
 Obym był dzieckiem z równą wzajemnością,
 By tak miłością
 Upieścić duszę.

I ja dziecię miluchne, wzięte z jej łona,
 Biorę w ramiona,
 Tkliwie podnoszę.
 Ono do mnie, jak do niej, wyciąga rączęta...
 Pierś tem przejęta
 Czuje rozkosze.
 Gdzie jej ręka spoczęła, tam moja dotyka,
 I całuję to miejsce, gdzie jej usta były;
 A ogień mity
 Serce przenika.

Tłum. A. J. Szabrański.

JOHANNES VON SAAZ

(ok. r. 1400)

Z «ORACZA Z CZECH»

(Dialog ten rozważa kwestję śmierci w formie sporu prawnego. Oracz oskarża Śmierć, że porwała mu młodą żonę. Śmierć się broni. Wkońcu Bóg rozsądza ich spór.)

Oskarżyciel: Z biegiem czasu dostrzega się prawdę, że dopóki się uczym — coś umiemy. Wasze sentencje są słodkie i pocieszne, z czego dosyć już czuję. Ale gdyby radość, miłość, przyjemność i rozrywka miały być wygnane ze świata, musiałyby mu się źle dziać. W tej sprawie powołam się na Rzymian. Sami to oni stosowali i uczyli dzieci swoje, aby wysoko stawiały radość, by w wolnych chwilach uprawiały turnieje, szermierkę, taniec, bieg na wyścigi i skakanie oraz wszelakie przystojne zabawy — w tym celu, aby przez ten czas były wolne od złych czynów. Albowiem myśli głowy ludzkiej nie mogą pozostać beczynne: głowa musi w każdej chwili myśleć albo nad złem, albo nad dobrem. Nawet we śnie nie chce ona być beczynna. Gdyby więc głowę pozbawiono dobrych myśli, złeby do niej weszły. Wyjdą dobre, to wejdą złe; wyjdą złe, to wejdą dobre; ta zamiana musi trwać aż do końca świata. Odkąd wygnane są radość, karność, wstyd oraz inne dobre obyczaje, odtąd świat stał się pełen złości, sromoty, niewierności, szyderstwa i zdrady — toć widzicie to co dnia. — Gdybym przeto miał usunąć z głowy mojej pamięć o najukochańszej mej żonie, wówczas wdarłyby się tam złe myśli; tem bardziej więc pragnę w każdym czasie wspominać żonę moją najukochańszą. Kiedy wielka miłość serdeczna zmienia się na wielką udrękę serdeczną — któż zdoła o tem szybko zapomnieć? Potrafią to tylko źli ludzie. Dobrzy przyjaciele ciągle pamiętają o sobie; dalekie drogi, długie lata nie mogą rozłączyć dobrych przyjaciół. Chociaż żona moja już cielesnie jest martwa, w myślach moich żyje ona przecież nadal bez przerwy. — Mości Śmierci, musicie wierniej rad udzielać, jeśli rada wasza ma przynieść jaki pożytek; bo w przeciwnym razie wypadnie wam, jako nietoperzowi, i w przyszłości też znosić nienawiść ptaków!

Wyrok Boga: Wiosna, lato, jesień i zima — czwórka pokrzepiaczy i pomagaczy roku — nie zgadzały się z sobą w wielkim sporze. Każde z nich wychwalało swą dobrą wolę co do deszczu, wiatru, grzmotu, gradu, śniegu i wszelkiego rodzaju niepogody, a każde chciało w czynnościach swych być najlepsze... Zupełnie tak samo wy czynicie: Oskarżyciel skarży się na swą stratę, jakby tu szło o jego prawowite dziedzictwo; nie pamięta o tem, że wszystko zostało przez Nas użyzione. Śmierć znów przechwala się uprawnioną władzą, którą przecież otrzymała od Nas w lenno jedynie...

Tłum. Alfred Tom.

Z POWIEŚCI O «DYLU SOWIŹRZALE»

(w. XV)

Jako Sowiźrzał, w Erforcie będąc, osła czytać uczył na starym psalterzu. Przyszedszy do Erfortu miasta,... tam swoje listy rozbił¹, a zwa-

¹ Poprzybijał odezwy.

szcza na Kollegijum¹, aby o nim wiedzieli. Kollegijaci, słysząc dawno o jego przewrotnej chytrności, radzili, jakoby się z nim obchodzić mieli... I zmówili się wespól, że Sowiżrzałowi osła na naukę dać mieli, bo tam osłów starych i młodych było dosyć. Obesłali² Sowiżrzała, mówiąc mu: «Mistrzu! znamienite listy przybite świadczą, że wszelkie stworzenie czytać i pisać uczyć możecie w krótkim czasie; więc chcę wam dać panowie akademicy osła młodego na naukę; chcecie li go uczyć?» Rzekł Sowiżrzał: «Dobra, tylko że mi czasu długiego na to trzeba, z tej przyczyny, że niewymowne i nierozumne zwierzę jest». I dali mu czas do dwudziestu lat. Sowiżrzał pomyślał sobie: «Nas w to wchodzi troje; umrze li rektor, tom wolen; umrę li ja, kto mi sie będzie upominał? Zdechnie li mój dyscypuł³, tedy prace pozbędę». I na tem przystał, bo szło o pięćset kup starych groszy, a wprzód mu na to nieco pieniędzy zadali. Wziął tedy onego osła Sowiżrzał na swoje staranie, starał sie potem o gospodę; trafił na gospodarza jednego i najął sobie u niego stajnię, aby tam jego żak stał, i dostał starego psalterza, który mu do żłobu włożył, a między karty owsa nasuł⁴. Osieł, szukając owsa, przewracał karty tam i sam, aż wszystek owies wyjadł. A gdy już nie miał co jeść, zawołał: ia, ia. Obaczywszy to Sowiżrzał po osle, szedł do rektora, mówiąc tak: «Panie mistrzu! pójdzcie a obaczcie, co mój żak czyni». Rektor go spytał: «Mily mistrzu! ma li sie co do nauki?» Rzekł Sowiżrzał: «Jest barzo niedowcipnego zmysłu i zlej pamięci, trudno go bardzo uczyć; jednakem go wielką pilnością i pracą do tego przywiódł, że już niektóre słowa, a zwłaszcza vocales⁵, zna i wymawia; chcecie li doświadczyć, pójdzcież ze mną, a doznacie tego sami». Tak tedy ubogi żak przez ten czas pościć musiał aż do trzeciego dnia. Przyszedszy Sowiżrzał z rektorem i niektórymi mistrzami do stajnie, położył przed żaka swego nowe księgi. Obaczywszy je w żłobie, przewracał karty tam i sam, szukając owsa, którego nie było; tu głosem okrutnym ryknął: ia, ia. Wnet Sowiżrzał rzekł: «Widzicie, mili panowie, jako to dwie słowie umie wymawiać — ia; spodziewam się, że jeszcze więcej będzie umiał». Potem niedługo był żyw rektor, a Sowiżrzał swego ucznia, wypuściwszy, opuścił, potem sam poszedł w drogę z onemi pieniędzmi.

Tłum. Jan z Koszyczek (w. XVI).

SEBASTIAN BRANT

(1457—1521)

Z «OKRĘTU BŁAZNÓW»

O zbyt wielu troskach

Ten błaznem, komu dźwigać chce się
To, co on ledwie że podniesie,
I który pragnie zrobić sam,
Z czem miałoby i troje kram.
Kto na swe barki bierze świat,
Po chwili — spójrz, a on już padł.
O Aleksandrze się czytało,
Że świata było dlań za mało;
Aż pocił się, bo tak mu ciasno
Zdawało się z osobą własną;
Spokój mu dał nareszcie grób
Długości kilku jeno stóp.
Dopiero w śmierci widna skala,
Czem to się człowiek zadowala.
Diogenes czuł się pełen mocy,
A w beczce mieszkał w dzień i w nocy;
Choć nie miał nic i tak był biedny,

To przecież pragnął rzeczy jednej:
By Aleksander odszedł wkońcu
I nie stał mu przed beczką w słońcu.
Kto sobie wytknął wielkie cele,
Na kartę stawić musi wiele.
Co z tego, że kto świat zagarnie,
Kiedy w nim potem zginie marnie?
Co z tego, że masz dobrą tuszę,
Skołoś na piekło skazał duszę?
Kto gęsiom dać chce rękawiczki,
Z zaułków zrobić wlot uliczki,
Kto górę zrównać chce z doliną —
Dla tego stąd frasunki płyną.
Za wiele trosk nie plują nic,
A tylko zdrowie spędza z lic.
Ten błaznem jest, kto tem się smuci,
Czego sam przecie nie odwróci.

Tłum. Alfred Tom.

¹ Uniwersytet. ² Posłali do... ³ Uczeń. ⁴ Nasypał. ⁵ Samogłoski.

ULRICH VON HUTTEN

(1488—1523)

Z DIALOGU p. t. «OGLĄDAJĄCY»

(Sol-bóg słońca i syn jego Faeton-woźnica przypatrują się z nieba życiu w Niemczech.)

Faeton: Spójrz, ojczy, jak tam jeden wyraża swe oburzenie i gorączkuje się ze złości; z procesji woła coś wgórze, i sędzę nawet, że gniewa się na nas, bo patrzy w naszą stronę.

Sol: Tak jest, na mnie się gniewa. Posłuchajno, co ten człeczek mówi, jak zuchwale grozi mi, naszożywszy czolo!

Kajetan: Ty tam powinienes na pierwsze moje skinienie, nie mówiąc już o rozkazie, zaświecić czyściej i jaśniej, niż to jest w twoim zwyczajuj!

Sol: Co mówisz, legacie? Co powiadasz? Czy do mnie zwracasz te słowa?

Kajetan: Do ciebie? Jakbyś to nie miał na sumieniu wielkiej zbrodni!

Sol: Zaprawdę, nie nie wiem, chyba więc od ciebie się dowiem, co popełniłem zdroźnego.

Kajetan: Powiadam: czy wyjdiesz raz wreszcie z ukrycia, zloczyńco jeden, i pokazesz się światu? Ty tam powinienes na pierwsze moje skinienie, nie mówiąc już o rozkazie, zaświecić czyściej i jaśniej, niż to jest u ciebie we zwyczajuj!

Sol: Nie widzę jeszcze, com popełnił zdroźnego.

Kajetan: Nie widzisz tego ty, który przez całe dziesięć dni nie pokazałeś ani jednego promienia swego blasku, tyłkoś owinął się swawolnie wszystkimi chmurami, jakbyś światu zazdrościł światła dziennego?

Sol: To wina astrologów i gwiazdarzy, jeśli to wogóle jest winą, bo ci tak ustanowili w swych kalendarzach, bym nie świecił w tym czasie.

Kajetan: Powinienes był jednak raczej baczyć na to, czego chce legat papieża, niż co się podoba gwiazdarzom! Czy nie wiesz, czem ci groziłem, gdym wyruszał z Włoch, o ilebyś Niemiec, które nie wporę są zimne, nie rozgrzał wielkim upałem, żebym się czuł zupełnie jak w lecie i nie miał potrzeby pragnąć powrotu do Włoch?

Sol: Wcale nie zwróciłem uwagi na to, coś mi nakazał; nie sądziłem też, że człowiek śmiertelny może rozporządzać słońcem.

Kajetan: Nie sądziłeś tak? A czy ci nie wiadomo, że papież rzymski (który teraz całą swoją moc wcielił we mnie, swego legata) może w niebie i na ziemi wiązać oraz rozwiązywać wszystko, co mu się podoba?

Sol: Wprawdzie słyzałem, jak o tem mówiono, nie sędzę jednak, by tak było, jak on się przechwala; bo nigdy jeszcze nie widziałem, aby człowiek śmiertelny cośkolwiek rozkazywał tu na górze.

Kajetan: Co takiego! nie sądzisz? O, zły chrześcijaninie, którego należałoby jako kacerza skazać na wygnanie i wydać djabłu!

Sol: Chcesz mnie strącić z nieba i wydać djabłu i, jak to się mówi, zabrać słońce ze świata?

Kajetan: Przysięgam na papieża, że to uczynię, jeżeli natychmiast nie wyspowiadasz się jednemu z moich pisarzy i nie poprosisz mnie o absolucję.

Sol: A kiedy się już wyspowiadam, cóż wtedy zrobisz ze mną?

Kajetan: Zadam ci pokutę, żebyś, dajmy na to, pościł albo wykonał ciężką robotę, odbył pielgrzymkę, dał jałmużnę, przyłożył się do wojny tureckiej lub wykupił odpust, aby można odbudować kościół św. Piotra w Rzymie, jako że się zapadł. A może chcesz zaoszczędzić złote pieniądze i dać się schłostać różgami za swoje grzechy?

Sol: Surowa to jest kara. Ale co zamierzasz potem zrobić ze mną?

Kajetan: Potem cię uniewinnię i całkiem oczyszczę z grzechu.

Sol: Chcesz więc, wedle przysłowia, dać światło słońcu?

Kajetan: Tak jest, jeżeli mi się spodoba, na mocy kompetencyj, których udzielił mi dziesiąty Leon.

Sol: Jakież słyszę tu kpiny! Czy myślisz, że nawet między najgłupszymi ludźmi ktoś jest tak w ciemię bity, by uwierzył, że to potrafisz, nie mówiąc już o słońcu, które widzi z góry wszystkie rzeczy? Każ sobie zadać na purgację z ciemierzycy czarnej, bo zdaje mi się, że dostajesz obłędu.

Kajetan: Obłędu! Jesteś de facto wyklęty, gdyż odezwałeś się bez należnej czci do legata papieskiego, wskutek czego podpadłeś wielkiemu i niewygasłemu potępieniu. Niebawem rzucę na ciebie publicznie na ogólnem zebraniu kłatwę, ponieważ mnie rozgniewałeś.

Faeton: Ojcie, w odpowiedzi na te pogróżki powinienbym dmuchnąć mu w twarz mocnym jakimś wiatrem. Czegóż biedny taki człowieczek chce dokazać przeciw bogom nieśmiertelnym!

Sol: Nie, raczej gardźmy nim, choć godny jest litości, że wskutek choroby tak zidjociał.

Faeton: Jakiej choroby?

Sol: On jest chory na chciwość. Ponieważ nie udaje mu się w Niemczech jego sprawa, mianowicie by się nażłopać po szyję, wpadł on we wściekłość i przez to zmysły postradał.

JAM SIĘ ODWAŻYŁ!

Od prawdy nie odstąpię dumnie,
I tego nikt nie wskóra u mnie;
Nie zmuszą mnie też do milczenia
Papieskich kłatw złorzeczenia,
Co mają we mnie budzić strach;
Pobożna matka tonie w łzach,

Że tą się zaprzątnąłem sprawą —
Pociesz ją, Boże!... Naprzód żwawo,
Choć wciąż daleki będzie próg;
Że nie wyboczy się, da Bóg —
Użyję nato rąk i nóg.

Jam się odważył!

Tłum. Alfred Tom.

MARTIN LUTHER

(1483—1546)

WAROWNYM GRODEM...

Warownym grodem jest nasz Bóg,
Obroną i schronieniem,
Gdy Prawdy Bożej straszny wróg
Zagraża jej zniszczeniem.
I miota złości jad,
Nie szczędzi gróźb i zrad,
Nateża swoją moc,
By szerzyć błędu noc:
Któż sprostą mu na ziemi?

Z sił naszych szatan sztydzi wciąż,
Wnet zniszczyłyby je zdołał,
Lecz za nas walczy silny mąż,
Którego Bóg powołał.
Któż on jest? pytasz się.
Ten, który zbawił cię,
Pan Jezus Chrystus sam,
Zwycięstwo da On nam
I zajmie pole boju.

Świat, choćby pełen czartów był,
Pochłonać nas nie może,
Bo Ty nam dodasz nowych sił
Przez Ducha Twego, Boże!
O, pewny triumf nasz,
Bo przy nas Jego straż,
I złości zdradny bój
Już bierze koniec swój,
A Słowo Twe zwycięży!

To Słowo ma głoszone być,
Bo w niem jest żywot wieczny:
Kto według niego zechce żyć,
Jest w życiu tem bezpieczny.
Niech wezmą żywot sam,
Dom lub dobytek nam,
Rodzinę, mienie, cześć,
Lecz nie zdołają znieść
Królestwa Twego, Boże.

Tłum. ks. J. Splezyński (zm. 1879).

Z UWAG WSTĘPNYCH DO «KAZAŃ PASYJNYCH»

Nastala pora roku, w której w kościele śpiewają i miewają kazania o męce Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Zwyczaj ten pragniemy też zachować, bo nie jest to rzecz zła, aby ta pożyteczna i pełna pociechy historia miała w ciągu roku pewien ustano-

wiony czas, w którymby ludowi od początku do końca była opowiedziana z wykazaniem, jaki mamy z niej pożytek i jako jej na swój pożytek użyć winniśmy. Albowiem jawna jest wielka potęga djabła. Choćby codzienne miewało się kazania, jednak djabeł tak wielki opór stawia kazanemu słowu, że serca stygną, ludzie kazań sobie nie ważą i pozostają dzisiaj takimi, jakimi byli dawniej, jeśli nawet nie stają się jeszcze gorszymi. Ta nęda duchowa zmusza nas tedy, abyśmy nie ustawiali w opowiadaniu słowa i właśnie także historję o męce Pańskiej pokolei, ile czasu starczy, przystępnie opowiedzieli prostaczkom. Bo niema tu co żartować. My, co bezustanku słowem Bożem się zajmujemy, sami doświadczamy tego, jaka stąd powstaje szkoda, gdy dzień albo dwa w słowie tem się nie ćwiczymy; czy nie musieliby daleko większej doznać szkody ci, którzyby w ciągu jednego roku albo dwóch lat żadnego nie usłyszeli kazania? Zdziczeliby, jak bydło. Trzeba tedy bezustanku kazać, rozniecać i rozdmuchiwać płomień, Bo djabeł także nie ustaje, ciągle dolewa on zimnej wody, inaczej nie byłoby kazanie tak bezowocne, i musieliby ludzie bardziej się poprawiać przez słowo, zwłaszcza gdy tak czysto i jasno opowiadane bywa.

Jest wielu, co lubią słyseć, gdy się opowiada, że Chrystus za nas sprawił za-dośćuczynienie, że zbawienia nie dostąpimy przez nasze uczynki i zasługę, bo tylko Chrystus je uzyskał przez krew i śmierć swoją. Ale skoro poczniesz napominać i wołać: Jeśli chcesz mieć pożytek z męki Pańskiej, musisz przestać skapić, za bogactwem gonić, cudzołożyć, obżerać się i opijać, nadymać się — to zaraz się oburzają, nie chcą, aby ich dla grzechów karcono albo za niechrześcijan uważano. Cóż tedy mamy począć? Szczególnie uczniom zdarza się, że djabeł przeszkadza, aby nauka zakorzeniła się w sercu. Przeto dla chwały Bożej i dla naszego zbawienia nie wolno nam ustawać w opowiadaniu słowa, aby przy przeważnej większości tych, co słowa przyjąć nie chcą, przecież reszta od niego nie odpadła i aby tym sposobem zachowała się w pamięci ofiara, którą Syn Boży za nas uczynił.

(Przekład bezimienny w «Postyli domowej» Lutra, wyd. Tow. Ewang. Oświaty Ludowej w Cieszynie 1883.)

HANS SACHS

(1494—1576)

RÓŻNE DZIECI EWY (w skróceniu)

Gdy Bóg dał Ewie już niejedno dziecko
— Czy rozumiecie? —
Chciał ją razu pewnego odwiedzić na świecie;
A więc też matka z konsolacji swojej
Wybiera najpiękniejsze, myje, czesze, stroi
I zdobi w kwiecie,
By na nie patrzył łaskawiej.
A inne dzieci, ubogie w urodę,
Stare i młode,
Między słomę i siano ukrywa w zagrodę;
W piec także cząstkę chowa swej gromadki,
Albowiem krwawi
Lęk serce matki,
Że, miast pozyskać nagrodę,
Na śmiech je tylko wystawi.
Gdy więc Ewa odwiedzin dostąpiła chwały,
Przyjął Boga dzieciątek pięknych szereg cały;
Przed Nim się popisywały,
Jak je matka nauczyła...
Podobała się Panu ta gromadka miła,
I wszystkie je błogosławi:

Jednemu dał królestwo na ziemskim obszarze,
 Drugiemu, co tuż stał w parze —
 Księstwo; znów trzeci dostał hrabstwo w darze;
 Czwartego mianem rycerza zaszczyca;
 Piąty wziął godność szlachecka;
 Szóstemu mieszczaninem każe
 Zostać w podziale stanów.
 Ewa, słysząc jak hojnie Boża łaska splywa,
 Bieży szczęśliwa
 I resztę swych dzieciątek z ukrycia dobywa —
 I oto staje przed Panem
 Pługawa zgraja, okryta lachmanem,
 Brudna, płaczliwa,
 Podobna do Cyganów.
 A Pan się pocznie śmiać i każde darzy:
 Wieśniaków, rzemieślników czyni z nich, kramarzy,
 Młynarzy i piekarzy,
 Szewców, tkaczy, drwali,
 Garbarzy i leśników, zdunów i kowali,
 Rybaków i furmanów.

«Czemu, o Panie» — ze strachu błada
 Ewa powiada —
 «Twoje błogosławieństwo tak nierówno pada?
 Ode mnie i od męża mojego wszak przecie
 Pochodzi bez różnicy żadnej każde dziecko,
 A więc wypada, by każde równą część dostało!»
 A Bóg odpowie: «Nato mam władzę,
 Tak sobie radzę,
 Każdy stan bowiem ludźmi obsadzę
 I do każdego — przedni czy pośledni —
 Czynię pomiędzy ludźmi wybór odpowiedni,
 By w równowadze
 Tworzyły całość zgodną, trwałą».

Miarkujcie zatem z tej baśni,
 Że stan każdy ma ludzi znajdować bez waśni...
 Z niej też widzicie najjaśniej,
 Jak Bóg przedziwnie rozkazuje
 I jak kieruje
 Mądrze, przezornie ziemią całą.

Tłum. Władysław Nawrocki.

BRAT WĄTPISZ I CUDOWNE PIÓRO

W Westfalji mała jest miescina,
 Która Kortalu nosi miano.
 Przy niej wzgórz szereg się zaczyna,
 A te z obfitych pastwisk znano.
 Pasła się bydła moc nielada,
 Ale przeważnie świni stada.
 Więc licznie szli tu — pewni swego —
 Mnichy świętego Antoniego,
 I każdy starał się w pokorze
 Jałmużny zebrać, ile może.

Raz właśnie mnicha tam wysłano,
 Który Wątpisza nosił miano;

Lis był, na cztery kuty nogi!
 Gdy opowiadał, lud ubogi
 Z podziwu usta niby wrota
 Otwierał — takie lgarz-niecnota
 Prawił im dziwy, cuda, baję.
 Każdy mu jednak wiarę daje —
 O! prości, głupi są ludziska.
 Z mnichem szedł sługa Lizimiska,
 Głupi i ciężki — istna kłoda.
 Jedna przyjęła ich gospoda.
 Nazajutrz — była to niedziela —
 Mądry mnich ludziom rad udziela,

Z ambony woła, grozi, prosi:
 Niech każdy jak najwięcej znosi
 Darów dla księcia niebieskiego,
 Dla przesławnego Antoniego;
 Niech dają zboże, chleb, kielbasy,
 Pieniądze, wino — po wsze czasy
 Święty przez wdzięczność słoń strzec będzie
 Od wilków. Skończył swe orędzie
 I z nabożeństwem opowiada,
 Jaki niezwykły skarb posiada
 Ku utrapionych dusz radości.
 Gdy dzwon na nieszpór ludzi zwoła,
 Wszystkim pokaże z archaniola
 Gabryjela skrzydeł jedno pióro.
 Słyszą to młodzi dwaj zuchowie
 I czują kłamstwo w każdym słowie.
 Mnich za gościnnym zasiadł stołem.
 Ci do gospody suną społem
 Cud-pióro mnicha wykraść żywo.
 W gospodzie był nasz Lizimiska —
 U kuchennego siadł ogniska,
 Drzemie, do dziewczki się przymila —
 Słowem, wybrana była chwila!
 Patrzą: komora pusta, cicha —
 Otwarty leży worek mnicha,
 W nim, ku ucieście i zabawie,
 W szkatułce malej pióro pawie
 Znaleźli — w jedwab owinięte,
 I pragnąc zgnębić mnicha zdradą,
 Na miejsce piórka węgiel kładą:
 Co też uczyni na nieszpórze,
 Gdy zamiast pióra — węgiel w worze?
 Na nieszpór śpieszy wszelka dusza,
 I nasz brat Wątpisz już wyrusza.
 Szkatułkę swoją bierze — ale
 O dziwnej zmianie nie wie weale.
 Zaczął kazanie mądrze, czule
 O skarbie, jaki ma w szkatule.
 Więc z namaszczeniem ludziom prawił:

Gdy się w Nazaret Gabryjel zjawił,
 Niosąc anielskie pozdrowienie,
 Utracił pióro. Niech skupienie
 Pobożne w duszach waszych będzie.
 Zapalcie światła! Na kolana!
 Oglądać cud wam łaska dana. —
 Dłoń już na skrzynki składa drzewie
 (A co go czeka, jeszcze nie wie)
 I szybkim ruchem ją otwiera —
 Miał pióra, węgiel z niej wyziera!
 Tu trwoga padła nań niemała,
 Aż piękna mowa się urwała.
 Lecz wnet zrozumiał, czego trzeba,
 Ręce i oczy wniósł do nieba
 I woła: Patrzenie, cuda, dziwy!
 Toż ja myślałem, przez Bóg żywy,
 Żem zabrał pióro Archaniola,
 A mam tu inną świętość zgola:
 Węgiel — co na nim był pieczony
 W Rzymie Wawrzyniec święty, czczony
 Męczennik. Węgiel wyprosiłem,
 Gdy w Jeruzalem świętem byłem —
 Dał mi go ksiądz błogosławiony —
 A jest on siłą obdarzony
 Cudowną. Kogo, bracia moi,
 Dotknie — pożaru się nie boi
 Rok cały; a więc w dobrej chwili
 Dajcie się dotknąć, bracia mili!
 I do Wątpisza wraz ochoczo
 Starzy i młodzi już się tłoczą,
 I każdy składa grosz w ofierze.
 On z namaszczeniem węgiel bierze,
 Babom na czepcach krzyżyk stawia,
 A grosz wylawia i wylawia.
 Za czarny węgiel bierze białe
 Srebro na większą boską chwałę.
 Za nie napije się i naję,
 A ludzie wierzą, co im baje.

Tłum. Marja Markowska.

JOHANN FISCHART

(1546—1590)

Z «FILOZOFICZNEJ KSIĄŻECZKI O POŻYCIU MAŁŻEŃSKIM»

Duszę ludzką da się porównać do pszczoły, która nie może żyć samotnie, ale umiera z chwilą, gdy zostaje sama. Dlatego też szuka ona zawsze społeczności, w którejby działała, znosiła i pracowała oraz troszczyła się nie jedynie o siebie, ale i o innych. Z czegoż innego jednak składa się społeczność, jak nie z wielu pokoleń i gospodarstw? Początkiem wszelako pokoleń są małżeństwa: kto przeto człowieka pozbawia związku małżeńskiego, ten niszczy również pokolenia, a nawet miasto, gminę, cały ród ludzki, wszelkie przyjazne zamieszkiwanie pospólne, zgodne zjednoczenie, wolę sąsiedzką, pieczołowitość ojcowską, serdeczność macierzyńską, wdzięk dziecięcy, miłość między rodzeństwem, pokrewieństwo szwagierskie, wierność domową, porozumienie towarzyskie, lubą jedność i zgodne rządy tego świata. Gdzie bowiem jest życie porządne bez małżeństwa?

Podobnie jednak jak pszczoły nietylko wydają na świat młode, lecz i plastrów miodu dostarczają i rusztu oraz wosku, tak wielu małżonków nietylko wychowuje dzieci, lecz usiłuje też poznać rzeczy dobre, służące do zachowania nietylko ich obcowania towarzyskiego, ale całej gminy. Jak młode pszczoły muszą odrazu przystąpić do społeczności i pracy, tak też porządni małżonkowie wciągają natychmiast dzieci swe do małżeńskiego gospodarstwa, iżby dzięki temu została utworzona gmina. Jak pszczoły niecierpią wśród siebie leniwych trutni, tak w gospodarstwie wszystko musi odbywać się poważnie.

Patrzcie tedy, jak cudnie też pszczoły przykładem swoim wskazują nam współżycie domowe i niejako wypominają nam naszą nieżyczliwość i karcą nas za nią. W szczególności jednak winien ród kobiecy przeglądać się, jak w zwierciadle, w powadze pszczoł, iżby niewiasta była niejako królową w ulu swego domostwa i pod względem urządzenia wszelkiej pracy, troski o pożywienie oraz rozsyłania do zajęć czeladzi podobna była do królowej ula.

Tłum. Alfred Tom.

GEORG ROLLENHAGEN

(1542—1609)

Z «PRZYGÓD ŻAB I MYSZY»

Ukazanie się króla myszy

Dzieci wody gdy tak zgrają
Skaczą sobie i igrają,
Słońce w górę się pomyka,
Cień na ziemi coraz znika,
Upał grzeje, bo od słońca
Leje się ogień bez końca:
Wtem od lasku, od pagórka
Wychodzi mała figurka;
Białe futerko ją kryje,
A korale zdobią szyję,
Przepaska złota niewielka,
Ogonek jakby szabelka,
Sam jak konik stąpa śmiało.
Grono króla otaczało,
Nie tak śmiałe i bogate,

Strojne w futra popielate.
Gdzie pan biegnie, biegną sługi
Gasić pragnienie u strugi.
On do brzegu skoczył żwawy,
Podparł się na łapce prawej,
Schylił główkę; wraz u brody
Lśnią jak perły — krople wody;
W wodzie topi pyszczek mały,
By się wargi nachteptały:
Gdyby to miód, cukier był,
Nie takby go smacznie pił.
Potem języczkiem wesoło
Nos, usta oblizal wkóło;
Kłaska jeszcze, ssąc ostalki,
Jak dziecko przy piersiach matki.

Śmierć króla myszy

W tem nieszczęściu, ach! niemiło
Na biedaka patrzeć było.
Przewrócony padł w jezioro
I łapek wyciągnął czworo.
Zębem zgrzyta i wyrzeka,
Że od brzegu jest zdaleka.
To raz na dno leci w pędzie,
Znów się nawierzch wydobędzie.
A gdy się tak w wodzie wije,
To ją rzyga, to znów pije,
Piana otoczyła usta,

Zbladł mu nosek, jakby chusta,
Z rąk się śmierci nie wywinie;
Włoski zmokły na głębinię;
W rączkach, w nóżkach siły mało,
Jasne słońce poczerniało,
Dzień mu blasku już nie daje,
I oddech w piersiach ustaje,
Serce stanęło kamieniem.
Nie pożegna już spojrzeniem
Zorzy, co w tej chwili właśnie
Za górą w chmurach gaśnie.

Tłum. A. J. Szabrański.

MARTIN OPTZ

(1597—1639)

Z «PIESNI»

Noc rzuciła swoje cienie,
Wszędzie pokój i milczenie,
A w tej ciszy, wiosną strojnej,
Ja sam tylko niespokojny.

Pięknie świeci twarz księżycy,
Gwiazdki mają złote lica,
I wesołe wszystkie strony,
A ja w smutku pogrążony.

Gwiazdy sięją światło z siebie,
Lecz dwóch braknie gwiazd na niebie,
Braknie w te gwiazdziste wianki
Dwojga oczu mej kochanki.

Światło niebios nieprzyjemne,
Gwiazdy, księżyc dla mnie ciemne,
Bo Astris moja tajemnie
Niebo odwraca ode mnie.

Lecz gdy moje męki skróci
I zaraz na mnie oczy zwróci —
Oby w chwili tej nad nami
Zagasił księżyc wraz z gwiazdami.

— *Tłum. A. J. Szabrański.*

Pójdźmy się przejść po niwie,
Posłuchać w cieniu drzewa,
Jak wszędzie pieszczotliwie
Ptaszęcy śpiew rozbrzmiewa.

Szczęśny — co wolny nuci,
Jak my, pieśniarze leśni...
Niech jego gędzba wróci
Do tej, co źródłem pieśni.

Choć śpiewam bez wytchnienia,
Nikt pieśni nie wysłucha...
Ta, co uczyła pienia,
Sama jest na nie głucha.

Szczęśliwszy ten, co wolny
Bez trosk, bez trwogi żywie,
Jak ty, śpiewaku polny,
Bezpiecznie, nietęskliwie.

Tys człowiekowi miły...
Więc też na ciebie czyha...
Mnie pęta usidlily
Tej, która mnie odpycha.

By pierzchnąć na świat boży,
Dla ciebie nie brak środka;
Mnie spętać musi srożej,
Nim mnie zbawienie spotka.

— *Tłum. Władysław Nawrocki.*

Z POEMATU «ZLATNA CZYLI O SPOKOJNOŚCI UMYSLU»

...Kocha zielone pola i te ceni godnie,
Tam on czystem powietrzem oddycha swobodnie
I odwagi nabiera. Gdzie rozciąga łąka,
Wpółśród jagniąt jałówka za trawą się błąka,
A pasterz ogorzaly, co wśród lip tych stoi,
Na swym kijku oparty, dla kochanki swojej
Znane głoski na korze drzew wzniosłych wyrzyna
Lub o niej sielską sobie piosenką wspomina.
Blisko, żądzą zajęte, wśród chróstów i bloni
Ze rzeniem i wesoło pędzi stado koni.
On obchodzi daleko, zwiedza barcie swoje,
Widzi, jakby dwa wojska, dwa przeciwne roje
Tuż przy ulu bój toczą, powracając z niwy;
Winne gałązki spadły, gospodarz troskliwy
Tyczką wspiera latorośl. Przybywa i żona,
Nie razi wonią piżma ani wystrojona

Jak ów fałszywy towar, co ma złudzić oczy,
 Ale skromna i pełna prostoty ochoczej
 Trzyma wianek z róż wily, wraz podnosi dłonie
 I kwiatami swojemi zdobi męża skronie.
 Wkrótce siedli przy lasku w zielonej gęstwinie,
 Strumyk z szmerem wybiega i u stóp im płynie
 Jaśniej nad kryształ...

Tłum. A. J. Szabrański.

FRIEDRICH VON LOGAU

(1604—1655)

Z «EPIGRAMÓW»

Kamień młyński, serce ludzkie w ciągłym ruchu zawsze trwają;
 Gdy nie mają nic do mlenia, same w sobie się ścierają.

Jak salata przyrządzona, być powinna wszelka kara:
 Niech w nią mało wchodzi octu, a oliwy coniemiarą.

Prawda jest jako suknia, co, na siebie wzięta,
 Stroi pięknie — ni słowa, ale tylko w święta.

Bóg dobrze tworzy — lecz my źle czynimy;
 On nam wino daje — my piwo warzymy.

Luter, papież, Kalwin tworzą trzy religje, jak przystało;
 Jedno tylko zaciekawia: gdzie chrześcijaństwo się podziało?

Rzeczą ludzką grzeszyć stale,
 Djabłą — w grzechy brnąć wytrwale,
 Chrześcijan — grzechów obrzydzenie,
 Boską — grzechu odpuszczenie.

Matka dziecię swe nosi w łonie trzy kwartaly,
 Matka skarb ten swój dźwiga na rękę, gdy mały,
 Matka dzieci swe w sercu nosi żywot cały.

Tłum. Wł. Trąmpczyński.

PAUL GERHARDT

(1607—1676)

DO OBLICZA

Patrz, głowa Zbawcy cierniem uwieńczona,
 Boleści pełna, pełna cierpień srogich.
 Ta święta głowa cała krwią zboczona,
 Wśród szyderstw wielu i urągani mnogich.
 O, Chryste Jezu, pelen czei i chwały,
 Ku tobie zwracam ja swój wzrok zdumiały.

Dlaczegoż, Paniel święte Twoje lice
 W niegodny sposób było spotwarzone?
 I smutno patrzą Twoich ocz źrenice —
 Boleści łzami one są zwilżone.
 Dlaczegoż, Jezul któryś był bez zmazy,
 Znać na Twej twarzy i policzków razy?

Ach! za mnie, za mnie znosisz te cierpienia,
 Za moje grzechy, za to, żem Twym wrogiem,
 Ty bierzesz na Się moje przewinienia;
 Ród ludzki grzeszny, Ty go jednasz z Bogiem.
 Com ja zawinił, znosisz bez szemrania —
 O, wielkie dzieło Twego pojednania!

Gdy tak spoglądam na Cię, Zbawicielu!
 Spójrzij i na mnie wzrokiem Twej litości,
 Za swego uznaj, dusz Odkupicielu,
 I obdarz łaską w Swej ku nam miłości.
 O, Jezu Chryste, wierny dusz Pasterzu!
 Ty mnie zachowaj w świętem Swem przymierzu.

Daj, abym zawsze w ciągu życia mego
 Zalał wzrok swój w Twoje święte rany,
 Bym wierzył w Ciebie, Zbawiciela swego,
 Bym żył cnotliwie, Tobie był oddany.
 A gdy ostatnia nadejdzie godzina,
 I ona niech mi śmierć Twą przypomina.

Gdy umrzeć przyjdzie, wtedy przymym skonie
 Raz jeszcze zechciej spojrzeć na mnie, Panie!
 W cierniowej niechaj ujrzę Cię koronie,
 A pełen wiary umrzeć będę w stanie.
 Zbawienia pewien, przejdę do wieczności,
 By Cię oglądać w wiecznej szczęśliwości.

Tłum. ks. A. Diehl.

PIEŚŃ WIECZORNA

Spoczęły pola, lasy,
 Twór wszelki legł na wezasy,
 Uśpiony cały świat.
 Lecz wy, uczucia moje,
 Niech teraz was dostroję
 Do pieśni, którym Stwórca rad.

Gdzieś się podziało, słońce?
 Spłoszyły nocy gońce,
 Co świat przykryły snem?
 Zagaśnił!... światłość inną,
 Z słodczy swojej słynną,
 Mój Jezus zażegł w sereu mem.

Dzień zapadł w nocnym cieniu,
 Na niebios już sklepieniu
 Zabłysnął gwiazdek rój;
 Tak ja też jaśnieć będę,
 Gdy w rzędzie świętych siędę,
 Zrzuciwszy z siebie świata znój.

To ciało me strudzone
 Wywczasu jest spragnione
 I składa ubiór swój;
 Ten ciała strój zniszczeje,
 Lecz Chrystus mię odzieje
 W odwiecznej czci i chwale strój.

I myśl, i członki moje
 Szczęśliwe, że już znoje
 Znalazły dzisiaj kres:
 Pan odpocznienie sprawi,
 Na zawsze mię wybawi
 I wyrwie mię z padolu lez.

Znużone moje ciało,
 Odpocząć ci się zdało,
 Potrzebny tobie czas;
 Wnet może czas nastanie,
 Że w ziemi ci postanie
 Uścielą już ostatni raz.

Gdy więc zamykam oczy
 I sen już wnet mię zmroczy,
 I minie dzienny znój,
 Bądź wtedy mą ochroną
 I pewną mą obroną,
 O Panie, wierny stróżu mój!

Rozpostrzyj skrzydeł dwoje,
 O Jezu, szczęście moje,
 I przytul dziecię swe.
 Gdy czart się na mnie rzuci,
 Niech anioł Twój zanuci:
 To dziecię przynależy mnie.

I wam też, moi mili,
 Niech nic tej nocnej chwili
 Nie mąci waszych snów:
 Bóg niech wam dopomoże,
 I niechaj wasze łoże
 Otoczy świętych Jego huf.

(Przekład bezimienny w «Śpiewniku dla kościoła ewang.-augsb.», Warszawa.)

PAUL FLEMING

(1609—1640)

PIOSENKA

Śpij, Jutrzenko, w objęciach twojego kochanka!
 I któż w nocy głębokiej wzdycha do poranka!
 Gwiazdy płyną po niebiosach
 Coraz wyżej w górę tam
 I słuchają z zadumaniem,
 To, co im powiedzieć mam.

Dziewięć godzin przepędzam samotnie najmilej,
 Dziewięć godzin ja dumam o mojej Koryli,
 O mej Koryli pięknej,
 Ach, z odległych stron,
 Do której brzmi z ust moich
 Zawsze smutny ton.

Nad snem lubym Koryli czuwajcie, strażnicy,
 Tem nagródźcie za stałość mej lubej dziewicy.
 Ja jej wierny pozostanę
 Wśród najcięższych prób,
 Pokąd nieprzyjacieli ziemi
 Nie wtrąci mnie w grób.

O CAŁUSACH

W same usta całuj składnie,
 A całus do serca wpadnie:
 Bez przymusu, bez rozpusty
 Dotknij zręcznie swemi usty.

Ani wiele, ani mało,
 Bo się to na nic nie zdało.
 Gdy milczkiem lub z trzaskiem palnie,
 To bardzo nienaturalnie.

Niezbyt zbliska lub zdaleka,
 Bo każdy na to narzeka;
 Żle gorąco, chłodno gorzej —
 To rozkoszy nie przysporzy.

Bez gwałtu, w ciągłej nadziei,
 Czasem razem lub z kolei,
 Niezbyt wolno, nie z pośpiechem,
 Żle z boleścią, źle ze śmiechem.

Wpół z przyciskiem, wpół z westchnieniem,
 Usta w usta zatop z drzeniem,
 A pamiętaj — w jakiej chwili,
 Bo w samotności najmilej.

Każdy niech sobie pomoże,
 Jak chce, umie lub jak może.
 Ja i luba moja znamy,
 Jak my się całować mamy.

Tłum. A. J. Szabrański.

NOWE POSTANOWIENIE

Świecie, dobranoc! Z jestestw twojemi miljony
 Miałem ciebie aż nadto! Zło się tylko rodzi,
 Gdzie ty jesteś! Więc gniew twój nie mnie nie obchodzi:
 Jam szczęśliwy, bom przebrnął, bo mój byt skończony.

Bogu chwała i dziękil Jestem uleczony,
 Pełno w sobie mam nieba! Ono nie zawodził!
 Zaś ty czy dobro czynisz? Zmuszasz, że nadchodzi
 Szczotka z niebios, co zetrze proch twój na wsze strony.

Świeciel Ty paro! Odtąd wyższym ja się czuję,
 Odtąd wolny nad tobą i sobą szybuje
 I nad wszystkim, co wielkie, a co zwie się twoje!

Teraz dobro najwyższe nawskroś mnie przejmuję,
 Teraz wielkość, bogactwo przede mną się snuje!
 Nie jestem sobą! Wara zwracać życie moje!

Tłum. W. Trąmpczyński.

ANDREAS GRYPHIUS

(1616—1664)

Z «HORRIBILICRIBRIFAX'A»

(Rozmowa dwóch wojaków-samochwałów — Daradiridatumdarides'a i Horribilicribrifax'a.)

Horrib.: A choćbyś umknął przede mną i siedział już na lewej nodze Wielkiej Niedźwiedzicy, jeszczebym cię schwytał i dwoma palcami wrzucił do góry Etny.

Darad.: Garde vous Follastreaul! myślisz, że drapnąłbym przed tobą? Choćbyś był bratem wielkiego Karola, samym nawet wielkim Rolandem i więcej czynów dokonał, niż Scanderbeck, ba, choćbyś nawet wlał w skórę Tamerlana, nie napędziłbyś mi najmniejszego strachu.

Horrib.: Ja? nie chcę ci wcale napędzać strachu, tylko potrząskać cię na siedemdziesiąt i jeszcze parę setek tysięcy kawalków, tak żebyś się udusił w morzu własnej krwi. Jo ho vinto l'inferno e tutti i Diavoli.

Darad.: Ja cię rozdrobnię na więcej kawalków, niż teraz jest gwiazd na niebie, i tak cię urządzę, że będzie z ciebie ciekła krew, aż najwyższy szczyt wieży kościelnej w niej się zanurzy.

Horrib.: Per non lascias piu oltre passar qvesta superba arroganza, zagram z tobą całe oblężenie Troi.

Darad.: A ja z tobą — zburzenie Konstantynopola.

Horrib.: Jo spiro morte e tuore, ale zostawiam ci jeszcze trochę czasu, żebyś mógł polecić duszę Bogu i odmówić Ojczenasz! — Będiesz przynajmniej miał ten zaszczyt, umierając, że zginąłeś z niezwykłej pięści tego, co zastrzelił króla Szwecji.

Darad.: Powiedz Zdrowaś Marja i natychmiast umieraj. — Miej tę pociechę, że padłeś z ręki tego, który doszczętnie zniszczył Tylliego i Pappenheima.

Horrib.: Tak właśnie dobyłem miecza w bitwie pod Lützen.

Darad.: Morbieu, me voyla en colere! mort de ma viel je suis faschè per ma foy! Tak to się bronilem w potyczce pod Nerglingen.

Horrib.: Ha! ha! czyście nie qvesto capitaino, co to się z nim strzelałem pod Gula?

Darad.: O! czyście nie ten pan, z którym zawarłem braterstwo pijackie w Schlichtheimie?

Horrib.: Ha, mon Signeur, mon Frere!

Darad.: Ha, Fradello mio illustrissimo!

Horrib.: Broń Boże, jakie nieszczęście mogło się stać niebawem!

Darad.: Co za rozlew krwi! massacre & strage, gdybyśmy się byli nie poznali!

Horrib.: Magnifici i Cortesi Heroi łatwo mogą bezwiednie natknąć się na siebie.

Darad.: Lerbeux Esprits poznają się wzajem dzięki tego rodzaju rencontre.

Tłum. Alfred Tom.

ANGELUS SILESIUS (JOHANN SCHEFFLER)

(1624—1677)

Z «PĄTNIKA CHERUBIŃSKIEGO»

Sam człowiek jest wiecznością, kiedy na świat zdąży
I Boga w sobie, a sam w Bogu się pograży.

Niebo samo nie spadnie, trzeba je osiągnąć;
I Pan Bóg sam nie zstąpi, potrzeba Go ściągnąć.

Niepokój jest zegarem, on czas ludziom stwarza:
Kto umorzył niepokój, wnet i czas umarza.

Zaiste miłe Bogu jest aniołów pienie;
Ale daleko miłsze człowieka milczenie.

Czy wiecie, żeśmy dłużej niżeli Bóg żyli?
Bóg jest wieczny, a przecież nie żył ani chwili.

Bóg jest dobrem, więc wszystko, na co duch narzeka:
Zło, śmierć i potępienie — pochodzą z człowieka.

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

Niech się twa dusza jako dolina poloży,
A wnet po niej jak rzeka popłynie duch boży.

Tłum. Adam Mickiewicz.

Bóg wręcz jest nieobjęty — omyli lada wzięcie,
A jednak go całego zamyka ludzkie serce.

Glupiec bogactwo roi i z worka złota rad —
Mędrzec ubogim będzie, choć dasz mu cały świat.

Po Bogu skarb największy człowieka dobra wola:
Strać wszystko, ona znowu wyzłoci twoje pola.

Tłum. Józef Jankowski.

Bracie! czuwaj i patrz wstecz — czyha bies wokole;
A niech on cię tylko tknie znajdziesz się na dole.

Kto wewnątrz siebie, w głąb wparł zmysły swe przyziemne,
Ten słyszy, choć milczenie, i widzi w noce ciemne.

Tłum. Alfred Tom.

HANS JAKOB CHRISTOFFEL VON GRIMMELSHAUSEN

(1625—1676)

Z «PRZYGÓD SIMPLICIUSA SIMPLICISSIMUSA»

(Bohater, pochodzący ze znakomitej rodziny, mieszka u wieśniaka jako jego syn; do 10-go roku życia jest pastuchem, aż w czasie napadu Szwedów ucieka do lasu, gdzie zaopiekował się nim pustelnik.)

... Kiedym się od biedy najadł dosyta, stary kazał mi pójść sobie. A wtedy wyszukiwałem najczulsze słowa, jakie mogło mi poddać moje chłopskie prostactwo, a wszystkie zmierzały do tego, by skłonić pustelnika do zatrzymania mnie przy sobie. Chociaż z trudem przychodziło mu znosić przykrą moją obecność, postanowił jednak to uczynić więcej poto, by nauczać mnie religji chrześcijańskiej, aniżeli — aby za-

pewnić sobie pomoc moją na stare lata. Największą jego troską było, że delikatna moja młodość nie zdoła może wytrzymać na dłużej tak twardego i bardzo surowego trybu życia.

Okres mniej więcej trzytygodniowy był moim próbnym rokiem. Był to czas roboty ogrodowej, przy której pilnie pomagałem dobremu pustelnikowi. Zachowywałem się tak grzecznie, że znajdował on we mnie szczególne upodobanie, wprawdzie nie z powodu pracy, lecz ponieważ widział, że z równą chęcią słuchałem jego wskazówek. Dlatego też coraz żarliwiej pouczał mnie we wszystkim dobrem. Opowiadał mi święte historie od upadku Lucypera aż do sądu ostatecznego i zapomocą dziesięciorga przykazań Bożych oraz ich wykładu uczył mnie odróżniać cnoty od występków, aby czynić dobro, unikać zaś zła. Tak oto w ciągu tych trzech tygodni nie tylko nauczyłem się wszystkiego, co chrześcijanin wiedzieć musi, lecz tak pokochałem mego nauczyciela i jego nauki, że nocą często nie mogłem spać z tego powodu. Jednakowoż w porównaniu z innymi ludźmi byłem jeszcze wciąż całkiem naiwny, to też pustelnik, nie znający, równie jak ja sam, właściwego mego imienia, nazywał mnie i nadal wyłącznie «Simplicjusz».

Od niego również nauczyłem się modlitwy, a kiedy przystał na mój mocny zamiar pozostania u niego, zbudowaliśmy dla mnie chatę, podobną do jego własnej, z drzewa, chróstu i ziemi, mającą prawie taki kształt, jak namioty muszkieterów albo raczej, jak chłopskie doly buraczane; bo tak była niska, że ledwie mogłem tam siedzieć wyprostowany. Łóżko moje składało się z suchych liści i trawy, a było tak wielkie, jak cała chata, tak iż nie wiem, czy mam nazwać mieszkanie swoje nakrytem miejscem noclegowem, czy też chatą.

Razu pewnego zobaczyłem, jak pustelnik czyta biblię. Nie mogłem sobie wyobrazić, z kim on prowadzi tak tajemną i poważną rozmowę. Widziałem co prawda, jak się poruszały jego wargi, ale nie było nikogo, z kimby rozmawiał. Tylko z oczu jego zmiarkowałem, że miał do czynienia z czemś z tej książki. Nie spuszczałem z niej oka, a kiedy ją odłożył, zabrałem się do niej. Otworzyłem ją i natrafiłem akurat na rozdział pierwszy Księgi Hioba. Uderzył mnie natychmiast odbity na czele obraz, ładny, barwny drzeworyt. Zapytałem obrazu o przeróżne osobliwe rzeczy. Ponieważ jednak nie chciał mi odpowiedzieć ani razu, zniecierpliwiłem się i rzekłem — właśnie w chwili, gdy pustelnik cichutko stanął za mną: «Wy małe nieponie, nie macież już wcale ust? Czyście wprawdzie z moim ojcem (bo tak musiałem nazywać pustelnika) nie paplały dość długo? O, widzę ja, że wypędzacie także owce biednego taty i żeście dom podpalili. Stójcie! Zaraz zgaszę ogień, żeby nie przyniósł większej szkody!» Równocześnie wstałem, chcąc przynieść wodę. «Dokądto, Simplicjuszu?», zapytał pustelnik. «Patrz, ojcze», powiedziałem, «to są też wojacy, mają owce, które chcą wypędzić; zabrali je biednemu człowiekowi, z którym poprzednio rozmawiałeś. Jego dom pali się już jasnym płomieniem, a jeżeli go zaraz nie zgaszę, spłonie zupełnie». Przy tych słowach wskazałem palcem na obraz.

Tłum. Alfred Tom.

ABRAHAM A SANTA CLARA (ULRICH MEGERLE)

(1644—1709)

Z «JUDASZA ARCYSZELMY»

Czy wiesz, człowieku, kto ty jesteś? Jeśli to dla ciebie i dla twej płochej pamięci już zanikło, spójrz na pierwszą kartę Pisma świętego — tam tobie, niewdzięcznej istocie, stworzenie świata i opis pierwszego twego szczepu stanie przed oczyma i wyjaśni, wykaże, dowiedzie, jak miłosierny Bóg przez swoją wszechmocność stworzył ciebie na własne podobieństwo. Jesteś dlatego, człowieku mój, prawdziwym podobieństwem Boskiem, któremu ani swej pracy, ani łask nie szczędził. Jesteś szlachetnym i pięknym obrazem. Masz wolę i ta jest wolna; masz pamięć i ta jest natężona; masz rozsądek i ten jest oświecony; masz duszę i ta jest nieśmiertelna. Żyjesz ze zwierzętami, rośniesz jak kwiatki, pojmujesz jak aniołowie, wznosisz się nad wszystkie stworzenia. Słońce i księżyc — niczem przy tobie. Złoto i srebro — niczem przy tobie. W tobie

jest cząstka ognia, w tobie jest cząstka powietrza, w tobie jest cząstka ziemi, w tobie jest cząstka zwierzęcia, w tobie jest cząstka anioła, w tobie jest cząstka Boga. Jesteś zbiorem wszystkich istot i arcydziełem ręki Boskiej. Rozpoznajesz dobro, rozróżniasz zło, unikasz niesprawiedliwości, a wypełniasz sprawiedliwość. Ty, jednym słowem, człowieku! ty jesteś najpiękniejszym i najszlachetniejszym obrazem i podobieństwem Boga. I ty się nie wstydzisz, utwórz taki, takie podobieństwo święte śmiesznym błazna kapturem pokrywać?

W istocie piękne są złote włosów kędziory, lecz nietrwale: czasem głowa wylinieje, jak stara kokosz. W istocie piękne są czarne oczy, ale nie na długo: czasem zajdą łzami i szcerwienieją, jak u cypryjskich gołąbków. W istocie piękne są lica różane, lecz nie na długo: czasem się pomarszczą, jak wygniecione i przedęte dudy. W istocie piękny jest biały jak alabaster nosek, lecz nie na długo: czasem zmieni się na stary kalendarz z wieczną przepowiednią niepogody. W istocie piękne są koralowe usta, lecz nie na długo: czasem wyglądać będą jak oskubana sikora. W istocie piękne są srebrem bielejące zęby, lecz nie na długo: czasem wystawać będą, jak kolki przytępione w palisadzie.

— Tłum. A. J. Szabrański.

JOHANN CHRISTIAN GÜNTHER

(1695—1723)

PIEŚŃ STUDENCKA

Bracia! do uciechy wraz,
Póki wiosna woła
I młodego słońca blask
Nam obleka czoła:
Grób i mary bliskie już;
Kto dziś zerwie pęki róż
Uzyskać wieniec zdoła.

Toć żywota szybki koń
Nie chce znieść wędzidla,
Losu mu zawistna dłoń
Wciąż przyprowadza skrzydła:
Kres się zbliża lotem strzał,
Może wnet już będzie chciał
Uwikłać nas w swe sidła.

Kędyż przez ten krótki czas —
Mówcie! — się podzieli
Ci, co byli z nami wraz
Młodzi i weseli?
Ciała ich przygniata piach,
Do innego kraju, ach,
Wyruszyć stąd musieli.

Na cmentarzu, kto chce, dość
Się o przodkach dowie:
Ich zmurszała dawno kość
Za nas mu odpowie,
A niebawem może On —
Nim zadzwięczy ranny dzwon —
Da w grobie nam wezglowie.

Chciejmy z tego radzi być,
Co dziś Niebo zdarzy!
I do skutku piwo pić,
Jak czynili starzy.
Hej! na ustach ślinkę mam,
Lenić się nie wolno wam —
Tak będzie nam do twarzy.

Szklankę tę wypiję rad
Za twej lubej życie;
Wnet otrzyma od nie świat
Wierne twe odbicie!
Teraz wszyscy — szklanki wzniesić,
A gdy ich wypita treść,
Szczep wzrośnie znakomicie!

POCIECHA

W k o ń c u musi kiedyś przyjść:
Wkońcu zjawia się pociecha,
Wkońcu zielenieje liść,
Wkońcu płaczu milkną echa,
Wkońcu pryska czara łez,
Wkońcu śmierć powiada: — Kres!

— Tłum. Alfred Tom.

CHRISTIAN F. GELLERT

(1715—1769)

W OFIERZE...

W ofercie pierwsze myśli me
Dziś składam Ci, o Boże!
Dziękuję Ci za łaski Twe
I wielbię cię w pokorze.

W spokojnym gdym spoczywał śnie
Bezbronny i bez mocy,
Od nieszczęść ktoś uchronił mnie,
Kto dał spoczynek w nocy?

Kto czuwał, kiedym we śnie był,
Kto zdrowie me zachował?
Lub kto mi nowych dodał sił,
Bym pilnie znów pracował?

Ty, Panie! bo w Twem ręku świat,
W Twej mocy jest byt wszelki;
Tyś nieodmienny w zmianie lał,
Cześć Tobie, Boże wielki!

W pokorze wielbię Twoją moc
Z całego serca mego,
Żeś dał mi przeżyć przeszłą noc
cieszyć się z dnia tego.

Błogosław, Panie! chęci mej
I rządz nią w dniu dzisiejszym,
Niech stanę się opieki Twej
Godniejszym i pewniejszym.

Do łaski Twej uciekam się,
Karę serca mego żądze,
Gdy dotknie nędza, wspieraj mię,
Bądź ojcem mym, gdy błądzę!

Miłością, wiarą natchnij mię
I ducha daj mądrości,
Bym wciąż usilnie starał się
Me spełniać powinności.

Bym w pracy nie oszczędzał sił
I pomoc niósł bliźniemu,
A wolny od zazdrości był,
Gdy szczęście sprzyja jemu.

Bym łaski, którą dajesz mi,
Mógł godnie wciąż używać
I po ostatnie życia dni
W ufności Ciebie wzywać.

Tłum. ks. J. Splezzyński.

ZIELONY OSIÓŁ

Jakże często się w życiu taki przykład widzi,
Że głupiec głupią szluczką stu głupszych zawstydził
Neran był sprytnym błaznem z głową rozwichrzoną;
Pomalował raz osła swego na zielono,
A nogi mu cynobrem wytarł aż do brzucha
I takiego po mieście wodził długoucha.
Za nim tłum gapiów snuł się z krzykiem i hałasem,
«Co za dziwol» wołając dyszkantem i basem.
«Patrzejcie, cud natury!... Na osłów miliony
Ten ma nogi czerwone, a tułów zielony!
Przecież to dla przyszłości kronikarz wymowny
Zapíše, że był u nas osioł tak cudowny!»
Podziw nad kolorowym osłem z każdą chwilą wzrasta,
Każdy go chce zobaczyć; tłoczy się pół miasta
Po ulicach i placach, drugie pół w rozmachu
Lezie na drzewa, z okien spogląda i z dachu —
Wszystkich szal ciekawości unosi, rozpala,
By zielonego osła zobaczyć choć zdala —
Choć kawałek ogona dojrzeć, choćby udo;
O osle całe miasto mówi: «Cudo! cudo!»
Młodzi pełni zachwytu, podziwienia starzy,
Zielony osioł dzieciom w kołysce się marzy,
Żaden temat nie zdołał nastroić tak wzniośle
Uczuć tłumy, jak wzmianka o zielonym osle.

Dwie doby wyczekano w tej oślej malignie;
 Aliści dnia trzeciego zapal nagle stygnie,
 Równie szybko upadła, jak i szybko wzrosła
 Ciekawość dla biednego zielonego osła,
 Poczęto nawet mówić o «glupiem osłatku»,
 Co taki podziw, zachwyt budził na początku. —
 Otóż tak to niestety bywa z każdym tłumem;
 Niech się rzecz jaka klóci z sensem i rozumem,
 Niech się w niej jawne głupstwo pod osłoną chowa,
 Tlum ją przyjmie z podziwem dlatego, że nowa.
 Nie pomogą przestrogi zdrowego rozsądku,
 Tlum szaleć gotów nawet w zapale z początku,
 Ale czas, mistrz nad mistrze i mędrszy od ludzi,
 Zapal i zachwyt głupców powoli ostudzi;
 Czy chcą, czy nie chcą, muszą rozumu nabywać,
 Bo czas ma dar szczególny głupich przekonywać.

Tłum. Marjan Gawalewicz.

JOH. WILH. LUDWIG GLEIM
 (1719—1803)

NAUKA

Uczcie się, o przyjaciele:
 Jest nauczycieli wiele.
 Lew mocy, a lis obrotów,
 Orzeł śmiałych uczy lotów,
 Pszczółki, kędy szukać miodu,
 Pająki, jak stawiać siatki,
 Bobry, jak budować chatki.

Lecz wprzód uczcie się zamłodu
 Ode mnie i od Karusi,
 Jak brać i jak dawać busi.
 Chodźcież uczyć się, chłopięta!
 Już lekcja rozpoczęta.

Tłum. Adam Mickiewicz.

BACHUS I WENUS

Cóż ja? czy pić, czy ścisnąć mam?	Śpiąc się uśmiecha. Uśmiech ten
Tu Bachus wabi, Wenus tam!	Zdradza rozkoszny jakiś sen.
Bachus spojrzaniem uradowanem	Jak ona wdzięczna! Od jej widoku
I Wenus nęci, lecz rozkochanem.	Ani podobna ustąpić oku.

Na latorośli zewszzechstron	Na pierś jej białą, wzburzoną w śnie,
Wskazuje Bachus pełno gron,	Aż czarne grono zwiesza się,
Lecz pod gronami w przyjemnym chłodzie	Przeciwnie kwiatki, jakby śnieg biały,
Spoczywa dziewczę w świeżej urodzie.	Jej krucze włosy poprzepłatały.

O, bożku wina! Próżna twa chęć,
 Już mnie do siebie więcej nie nęć!
 Bo bóstwa wdzięków milsza pokusa
 Nad wszystkie grona z winnic Bachusa.

SŁUDZY MIŁOŚCI

Wszystko na świecie nato powstało,
 Aby miłości dzieciom dogodzić:
 Bo słońce świeci, by ich rozgrzało,
 A cienie wieją, by ich ochłodzić.
 Śpiewają ptaki, by ich przywabiać,
 By wzruszyć, jęczy synogarlica;
 Różyczki kwitną, by ich ozdabiać,
 By ich prowadzić, księżyc przyświeca;
 I nawet same pochmurne noce
 Miłe kochankom niosą pomoce.

Spraw więc, Miłości! gdy tobie służę,
 Niech słońce, cienie, ptaki i róże,
 I księżyc z nocą służą mi wzajem,
 Aż moje życie uczynią rajem.

Tłum. Bruno Kiciński.

IMMANUEL KANT

(1724—1804)

Z «UZASADNIENIA METAFIZYKI MORALNOŚCI»

Nigdzie w świecie, ani nawet wogóle poza jego obrębem, niepodobna sobie żadnej rzeczy pomyśleć, którą bez ograniczenia możnaby uważać za dobrą, prócz jedynie dobrej woli. Rozsądek, dowcip, władza sądenia i wszystkie inne talenta umysłu, albo odwaga, stanowczość, stałość w postanowieniu, jako przymioty temperamentu, są bezwątpienia pod niejednym względem dobre i pożądane; mogą się jednakowoż stać także nader złe i szkodliwe, jeżeli wola, która ma z tych darów przyrody robić użytek i której właściwa istota zwie się przeto charakterem, nie jest dobra. Tak samo ma się rzecz z darami szczęścia. Władza, bogactwo, dobre imię, nawet zdrowie i cała pomyślność i zadowolenie ze swego stanu, pod nazwą szczęśliwości, wytwarzają śmiałość, a przez to często także zuchwałość, jeżeli niema dobrej woli, która ich wpływ na umysł, a stąd także na całą zasadę postępowania prostuje i czyni odpowiednią do ogólnego celu — pomijając tę okoliczność, że rozumny, bezstronny widz nawet w widoku ustawicznego dobrego powodzenia istoty, której nie zdobi żaden rys czystej i dobrej woli, przynigdy upodobania mieć nie może. Zdaje się więc, że dobra wola stanowi nieodzowny warunek samejże godności szczęścia.

Tłum. Mściław Wartenberg.

Z «KRYTYKI PRAKTYCZNEGO ROZUMU»

Dwie rzeczy napełniają umysł coraz to nowym i rosnącym podziwem i pełnym pokory szacunkiem, im częściej i trwalej zastanawiamy się nad nimi: gwiazdami okryte niebo nade mną i prawo moralne we mnie. Nie potrzebuję ich szukać i domyslać się tylko jako spowitych w ciemnościach lub leżących poza granicami mego widnokregu w nadzmysłowej sferze; widzę je przed sobą i łączę bezpośrednio z świadomością mego istnienia. Pierwsza zaczyna się od miejsca, które zajmuję w zewnętrznym świecie zmysłów, i rozszerza połączenie tego miejsca, na którym stoję, w niedosiężną dal z światami ponad światami i systemami systemów, a prócz tego jeszcze w nieskończone czasy ich perjodycznego ruchu, jego początku i ciągłego trwania. Druga zaczyna się od mego niewidzialnego ja, mej osobowości, i przedstawia mię w świecie, który jest prawdziwie nieskończony, którego jednak tylko rozsądek dociec może, i z którym (a przez to także z wszystkimi owymi widzialnymi światami) poznaję swój związek, nie jak tam tylko przypadkowy, lecz powszechny i konieczny. Ten pierwszy

widok niezliczonej mnogości światów niszczy niejako moją wartość, jako stworzenia natury zwierzęcej, które materję, z jakiej się poczęło, musi zwrócić znów planecie (punktowi tylko we wszechświecie), będąc na krótki czas (w niewiadomy sposób) obdarzone siłą życiową. Drugi, przeciwnie, podnosi moją wartość, jako inteligencji, nieskończenie, dzięki mej osobowości, w której prawo moralne objawia mi życie, niezależnie od zwierzęcości, a nawet od całego świata zmysłów, przynajmniej o ile mogę wnosić z celowego przeznaczenia mego bytu mocą tego prawa, które nie ogranicza się do warunków i granic tego życia, lecz sięga w nieskończoność.

Tłum. Feliks Kierski.

SALOMON GESSNER

(1730—1788)

AMINTAS

Uhogi Amintas, trzymając w ręku siekiere, powracał z pobliskiego lasu i uginał się pod ciężarem świeżo ściętego drzewa, które dla ogrodzenia sadu swojego niósł na ramionach. Wtem nad brzegiem bystrego potoku postrzega młody dąb, którego korzenie szumiąca woda podmyła i ogolociła z ziemi. Nieszczęśliwe drzewo groziło przedkim wywrotem. Szkoda, rzekł sam do siebie, aby ten piękny dąb miał upaść w wodę. Nie, twój wierzch wspaniały nie będzie igrzyskiem zapienionych bałwanów. Ja mogę o inne postarać się drzewo. To rzekłszy, zdejmując ciężar swój z ramion, zabija od wody najgrubsze pale, grodzi płot i świeżą napelnia ziemią. Wkrótce zbudowana tama, podparte drzewo i pokarm wrócony korzeniom. Pasterz wziął na plecy siekiere, uśmiechnął się w cieniu uratowanego drzewa, patrząc na swą robotę, i chciał powrócić do lasu — kiedy opiekująca się tym dębem driada zawołała miłym głosem: Mamże cię odprawić bez nagrody, o dobry pasterzu, oświadczyć mi swoje żądania, wiem, że ubogi jesteś i że tylko pięć owiec na łąkę wypędzasz. «Nimfo, zawołał pasterz, jeżeli mi się prosić dozwalas, oto mój sąsiad Palemon od jesieni chory, powróć mu zdrowie!» Tak mówił cnotliwy Amintas, a Palemon ozdrowiał; ale od tego czasu błogosławieństwo przebywało z pasterzem, mnożyły mu się trzody, zaradzały sady i pola: gdyż bogowie nie zostawiają w ucisku człowieka cnotliwego.

Tłum. Euzebjusz Słowacki.

DO DAFNY

Nie srogich bohaterów miecze krwią zbroczone,
 Nie stosami ciał martwych pola zarzucone
 Sielska ma śpiewa muza. Cicha i trwożliwa,
 Ucieka od scen krwawych dzikiego Gradywa;
 I tam tylko swe fletnie w drżących niesie rękę,
 Gdzie nie słyhać hałasów i przykrego szczęku.
 Tam jej lubo przebywać, tam swe stawia kroki,
 Kędy chłód miły czynią szemrzące potoki;
 Lub gaj, bujną gałęzią i liściem okryty,
 Zwraca groty słoneczne zielonemi szczyty.
 Tu sobie po nadbrzeżnych czasem krzakach schadza,
 Czasem się pod drzew gęstych cieniami ochładza,
 Depcząc młode kwiateczki; czasem też na trawce
 Uległszy, rymy wiąże tobie ku zabawce,
 Tobie samej, ma Dafne. Twoja śliczna dusza
 Blaskiem swej niewinności tak me serce wzrusza,
 Jak najmiłszy raneczek, gdy w majowej chwili
 O wschodzie słońca dawne słowik dumy kwili.
 Oczy twe żywe uciech wydają krynice,
 Przechodzą kwiat różany purpurowe lice;
 A wdzięczne, około warg latając, uśmiechy
 Nad miód słodsze z nich sercu wynoszą pociechy.

Dafne, kochana Dafnel! gdyś mię ongiś swemi
 Przyjacielem nazwała usta łagodnemi:
 Już mi się wszystko zdaje, że swe kołowroty
 Żywszem światłem ozdobił dawca godzin złoty...
 O, gdyby muza moja, proste nucąc pieśni,
 Jakimi się przy trzodach pastuszkowie leśni
 Bawią, smak ci przyniosła! Często w ciemnych ona
 Bujnorosłej leszczyny krzakach ulajona
 Patrzy, w jakowe biega po łąkach zawody
 Z driadami satyrów poczet koziobrody.
 Często dybie na nimfy, gdzie która w jaskini
 Z giętkich sobie gałązek miękkie wieńce czyni.
 Czasem też chęć ją bierze oglądać, gdzie z chrostu
 Uplół sobie domeczek rolnik i poprostu
 Mchem borowym zasklepił; tam nawyka onych
 Żadną zarazą świata piosnek nieskażonych;
 Gdzie sama tylko z cnotą niewinność szczęśliwa,
 Radość trwała i wielkość duszy się ozywa...

Tłum. Adam Naruszewicz.

FRIEDRICH GOTTLIEB KLOPSTOCK

(1724—1803)

Z «MESJADY»

(Archanioł Gabriel, który służył Chrystusowi na ziemi, wraca do nieba z Jego modłami, zanoszonymi na górze Oliwnej; wprowadza go do przybytku Boga Ojca największy z serafów — Eloa.)

Bóg go nazywa wybranem, niebo — Eloą. Nad innych,
 Których Bóg stworzył, jest większy, najbliższy Niestworzonego.
 Jakże jest piękna myśl Bożego wybrańca Eloj,
 Piękna, jak cała człowieka dusza, Bogu stworzona,
 Kiedy nieśmiertelności godna zatapia się w myślach.
 Wkologłędny wzrok jego piękniejszy nad ranek wiosenny,
 Miłszy od gwiazd, gdy się przemkną przed Stworzyciela obliczem
 W krasie młodzieńczej i światła pełni, z urokiem dni swoich.
 Bóg go stworzył najpierwej. Ciało mu dał eteryczne
 Z zorzy porannej. Gdy się stał, obłoczyste niebios
 Opłynęły go wkoło. Z otwartymi ramiony
 Bóg go wychylił z obłoków i rzekł, błogosławiąc: «Stworzeniecze,
 Otom jest!» I ujrzał przed sobą Stwórcę Eloa,
 Patrzył Nań z zachwyceniem i stał w natchnień wylewie,
 Patrzył znowu i zachwiał się, ginąc w Boskiem spojrzeniu.
 Wreszcie przemówił, powiedział Przedwiecznemu swe myśli;
 Wszystkie myśli i wszystkie nowe, wzniosłe uczucia,
 Co przenikały jego wielkie serce. Wprzód światy
 Wszystkie przemina, wprzód z swego na nowo wyłonią się prochu,
 Wprzód jeszcze mnogie stulecia w bezmierną zapadną się wieczność,
 Nim najwznioslejszy z chrześcijan uczuć domierzy wielkości.
 Na świeżowstałych promieniach, w całym piękności swej blasku
 Spuścił się teraz Eloa do posłanniczego anioła,
 Aby go zawieść przed oltarz Jednawcy...

Rączy z otwarciem ramion strzelistym, z serdecznym spojrzeniem
 Pośpieszyli do siebie. Drzenie ich zdjęło z radości,
 Gdy uścisnęli się oba. Takie ogarnia dwóch braci,

Co, cnotliwi, śmierci za ojczyznę pragnęli,
 Gdy, bohaterskiej krwi pełni, po czynach się ujrzą wieczystych
 I w objęcia się rzuca przed ojcem, większym od siebie...

Przed Gabrjela obliczem oltarz Jednawcy, jak wzgórze,
 Stał bezobłocznie. Widzi go, idzie w uroczej piękności
 I z kapłana godnością, niesie dwie czary ze złota,
 Pełne świętego kadzidla, i przed nim sława zdumiały.
 Przy nim stanął Eloa i boskich lał dźwięków strumienie z arfy,
 By seraf ofiarnik do górnej się zagrzeł modlitwy.
 On go słyszy, i arfa, pani serc wielowładna,
 Wznosi duch jego płomienniej. Rozgrzany wre jak wszechmorze,
 Kiedy w burzy zwieszczony po niem głos Pański przechodzi.
 W Boga patrząc, Gabrjel śpiewał głosem przemożnym.
 Teraz słyszy Ojciec Przedwieczny, słyszą niebios
 Twą, Pośredniku, modlitwę. Sam Bóg zapalił ofiarę
 W sposób cudowny; a święty dym z modlitwą pospołu
 Wzniósł się i coraz się wznosił, i w kłębach wił się do Boga,
 Jako kiedy z gór ziemnych całe niebo zakrywa.
 Dotąd zwrócone ku ziemi miał Jehowa oblicze;
 Bo aż dotąd jeszcze Syn z głębokości swej duszy
 Z Ojcem prowadził rozmowy rozkrywającej los treści,
 Święte, straszliwe, wzniosłe, niespodziewanych rozstrzygnięć,
 Samym bezśmiertnym ciemne, rozmowy o rzeczach, co miały
 W oczach wszystkich stworzonych Boży okup uwielbić.
 Teraz wzrok Przedwiecznego na nowo niebios napelnił;
 Z uświęceniem, w cichości każdy ten Boży wzrok spotkał.

Tłum. J. K. Jaślikowski.

WCZESNE GROBY

O, witaj mi, srebrny księżycu,
 Piękny, cichy towarzyszu nocy!
 Już uciekasz? Nie śpiesz się, zostań, druhu myśli!
 Spójrzcie, zostaje, tylko obłok odpłynął.

Zbudzenie się maja jest jedno
 Jeszcze piękniejsze, niż ta noc letnia,
 Gdy mu rosa świetlista splywa z kędziorów,
 I na wzgórze on czerwonawy się zjawi.

Wy szlachetni, ach, już porasta
 Wasze nagrobki mech sędziwy!
 O, jakżem szczęśliw był, gdym jeszcze z wami
 Widział, jak dzień rumieniał, jak lśniła się noc!

Tłum. Alfred Tom.

CHRISTOPH MARTIN WIELAND

(1733—1813)

Z «OBERONA»

Już na niebie wieczorne zapala się zorze,
 U nóg ich świat się mroczy, mgła doliny ciemi;
 Już księżyc się przegląda w niejednym jeziorze,
 Coraz ciszej i ciszej w powietrza przestworze;

Zaprzężne ptaki z wozem, skrzydły znużonemi
 Zniżając się nieznacznie, usiadły na ziemi —
 Wtem podróżni spostrzegą gmach, co aż pod chmury
 Pnie się, błyskając wdali lśnjącemi się mury.

Pałac ten opasany ogrodem różanym,
 Migocąc się, jakoby promieniami jutrzeńki,
 Rubinowym odbłaskiem dokoła rozlanym
 Nadawał okolicy czarodziejskie wdzięki.
 «Pono tu niegdyś...» rzekł na widok dziwa
 Paladyn, tonąc w myślach — lecz wnet głos urywa,
 Gdy zarazem pałacu bramy otworzono
 I zeń w dziesięciu parach wyszło dziewięć grono.

W kwiatach, jak dni wiosniane, lekkich białych szatach,
 Tocząc płas pełen miękkich, harmonijnych ruchów,
 Słyż dziewy na spotkanie tych, co czeć król duchów,
 Wielbiły cnotę triumfy w niebiańskich zapłatach.
 Z ich ust brzmiały piosenki, z ich rąk lutni brzęki;
 Głosily we czeć ziemskiej serce wierne, stałe,
 I tak do młodej pary śpiewały w jej chwale:
 «Czeka ciebie nagroda, czeka z boskiej ręki!»

Wezwanie nimf niewinnych wieździe naszych gości,
 Śród podwójnego rzędu dziewiczych piękności,
 Aż pod zaklęty pałac. Idą wśród ogrodu...
 Wtem król Elfów tak piękny, jak słońce u wschodu,
 Witą ich — ale nie dał im w błędzie pozostać;
 Zrzucając z siebie kłamną dziećka postać,
 Stał się ślicznym młodzieńcem, z wieńcem gwiazd na skroni,
 W nieskazitelnej krasie, z pierścieniem na dłoni.

W księżycowym zaś blasku, w swym mirtowym wianku,
 Stoi Tytanja przy boskim kochanku.
 Każde ma w ręku koronę mirtową;
 I tak się ozwą przyjazną już mową:
 «Weźcie, weźcie z rąk naszych znamiona zwycięstwa,
 Ten dar w nagrodę cnoty, wierności i męstwa;
 Póki ten upominek szczerze czeć bęździecie,
 Nie odstąpi was szczęście na tym ziemskim świecie».

Zarazem z nieba ponad widzów głowy
 Zbliżył się aż do ziemi obłoczek różowy,
 A zeń wysiadły przy bardonów dźwięku
 Trzy siostrzyczki Sylfidy z lilijami w ręku.
 Jedna z nich, trzymająca chłopczyka w objęciu,
 Ukłękła przed Tytanją. Króla Elfów żona,
 Dawszy serdeczny całunek dziećcięciu,
 Oddała synka Amandzie w ramiona.

Idąc między podwójnym panieńskim szeregiem,
 Co, śpiewając, siał kwiaty pod przechodniów stopy,
 Goście szczęśliwi pod złotemi stropy
 Pałacu Oberona stanęli noclegiem.
 Co widzieli, słyżzeli — w tem miejscu, w tej chwili —
 Nazajutrz kochankowie o tem nie mówili;
 Ale wzrok we łzach szczęścia tęskniący do nieba
 Zalił się, że na ziemi pozostać im trzeba!...

Tłum. Wiktor z Baworowa (W. hr. Baworowski).

Z «HISTORJI ABDERYTÓW»

(Z powodu, że mulnik wzbrania dentyście, któremu osła wynajął, korzystać z cienia zwierzęcia, wszczyna się proces, który całe miasto dzieli na dwa obozy: partja «cieni» staje do walki słownej przeciw partji «osłów».)

...Sprawa sądowa o cień osła bezwzględnie wzbudziłaby sensację w każdym mieście, można więc wyobrazić sobie, co się działo w Abderze!

Zaledwie rozeszła się pogłoska o niej, w tej chwili stała się ona przedmiotem wszystkich rozmów, każdy interesował się nią, jakgdyby miał przez to wiele stracić lub zyskać. Jedni oświadczała się za dentystą, drudzy za mulnikiem. Nawet osioł miał swoich stronników, którzy utrzymywali, że ma on prawo *intervenire* i wystąpić, gdyż najwięcej on jest poszkodowany przez pretensję dentysty, bo aby ten w cieniu siedział, osioł zmuszony jest stać w słońcu. Słowem, wzmiankowany osioł cień swój rzucił na całe miasto Abderę, sprawa omawiana była z taką żywością, zapalem i zajęciem, jakgdyby dobro całego miasta, ba, całej Rzeczypospolitej w grę wchodziło...

Obywatele w Abderze (jak i w większości innych miast na świecie) podzieleni byli na cechy, i wedle dawno przyjętego zwyczaju dentysta Struthion zaliczał się do cechu szewców, a to z bardzo subtelnie wymyślonej zasady; wszystkie zasady Abderytów były subtelne. W pierwszych czasach Rzeczypospolitej do cechu tego należeli tylko szewcy i laciarze obuwia. Potem włączono do niego laciarzy wszelkiego rodzaju, a wkońcu przyszło do tego, że (ob paritatem rationis) i chirurgów, i dentystów, jako latających rodzaj ludzki, do tegoż cechu zaliczono. Struthion więc (z wyjątkiem lekarzy, z którymi był zawsze na naprężonej stopie) miał za sobą cały zacny cech szewski, a szczególnie laciarzy obuwia, stanowiących znaczną część obywatelstwa Abdery. Naturalnie, że najprzód zwrócił się Struthion do swojego zwierzchnika, do starszego cechu, Pfiema, a mąż ten, którego patriotyczne przywiązanie do swobód Rzeczypospolitej dobrze było znane, ze zwykłym sobie zapalem oświadczył, że raczej przebilby się własną dratwą, niżby miał pozwolić, by w osobie członka cechu prawa i swobody miasta Abdery naruszone być miały.

«Słuszność — rzekł on — jest najwyższem prawem. A cóż może być słusniejszego, jak że ten, kto drzewo zasadził, choć miał owoce na myśli, obok tego i z cienia drzewa korzysta? I dlaczego to, co odnosi się do drzewa, nie miałoby się i do osła odnosić? Gdzież, u kąt, byłyby nasze swobody, gdyby cechowemu obywatelowi Abdery nie wolno było siedzieć w cieniu osła! Jakgdyby cień osła dostojniejszy był od cienia ratusza lub świętyni Jazona, w którym przecie leżeć i siedzieć może każdy, kto chce. Cień jest cieniem, czy pochodzi od drzewa, czy od kolumny sławy, od osła czy od Jego Wielmożności samego archonta! Krótko i węzłowato — dodał majster Pfiem — spuść się pan na mnie, panie Struthion, ten gbur odda panu nietylko cień osła, ale nawet samego osła jako należną satysfakcję, albo niema już swobód i własności w Abderze, a do tego, u wszystkich djabłów, nie przyjdzie, póki Pfiem się nazywam!»

Gdy dentysta zapewniał sobie łaskę tak znakomitego męża, mulnik Anthrax nie omieszkiał również starać się o obrońcę, któryby tamtemu dorównał. Anthrax nie był właściwie obywatelem Abdery, lecz wyzwolencem, przebywającym w okręgu świętyni Jazona i tem samem pod jego opieką zostającym, to też stał on pod bezpośrednią jurysdykcją arcykapłana, tego herosa, któremu, jak wiadomo, oddawano w Abderze cześć boską. Pierwszą myślą mulnika było naturalnie dokazać tego, żeby arcykapłan Agathyrus niedwuznacznie jął się jego sprawy.

(Przekład bezimienny w «Humorze w lit. europ.», ułożonym przez Wandę Bruner.)

GOTTHOLD EPHRAIM LESSING

(1729—1781)

Z «LAOKOONA»

Czy to jest bajką, czy prawdą, że pierwszy czyn w sztukach plastycznych podjęła miłość, to pewna, że ona wspierała niestrudzenie dawnych wielkich mistrzów. Je-

żeli bowiem obecnie malarstwo wogóle uchodzi za sztukę, przedstawiającą naśladowniczo ciała na płaszczyźnie, to mądry Grek zakreślił był mu daleko ciaśniejsze granice, ścieśniając je tylko do naśladownictwa pięknych ciał. Artysta grecki przedstawiał tylko piękno; nawet zwyczajnem pięknem, pięknem niższego rzędu, zajmował się tylko przypadkowo, tylko ćwiczeniem, rozrywką. Doskonałość samego przedmiotu musiała zachwycać w jego dziele; on czuł się za wielkim, by żądać od widzów zadowalania się samą tylko zimną przyjemnością, wypływającą z utraconego podobieństwa, z rozważania jego indywidualnej zręczności; w sztuce nic mu milsze, nic szlachetniejsze nie było nad ostateczny cel samej sztuki.

«Ktoby cię chciał malować, gdy cię nikt nie chce oglądać!» — powiada starożytny epigramatyk o jakimś nader niekształtnym człowieku. Niejeden nowszy artysta powiedziałby: «Bądź najbardziej niekształtny, jak tylko być może: ja przecież będę cię malował, choćby nikt nie chciał ciebie oglądać; obraz mój wszakże każdy chętnie zobaczy, nie dlatego, że przedstawia ciebie, ale że uwydatnia mą sztukę, umiejacą taką brzydotę tak podobnie odtworzyć». Oczywiście, pociąg do takiego pustego przechwalania się niezgorszą istotnie zręcznością, której bynajmniej nie uszlachetnia treść przedmiotu, jest tak naturalny, że i Grecy mieli swego Pausona i Pyreika. Oni ich mieli, ale osądzali ich z surową sprawiedliwością.

Rozpatrując przyczyny, dla których twórca Laokoon w wyrazie bólu fizycznego musiał zachować pewną miarę, widzę, że wszystkie one wypływają z właściwości sztuki samej i z jej koniecznych granic i wymagań. Z trudnością zatem dałaby się którakolwiek z tych przyczyn zastosować do poezji. Nie badając, jak dalece może się udać poecie przedstawianie pięknych ciał, zauważyć muszę, że niezaprzeczenie ta widoczna osłona, pod którą doskonałość zamienia się w piękność, może być tylko jednym z najdrobniejszych środków, jakimi potrafi nas poeta dla swych kreacyj zainteresować. Często nie korzysta on wcale z tego środka, przekonany, że gdy raz już jego bohater pozyskał naszą życzliwość, wtedy szlachetniejsze jego przymioty albo nas tak dalece zajmują, iż nie myślimy wcale o jego fizycznej postaci, albo gdy o niej myślimy, wówczas tamte nas tak ujmują, że przyznajemy mu dobrowolnie, choćby nie piękną, to przynajmniej obojętną postać.

A już jeżeli gdzie, to przy każdym poszczególnym rysie, nie przeznaczonym wyraźnie dla oka, nie będzie poeta właśnie zmysłowi wzroku hołdował. Jeżeli Laokoon Wergiljusza krzyczy, komu przyjdzie przy tem na myśl, że do krzyku potrzebne wielkie usta są szpetne? Dość, że «krzyki okropne zanosi ku gwiazdom», jest dla ucha rysem wzniosłym, choćby dla oka był jakimkolwiek błąd. Kto tutaj żąda pięknego obrazu, dla tego nie istnieje wrażenie, zamierzone przez poetę. Nic nie zmusza, prócz tego, poety do skoncentrowania obrazu w jednej, jedynej chwili. Każdą czynność, gdy zechce, przedstawia od początku i przeprowadza ją przez wszystkie możliwe odmiany aż do jej zakończenia, każda zaś z tych odmian, do której przedstawienia artysta potrzebowałby osobnego dzieła, wymaga od poety tylko jednego rysu, a gdyby ten rys sam przez się obrażał wyobraźnię słuchacza, to bądź przygotowały ją do niego poprzedzające ustępy, bądź też następujące go złagodziły, tak iż słuchacz zatracą poszczególne wrażenie, i rys ten w połączeniu z innymi wywiera jak najdoskonalszy skutek. Choćby zatem nie przystało mężowi przy gwałtownym bólu krzyczeć, ta mała przejściowa nieprzystojność nie może uwłaczać temu, którego inne zalety już nas ujęły.

Laokoon Wergiljusza krzyczy, ale ten krzyczący Laokoon jest tym samym, którego już znamy i cenimy jako wielce przewidującego patriotę, jako najbardziej przywiązanego ojca. Nie łączymy też jego krzyku z jego charakterem: wiążemy go jedynie z jego cierpieniem. Tylko to słyszymy w jego krzyku, poeta zaś mógł nam to cierpienie jedynie krzykiem uzmysłwić. Ktoby go zatem jeszcze ganil? Każdy musi raczej przyznać, że jeżeli artysta dobrze zrobił, iż nie kazał Laokoonowi krzyczeć, tak samo dobrze uczynił i poeta, że krzyczeć mu kazał.

Tłum. Kazimierz Bronikowski.

Z «NATANA MĘDRCA»

(W czasie nieobecności swego przybranego ojca, Natana, Recha została wyniesiona z płonącego domu przez templarjusza.)

Recha:

Tyżeś, tyżeś to, mój ojcze?
Sądziłam, żeś tu naprzód wysłał tylko
Swoją głę. Gdzież byłeś? Jakież to pustynie,
Góry i rzeki z tobą nas dzielily?
Słyszałam prawie oddech twój, a przecież
Nie pośpieszyłeś Rechy twej uściskać;
Tej Rechy, która omal nie spłonęła!
Omali, o mała, ledwie! Nie drzyj, ojcze!
To brzydka bardzo śmierć — w płomieniach zginąć!
Oh!

Natan:

Moje dziecię, moje dziecię drogi!

Recha:

Ty tam musiałeś przez Eufrat i Tygrys,
Jordan i kto wie jakie jeszcze wody
Brodzić... Oh! jakże często ja o ciebie
Drżałam, dopóki sama się tak blisko
Ognia nie tknęłam. Ale odkąd płomień
Był mnie tak blisko, śmierć wśród fal zda mi się
Ochłoda, czarem, ocaleniem. Jednak
Tyś nie utonął, ja zaś nie zginęłam
Wśród ognia. Będziem się sobą cieszyli
I chwałę Bogu damy! On niósł ciebie
I czólno twoje na niewidzialnego
Aniła skrzydłach przez zdradliwe prądy,
On dał znak także aniłowi memu,
By mnie widzialny na swych skrzydłach białych
Przeniósł przez płomień.

Natan (*do siebie*):

Na swych skrzydłach białych!
Tak, tak! To biały płaszcz, co templarjusza
Okrywał.

Recha:

On to mnie widzialnie przeniósł
Przez płomień, skrzydłem swoim owiewany.
Zatem aniła mogłam oko w oko
Widzieć, aniła mego.

Natan:

Byłoby to
Godne mej Rechy, i nie znalazłaby
Piękności więcej w nim, niż on w niej samej.

Recha (*z uśmiechem*):

Komuż to schlebiasz, ojcze? aniłowi,
Czy sobie?

Natan:

Jednak, chociażby to tylko
Zwyczajny człowiek, człowiek, jakich codzien

Spotykasz, taką oddał ci usługę,
Musiałby stać się w oczach twych aniołem
I stałby się nim pewnie...

Recha:

Nie, nie takim.

On był aniołem! nie! on rzeczywistym,
On rzeczywistym był z pewnością!... Czyżes
Mnie sam nie uczył, że są aniołowie?
Czyś mnie nie uczył, że Bóg może czynić
Cuda dla takich, którzy go kochają?
A ja Go kocham przecież.

Natan:

I On ciebie

Kocha i cuda czyni w każdej chwili
Dla ciebie i dla bliźnich twoich. Tak jest,
Przez całą wieczność wciąż je dla was czynił.

Recha:

Wierzę w to chętnie.

Natan:

Jakto? więc dlatego,

Że to zwyczajnie brzmi i naturalnie,
Iż cię templarjusz wyratował, ma to
Już nie być cudem? Nie! Największym z cudów,
Że powszedniemi tak się dla nas mogły
Stać rzeczywiste i prawdziwe cuda!
I gdyby nie ten cud ogólny, toby
Człowiek myślący rzadko uznał cudem,
Co nazwać cudem mogą tylko dzieci,
Które się gapią na to, co niezwykle,
I za nowością tylko gonią.

Saladyn:

Przystąp bliżej, Żydzie... bliżej...
Tu... Bez obawy...

Natan:

Ta niech twoim wrogom
Zostanie.

Saladyn:

Zatem Natan się nazywasz?

Natan:

Tak.

Saladyn:

Natan mędrzec?

Natan:

Nie.

Saladyn:

Sam siebie, prawda,
Tak nie nazywasz, lecz cię lud tak zowie.

N a t a n:

Lud, może.

S a l a d y n:

Nie sądz, żebym miał w pogardzie
Głos ludu. Dawnom pragnął poznać męża,
Którego lud zwie mądrym.

N a t a n:

A jeżeli

Lud przez szyderstwo dal mu to nazwisko?
Jeśli mądrością zwie roztropność zwykłą,
A za roztropnych ma tych, co się znają
Na tem, co korzyść niesie?

S a l a d y n:

Masz na myśli

Korzyść prawdziwą?

N a t a n:

Nie, bo w takim razie
Najroztropniejszym byłby kto najchciwszy;
Wtedy w istocie mądrość i roztropność
Byłyby jednym.

S a l a d y n:

Składasz dowód tego,
Czegoś się zaparl. Wiesz, co jest prawdziwą
Korzyścią, której lud zazwyczaj nie zna.
Pragniesz ją poznać, myślisz o niej — właśnie
To czyni mędrzec.

N a t a n:

Takim każdy sądzi

Samego siebie.

S a l a d y n:

Dosyć tej skromności!
Nie lubię słuchać jej, gdzieś się spodziewał
Usłyszeć zimny rozum. (*Wstaje*) Więc do rzeczy!
Lecz bądź otwartym, Żydzie, bądź otwartym.

N a t a n:

Sultanie! takbym pragnął ci usłużyć,
Żebym był godny nadal twych poleceń.

S a l a d y n:

Usłużyć? jakto?

N a t a n:

Będziesz miał najlepsze
Rzeczy i będziesz miał je za najtańszą
Cenę.

S a l a d y n:

O czymże mówisz? O towarach?
Szachrować z tobą będzie moja siostra.

(*do siebie*)

To dla tej, co tam podsłuchuje.

(*Głośno*)

Z kupcem

Nic do czynienia nie mam.

N a t a n:

Więc zapewne
Chcesz się dowiedzieć, com w podróży mojej
Mógł zauważyć względem nieprzyjaciół,
Którzy się znów ruszają... Mówiąc szczerze...

S a l a d y n:

I tego mi także nie ciekawy teraz.
Wiem o tem tyle, ile mi potrzeba...
Chcę tylko...

N a t a n:

Rozkaż, panie.

S a l a d y n:

Pragnę spytać
O co innego, co innego wcale.
Ponieważ jesteś mądry, więc mi powiedz:
Jaka religja, zakon, twojem zdaniem,
Zawiera prawdę?

N a t a n:

Jestem żydem, panie.

S a l a d y n:

Ja muzułmanin jestem. Między nami
Stoi chrześcijanin. Z tych trzech wiar prawdziwa
Może być jedna tylko. Taki człowiek,
Jak ty, pozostać tam nie może, gdzie go
Los przypadkowy urodzenia rzucił,
Lub gdy zostaje, czyni to z zasady,
Z zastanowienia, z przekonania, z woli
Swej wolnej. A więc objaw mi swe zdanie!
Wskaż mi powody, których ja sam badać
Czasu nie miałem. Wymień mi zasady,
Które ten wybór twój spowodowały;
Wymień poufnie, bym się przejął niemi...
Jakto? ty milczysz?... mierzysz mnie spojrzeniem?...
Zapewne pierwszym muszę być sultaniem,
Który objawia tę ciekawość, chociaż
Sądzę, że godna ona jest sultana...
Nieprawdaż?... Mów więc!... Powiedz... Może żądasz
Chwili namysłu... Chętnie ci ją daję...
Tak, pomyśl nad tem. Ja powrócę wkrótce.

N a t a n (s a m):

Hm! hm! to dziwne! Co to znaczyć może?...
Czego chce sultan? żądać miał pieniędzy,
A żąda — prawdy! żąda jej tak zaraz...
W gotówce, jakby była to moneta...
Tak! chyba z owych starych monet, które
Na wagę brano — taką to być może,
Lecz nie monetą nową, której wartość
Stempel nadaje, którąby wyliczyć
Można na stole... taką prawda nie jest.
Możnaż ją w głowę kłaść, jak pieniądz w worek?...
Kto z nas dwóch tutaj — ja czy on — jest Żydem?...
Tak... ale czemuż nie miałby istotnie

Wymagać prawdy?... Może chce jej użyć
 Jako zasadzki na mnie? To byłoby
 Nazbyt nikeszemne; lecz cóż jest dla wielkich
 Nazbyt nikeszemne?... Tak ni stąd, ni zowąd
 Wystąpił z takim zapytaniem. Prosto,
 Bez żadnych wstępów. Muszę być ostrożny.
 Lecz jak postąpić?... Żydem się okazać,
 Wylącznie żydem — źle... nie-żydem — gorzej!
 Mógłby zapytać: czemu, gdy nie jestem
 Żydem, nie chciałbym być muzułmaninem?..
 Tak, tylko bajka może mnie ocalić.
 Bajki nietylko są dla dzieci... Idzie...
 Niech przyjdzie!...

Tłum. Kwiryn Anastazy.

GEORG CHRISTOPH LICHTENBERG

(1742—1799)

Z «AFORYZMÓW»

To, co nazywają czystą znajomością ludzi, jest po większej części jedynie refleksją, odbijaniem się własnych słabostek od innych.

Najwyższym szczeblem, na który słaba głowa może się dostać nad poziom doświadczenia, jest sprawność w wynajdywaniu słabostek lepszych ludzi.

W ciągu całego mego życia przekonywałem się, że gdy brak nato innych środków, nie nie pozwala tak pewnie poznać charakter człowieka, jak żart, który się bierze za złe.

U większości ludzi niewiara w stosunku do jakiejś rzeczy opiera się na ślepej wierze w inną.

Stwierdzałem zawsze, że tak zwani źli ludzie zyskują na bliższym ich poznaniu, a dobrzy — tracą.

Ośle zawdzięczają smutne położenie, w jakim żyją obecnie na świecie, może jedynie zabawnemu conceptowi jakiegoś figlarza. Na niego spada wina za to, że stały się one na zawsze zwierzętami najbardziej wzgardzonymi i że już niemi pozostaną; wielu bowiem poganiaczy osłów obchodzi się tak okropnie ze swymi wychowankami — dlatego, że to są ośle, nie zaś z przyczyny, że są zwierzętami leniwymi i powolnymi.

Ten człowiek miał tyle rozsądku, że nie nadawał się już prawie do niczego na świecie.

Czem jestem? Co winienem czynić? W co mogę wierzyć i czego się spodziewać? Do tego sprowadza się wszystko w filozofji. Byłoby pożądane, aby się udało więcej rzeczy tak uprościć; przynajmniej należałoby spróbować, czy wszystko, co zamierzamy rozpatrzeć w danem piśmie, nie dałoby się ułożyć w ten sposób już od samego początku.

Niema chyba na świecie osobliwszego towaru, niż książki: drukowane są przez ludzi, którzy ich nie rozumieją, sprzedawane przez ludzi, którzy ich nie rozumieją, oprawiane, oceniane i czytane przez ludzi, którzy ich nie rozumieją, no i wreszcie pisane przez ludzi, którzy ich nie rozumieją.

Tłum. Alfred Tom.

JOHANN GOTTFRIED HERDER

(1744—1803)

Z «POMYSŁÓW DO FILOZOFII DZIEJÓW RODZAJU LUDZKIEGO»

Jeśli rzecz jaka nie jest biernem, martwem narzędziem, to zamiar jej musi być w niej samej. Gdyby nas nato stworzono, żebyśmy, jak się zwraca magnes ku północy, dążyli zawsze nadaremnie do jakiegoś punktu doskonałości, któregośmy nigdy osiągnąć nie zdołali: mielibyśmy wówczas prawo, jak ślepe maszyny, ubolewać nie tylko nad sobą, lecz nawet nad jestestwem, któreby nas skazywało na los Tantalusa, stwarzając jedynie dla swej szyderskiej, niegodnej takiego jestestwa zabawy. Gdyby się nam zechciało powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że takie próżne usiłowania, nie osiągające żadnego celu, mogą jednak sprawiać coś dobrego i naturę naszą w ciągłej czynności utrzymywać: byłoby to wszelako zawsze niedoskonałe, okrutne jestestwo, na taką obronę zasługujące; w czynności bowiem, nie mającej żadnego zamiaru, niema nic dobrego, a zatem nęcenie się takim urojeniem przez słabość lub złośliwość oszukiwałoby nas niegodziwie. Na szczęście atoli natura rzeczy nie uczy nas tego urojenia. Rozważając człowieka, jak go znamy, tudzież ustawy w nim wyryte, nie postrzegamy w nim nic wyższego nad ludzkość; bo gdy nawet wyobrażamy sobie aniołów lub bogów, myślimy o nich zawsze, jak o ludziach wyższych, idealnych.

Do tego zamiaru oczywiście natura nasza organizowana; w tym celu dano nam delikatniejsze zmysły i popędy, rozum i wolność, niezbyt mocne, lecz trwałe zdrowie, mowę, sztuki i religję. We wszelkich stanach i społecznościach nie mógł człowiek o czem innem myśleć, jak o ludzkości, nie mógł czego innego nad nią w sobie wykształcać, lub ją sobie różnie wystawiać. Dla niej wprowadziła natura pewne stosunki między rodzinami i wiekami życia: dzieciństwo trwa dłużej, i tylko zapomocą wychowania uczymy się żyć po ludzku...

Tłum. Józef Bychowicz (zm. 1845).

CZŁOWIEK I CIEN

Człowiek:

Toś ty za mną, to przede mną!
Chcesz mię ciągle prześladować
I twą postacią nikczemną
Niby mój obraz malować.

Cień:

O! nie gardź twoim obrazem;
On jest tobie napomnieniem:
Gdybym nie szedł z światłem razem
To ty wkoło byłbyś cieniem.

Jeśli słońce jest przed tobą,
Wtedy ja wtyle zostanę;
Lecz zostaw słońce za sobą,
Ja, twój cień, przed tobą stanę.

Tłum. Kazimierz Brodziński.

MECHANIKA SERCA

O, mędrcy! których wszechwiednemu oku
Tajne krążenie światów się nie skryło,
Choć jedną iskrą z tyłu słońce potoku
W wyziębłem sercu wskrzeście rozkosz miłą!
Choć jedną kroplą żywotnego soku
Sprawcie, by znowu jak w młodzieńcu biło
Cóż wam stąd, mędrcy, że waszemu oku
Tajne krążenie światów się nie skryło?

NIEBO

Wyziewy się wznoszą, z nich powstają
W obłokach błysk lub grzmoty,
Albo kropla dżdżu.

Wyziewy się wznoszą, z nich powstają
W umyśle gniew lub niechęć,
Albo kropla ły.

Bracie, zachowaj twe niebo
Od wyziewów namiętności,
I niech twe czoło
Ma słoneczny blask.

LILJA I RÓŻA

Liljo niewinności i miłości różol
Jak dwie piękne siostrzyczki stoicie przy sobie;
Lecz w różnej waszej ozdobie
I różne przymioty służą.
Ty, kwiatku niewinności, samaś twą koroną,
Na twojej nagiej łodydze
Listka i kolca nie widzę;
Niewinność własną obroną.
Ale ty, krwią amorka wskroś nasiąkła różo,
Inaczej! Krzaczek twój cały
Strzeże ostrzem bożka strzały,
I aż ci kolce do obrony służą.

Tłum. Bruno Kiciński.

KARL ARNOLD KORTUM

(1745—1824)

Z «JOBSJADY»

(Jak Hieronimus na kandydata egzamin składał.)

Gdy zamiar stanął, jako mur forteczny,
Zaczął listy pisać w gród stołeczny,
I wkrótce przybył cały kler,
Od wielkich figur aż do zer.

Pot zimny zrosił Hieronima czoło,
Gdy to fatalne objęło go koło,
Jako oblawa w puszczy ta,
Co zwierza dobyć z kniei ma.

.....

... Któż, na szczęście mego Hieronima,
Młodości wspomnień na dnie duszy nie ma?
Komu nie pachnie luby kwiat
Akademickich pięknych lat?

Więc i wielebni, zwiesiwszy swe głowy,
Czynić musieli rachunek jakowy,
Gdy po milczeniu małym tem,
Chrząknąwszy, przeszli wprost ad rem.

Pierwszy inspektor uczynił początek.
Kichnął — miał katar już lat coś dziesiątek —
Utarł donośnie chustką nos,
Kaszlnął i w ten sens zabrał głos:

— «Jako tutejszy dziekan i inspektor,
I zebranego kolegijum dyrektor,
Pytam: Quid episcopus sit?»
A że chrząkano, dodał: — «Cyt!»

Na to Hieronim: — «Biszof — tak się zowie
Przyjemny napój, wielebni panowie!
Wino czerwone, cukier, no,
I sok pomarańcz tworzy go».

Gdy Jobs kandydat wymówił te słowa,
Jedna po drugiej zachwiała się głowa,
Pierwszy inspektor chrząknął: — «Hem!»
Insi — secundum ordinem.

Tu ksiądz asesor zabrał głos w tej sprawie:
— «Pan Jobs kandydat powie mi łaskawie,
Co to apostoł znaczy, i
Wszystkich wyliczyć zechce mi!»

Rzecz Hieronim prędko: — «Apostołem
Zwiemy dzban tęgi, stawiany za stołem,
Z którego w mniejsze można lać.
A wiele ich? — Jak kogo stać!»

Gdy Jobs kandydat przemówił te słowa,
Jedna po drugiej zatrzęsa się głowa.
Pierwszy inspektor chrząknął: — «Hem!»
Insi — secundum ordinem.

...Ksiądz Belf głosem tak ciężkim, jak ołów,
Spytał: — «Jakie są gatunki aniołów?
I czem się różni każdy chór
Pod względem godeł, skrzydeł, piór?»

Teraz Hieronim uczuł się w kłopotcie.
«Trudno mi — rzecze — znać wszystkich w istocie.
Ten wszakże, który mi jest znan,
Na szyldzie stoi, trzyma dzban».

Gdy Jobs kandydat i t. d.

.....
Tłum. Marja Konopnicka.

JOHANN HEINRICH PESTALOZZI

(1746—1827)

Z «GODZINY WIECZORNEJ PUSTELNIKA»

Człowiek — jak on równy jest sobie na tronie i w cieniu szałasu — człowiek w istocie swojej: czemże on jest? Dlaczegoż mędrzy nam tego nie mówią? Czemu duchy podniosłe nie dostrzegają, czem jest ich ród? Czy tak samo wieśniak — ma oto wołu, a nie stara się go poznać? A pasterz — czy nie bada natury swych owiec?

A wy, którzy potrzebujecie człowieka i powiadacie, że strzeżecie go i życie — czy również ponosicie trud wieśniaka dla jego wołu? Czy i wy macie troskę pasterza o jego owce? Jestże mądrość wasza znajomością waszego pokolenia, a wasza dobroć czy jest dobrocią światłych pasterzy ludu?

Czem człowiek jest, czego pragnie, co go podnosi i co go poniża, co go krzepi, a co go obezsila — o tem wiedzieć jest potrzebą pasterzy ludów, równie jak człowieka w najniższych chatach.

Powszedy ludzkość odczuwa tę potrzebę; wszędzie wśród trudu i pracy, i ucisku dąży ona wyżej a wyżej. Dlatego pokolenia jej więdną i giną — niezaspokojone, a kres dni większej części ludzi wola wielkim głosem, że nie zadowolilo ich zakończenie kolei żywota. Kres ich — to nie dojrzałość doskonałych owoców tej pory roku, która po spełnionem przeznaczeniu każe im opadać wdół na spokój zimowy.

Dlaczego człowiek bada prawdę bez porządku i bez celów ostatecznych? Dlaczego nie bada potrzeb swej natury, aby na nich zbudować uciechę i błogosławieństwo swego życia? Czemu nie poszukuje prawdy, która jest spokojem i używaniem życia, — prawdy, co zdolna do głębi go zadowolić, siły jego rozwinąć, dni jego rozpodzielić i lata jego uczynić szczęśliwemi?

Człowiek, poganiany przez potrzeby swoje, drogę do tej prawdy odnajduje w samej głębinie swej natury.

Dziecię przy piersi — nakarmione — uczy się na tej drodze, czem jest dla niego matka, a wytwarza w niem ona miłość, istotę wdzięczności, zanim jeszcze niemowlę zdoła wydać z siebie głos obowiązku i podziękowania; a syn, co spożywa chleb ojca i wraz z nim grzeje się u jego ogniska, znajduje błogosławieństwo swej istoty w powinnościach dziecka — na tej właśnie drodze natury.

Podniosła drogo natury! prawda, do której wiedziesz, to moc i czyn, źródło, uprawa, pełnia i nastrój całej istoty ludzkości.

Tłum. Alfred Tom.

Z «BAJEK»

Malarz

Stał otoczony przez tłum. Wtem odezwał się ktoś: «Zostałeś więc malarzem? Doprawdy, uczyniłbyś lepiej, gdybyś naprawiał nasze buciki». On zaś odrzekł na to: «Łatałbym wasze buciki, nosiłbym dla was kamienie, wodębym dla was czerpał, ponosiłbym za was śmierć: ale wyście mnie nie chcieli. Czulem pustkę wokół siebie i zostałem malarzem. Ludzi maluję, ludzi...»

Ryby i szczupak

W pewnej rzece ryby podały skargę na szczupaka, że szerzył między niemi wielkie spustoszenie. Sędzia, stary szczupak, oświadczył, że skarga ich jest słuszna i że odtąd, celem wynagrodzenia ich, co roku dwom zwyczajnym rybom wolno będzie zostać szczupakami.

Nieznana droga

«Jakie my jesteśmy nieszczęśliwe, że z naszej doliny nie prowadzi żadna droga» — biadały i skarżyły się owce i krowy na pastwisku, otoczonem wysokimi górami.

Słyszac te narzekania, sarna odezwała się w te słowa: «I z waszego pastwiska prowadzi droga na swobodę, ale nie wskaże jej wam ani pasterz, ani też rzeźnik, aby zaś samej ją odnaleźć, nie trzeba być ani owcą, ani krową.

Właściciel pastwiska i trzody, słyszac słowa sarny, zawołał: «Toż ta sarna ma wyraźny zamiar uświadomienia moich trzód, ale moje owce i moje krowy do mnie tylko należą i nie mają prawa szukać innych dróg prócz tych, któremi na mój rozkaz pasterz zagania je do obory lub do rzeźni».

GOTTFRIED AUGUST BÜRGER

(1748—1794)

LENORA

Lenora po okropnym śnie
Zerwała się w poranku:
«Czyś zdradził mnie? czyś poległ gdzie?
Wilhelmie! mój kochanku.

Na bój pod Pragę ruszył on
Za Fryderyka walczyć tron
I odtąd nie dał mowy,
Czy zginął, czy jest zdrowy.

Już z cesarzową pruski król,
 Znużeni długim bojem,
 W narodów swoich wchodząc ból,
 Skończyli go pokojem.
 A każde z wojsk, zwycięski dźwięk
 I szerząc kottów szczęk i brzęk,
 I wieńcząc się w choińy,
 Wracało do rodziny.

Rozbiegl się lud i wszerz, i wzduż
 Po drogach i po ścieżkach,
 Z radością wojska witał już
 Wrócone po zamieszkach;
 I żony z dziećmi Bogu cześć,
 I narzeczone śpieszą nieść,
 I tylko nic nie może
 Pociechy dać Lenorze.

Każdego pułku pyta się,
 Co serce jej chce wiedzieć;
 Kto wrócił w kraj, kto poległ gdzie,
 Nie może nic wysledzić.
 Gdy przeszło wojsko, z żalu drze
 Na głowie krucze włosy swe
 I tarza się po ziemi,
 I bluźni słowy złemi. — — —

— «O, matko! matko! po mnie już!
 Straciłam go, straciłam,
 Ach, lepiej mnie do grobu złożyć.
 O, czemuż się zrodziłam!
 Na wieki zgasł dni moich blask,
 Nicości chcę, nie bóstwa łask.
 Bóg o mnie zapomina,
 O, biednaż ja dziewczyna!»

«O, Boże! nie wchodź z grzeszną w sąd,
 Twych dzieci nie karz w gniewie,
 Na rozpacz jej miej, Ojczy, względ;
 Co mówi, sama nie wie.
 Zapomnij, córko, ziemskich strat,
 Nie tu się dla nas kończy świat;
 Zbawienia święty wieniec
 Da Boski oblubieniec».

— «Ach, nie mów o zbawieniu tem,
 Zbawienie me uciekło;
 Zbawienie miałam tylko w nim,
 A bez Wilhelma — piekło!
 Na wieki zgasł dni moich blask,
 Nicości chcę, nie bóstwa łask;
 Kochanku! ja bez ciebie
 Zbawienia nie chcę w niebie!»

Tak zawrzał w niej rozpaczy szal
 Po mózgu i po żyłach,
 I proch, wbrew Opatrzności, śmiał
 Zaufać w własnych siłach;

Rozwodzi wciąż przekleństwa swe
 I, w pierś się tłukąc, włosy drze,
 Aż kres słonecznej jazdy
 Wskazały świetne gwiazdy.

Na dworze słyhać: tęt, tęt, tęt,
 Jakby kopyta koni,
 I jeździec z konia zsiada wpęd
 I ostrogami dzwoni.
 Przed drzwiami stanął tam, gdzie sień,
 Pociągnął dzwonek: dzień, dzień, dzień,
 I przez zamkniętą bramę
 Rzekl słowa o te same:

«Hej, hej, kochanko! otwórz drzwil
 To ja, to twój cię woła;
 Śpiszże czy czuwasz, wierna mi,
 Czy płaczesz, czyś wesola?»
 — «Wilhelmie, tyżes w późną noc!
 Czuwałam długo i tez moc
 Wylałam ja po tobie...
 I skądżes o tej dobie?»

«Zdaleka, z Czech przybywam dziś,
 Jeździmy nocną dołą;
 Późnom się wybrał; z łóżka zleż,
 Bo muszę wziąć cię z sobą».
 — «Wilhelmie! wprzód uściśnij mnie,
 Bo zimny wiatr po cierniach dmie;
 Tyś zziął, niech twa kochanka
 Rozgrzeje cię do ranka».

«Niech sobie wiatr po cierniach dmie,
 Ty, dziewczę, porzuć trwoję;
 Mój rumak rży, czekają mnie,
 Zabawić tu nie mogę.
 Czemu prędzej więc gotowa bądź
 I na karego za mną siadź;
 Sto mil mam jechać jeszcze,
 Nim w domu cię popieszczę».

— «Co? dziś ujechać chcesz sto mil?
 Ach! stój, jeśli ci miła.
 Wszak już minęło kilka chwil,
 Jak jedenasta bila».
 «Patrz, patrz! jak świetnie księżyc wszedł,
 My i umarli lecim wnet;
 Zawierz mej obietnicy,
 Dziś staniem u łożnicy».

— «Twa chatka i łożeczko twe
 Są dobre i wygodne?»
 «Sześć desek i deseczki dwie,
 Spokojne, szczupłe, chłodne.
 Dość nam. Gotowa prędko bądź
 I na karego za mną siadź,
 Bo już nas przy łożnicy
 Czekają weselnicy».

Ubrała się i wnet na koń
 Skoczyła, acz nieśmiało;
 Lubego jeźdźca ścisła dłoń
 Swą ręką, jak śnieg, białą.
 Z kopyta zaraz drał, drał, drał,
 Jak szumny wichur, pędzą w cwał,
 A z jeźdźcem koń się pieni
 I lecą skry z kamieni.

Już obustronnie znika kraj,
 A ich gościniec prosty,
 Umyka rola, błonie, gaj
 I wszędzie dudnią mosty.
 «Czy strach ci, luba? Księżyc wszedł,
 Hejż-ha! umarli lecą wnet,
 Czyż strach ci jechać do nich?»
 — «Nie, jednak zamilcz o nich».

I cóż tam brzmi za głos i dźwięk?
 Co kruki tak krakają?
 Czemu jest ten śpiew i dzwonoń brzęk?
 To kogoś grzebać mają.
 Karawan wiezie pyszny cug,
 Przy trumnie w czerni mnóstwo sług.
 Ich śpiew się równa prawie
 Kwakaniu żab na stawie.

«Te zwłoki, bracia, złóżcie w grób,
 Jak północ już uderzył
 Dziś chcę z kochanką odbyć ślub,
 Więc za mną śpiesz, młodzieży.
 Kantorze! zabierz z sobą chór,
 Do ślubnej pieśni zanuć wtór,
 Błogosław nam, pastorze,
 Nim wejdzem w ślubne łoże».

Zmilkł śpiew i dźwięk, karawan znikł,
 Posłuszni, jakby dzieci,
 Zbierają się w porządną szyk
 I tłum za jeźdźcem leci.
 I dalej, dalej, drał, drał, drał,
 Jak szumny wichur pędzą w cwał,
 Pod jeźdźcem koń się pieni,
 Pyskają skry z kamieni.

I z tej, i z tamtej, z obu stron
 Mijają wzgórze, wody,
 I z tamtej, i z tej, z obu stron
 Wsie, miasta i zagrody.
 «Nie bój się, luba, księżyc wszedł,
 Hejż-ha! umarli lecą wnet,
 Czy strach ci jechać do nich?»
 — «Ej, nie! lecz nie mów o nich».

Ot, szubienica w oczach nam,
 A z niej na wszystkie strony,
 Jak wiatr powieje, tu i tam
 Tańcuje powieszony.

«Hej, bratku! jak się kolwiek zwiesz,
 Zstąp zaraz i za nami śpiesz,
 Na ślub się okaż hożym,
 Tańcz, nim się spać położym».

I zaraz lotr pośpiesza zniść
 I leci w trop za niemi,
 Jak wir, co suchy pędzi liść,
 Porwany w gaju z ziemi.
 I dalej, dalej, hop, hop, hop,
 Jak wichur, pędzą wciąż w galop,
 Pod jeźdźcem koń się pieni,
 Pyskają skry z kamieni.

Tak wszystko mija obok nich
 I wszystko ponad niemi.
 Mijają gwiazdy, mija ich
 I niebo, i krąg ziemi.
 «Nie bój się, luba, księżyc wszedł,
 Hejż-ha! umarli lecą wnet,
 Czy strach ci jechać do nich?»
 — «Ej, przestań, nie mów o nich!»

«Podobno pierwszy zapiał kur,
 W klepsydrze spada piasek,
 Już ranku technienie wietrze z gór,
 Hej, kary, suń przez lasek.
 Kres naszej drogi już jest tam
 I chatkę wnet otworzą nam.
 Umartych wichur niesie,
 Stajemy już przy kresie».

Pod bramę, zbitą z lanych kral,
 Zuchwały jeździec ruszy;
 Gdy śmiało mieczem na nią wpadł,
 Cios rygle z zamkiem kruszy.
 Roztwarły się narozcież drzwi,
 On śmiało po mogiłach grzmi;
 A wkoło blask księżycza
 Nagrobki im oświeca.

I stała się cudowna rzecz:
 Okropne to widziadło,
 Ubranie jeźdźca, zbroja, miecz,
 Jak próchno się rozpadło.
 Gdzie była piękna jeźdźca twarz,
 Tam trupią główkę tylko masz,
 Szkielet z czapką bezwłosą
 Klepsydrę trzyma z kosą.

I wspiał się koń, i dziko rzał,
 I parskał skry ogniste.
 Zapadło miejsce, kędy stał,
 W otchłanie przepaściste.
 W powietrzu wzniosł się płacz i krzyk,
 W otchłaniach rozległ jęk i ryk,
 Lenora z serca biciem
 Bój śmierci czuje z życiem.

Księżycy blask rozganiał mrok,
I błysnął obraz nowy,
Bo wszczął się dziwny duchów skok,
Wyjących temi słowy:

«Choć serce twoje pękać chce,
Człowieku, w żalu nie bluźń, nie!
Gdy ciało się rozprószy,
Niech Bóg przebaczy duszy».

Tłum. Bruno Kiciński.

JOHANN WOLFGANG GOETHE

(1749—1832)

Z «LAT NAUKI WILHELMA MEISTRA»

Nie niema bardziej wzruszającego, jak kiedy miłość, która się rozwijała w ciemności, jak kiedy wierność, która się ugruntowała w ukryciu, objawia się wkońcu w godzinie stosownej temu, co jej dotychczas nie był godzien. Długo i ściśle zamknięty pączek dojrzał, serce zaś Wilhelma nie mogło być wrażliwsze.

Stała przed nim i widziała jego niepokój.

— Paniel — zawołała — jeżeli jesteś nieszczęśliwy, co się stanie z Mignoną?

— Kochane stworzenie — rzekł on, biorąc jej ręce — stanowisz także część moich cierpień. Ja muszę odjechać.

Spojrzała mu w oczy, błyszczące od łez powstrzymywanych, i ukłękła przed nim gwałtownie. Zatrzymał jej ręce, ona położyła głowę na jego kolanach i nie mówiła. Bawił się jej włosami i był serdeczny. Długo zachowywała spokój. Wreszcie poczuł w niej jakieś drganie, które się zaczęło cicho i, rosnąc, szerzyło się po wszystkich członkach.

— Co ci, Mignon — zawołał — co ci?

Podniosła główkę i spojrzała nań, schwyciła się naraz za serce ruchem, okazującym tłumienie bólu. Podniósł ją, a ona padła mu na piersi; przycisnął ją i całował. Nie odpowiedziała ani uściskiem ręki, ani żadnym poruszeniem. Trzymała się za serce i naraz wydała krzyk, któremu towarzyszyły kurezowe ruchy ciała. Porwała się i zaraz padła przed nim na ziemię, jakby wszystkie stawy miała połamane. Był to okropny widok!

— Dziecię moje! — zawołał, podnosząc ją i mocno ściskając — dziecię moje, co ci?

Drganie trwało dalej, z serca udzielając się obwisłym członkom; wisiała tylko na jego ramionach. Przycisnął ją do serca i zwilżył swemi łzami. Wtem zdawało się, że znowu się przeży, jak ktoś, co cierpi największy ból cielesny; a niebawem z nową gwałtownością ożywiły się wszystkie jej członki i, jak sprężyna, co się zatrząskuje, rzuciła mu się na szyję, gdy w jej wnętrzu jakby coś pękło nagle, a w tejże chwili z zamkniętych jej oczu popłynął strumień łez na jego łono. Trzymał ją mocno. Plakała, a żaden język nie wypowie potęgi tych łez. Długie jej włosy rozplotły się i zwisały na płaczącej, a cała jej istota zdawała się niepowstrzymanie topnieć w potok łez. Stwardniałe jej członki zwolniały, dusza jej się rozlala, a w zamieszaniu tej chwili lękał się Wilhelm, by się nie rozplęnęła w jego objęciach i nie zniknęła bez śladu. Przyciskał ją coraz silniej.

— Dziecię moje — wołał — dziecię moje! Jesteś przecież moja, jeżeli cię to słowo pocieszyć może. Jesteś moja! Zatrzymam cię, nie opuszczę cię!

Łzy płynęły jej ciągle. Wkońcu wyprostowała się. Miękką wesolość błyszczącą w jej twarzy.

— Mój ojcie! — zawołała — więc mnie nie opuścisz! Chcesz być moim ojcem! Jestem twojem dzieckiem!

U drzwi zaczęła brzmieć łagodnie harfa; stary harfiarz przyniósł najserdeczniejsze swe pieśni w dani wieczornej przyjacielowi, który, ściskając dziecię swe coraz silniej w objęciach, poił się najczystsze nieopisanem szczęściem.

Znasz li ten kraj, gdzie cytryna dojrzeła,
Pomarańcz blask majowe złoci drzewa,
Łagodny wiatr z jasnego nieba wieje,
Gdzie cichy mirt i laurów wzniosłe knieje?
Znasz li ten kraj?

Tam, ach tam
Niech cię, kochanku mój, przy sobie mam!

Znasz li ten gmach, gdzie wielkich sto podwoi,
 Gdzie kolumn rząd i tłum posągów stoi?
 A wszystkie mnie witają twarzą białą:
 «O, dziecię biedne, co się z tobą stało?»
 Znasz li ten gmach?

Tam, ach tam
 Niech cię, obrońco mój, przy sobie mam!

Znasz li ten brzeg, gdzie po skalistych górach
 Strudzony muł swej drogi szuka w chmurach?
 Gdzie w głębi jam prastare drzemią smoki,
 A zwierzchu skał w kaskadach grzmią potoki?
 Znasz li ten brzeg?

Tam, ach tam
 Czas, ojcze mój, wyruszyć nam!¹

Gdy nazajutrz rano obejrzał się Wilhelm za Mignoną, nie znalazł jej i dowiedział się tylko, że wyszła wcześniej...

Po upływie kilku godzin usłyszał Wilhelm muzykę przed swymi drzwiami. Sądził z początku, że to znowu przybył harfiarz, wkrótce jednak wyróżnił dźwięki cytry, a głos, który zaczął śpiewać, był głosem Mignony. Otworzył drzwi, dziewczynka weszła i zaśpiewała pieśń, którąśmy dopiero co podali.

Melodja i wyrazistość podobały się bardzo Wilhelmowi, choć nie mógł zrozumieć wszystkich słów. Kazał sobie powtórzyć i objaśnić strofy, spisał je i przetłumaczył na niemiecki. Oryginalność zwrotów wszakże mógł naśladować tylko w przybliżeniu; dziecinna niewinność wyrazu znikła, gdy język połamany stał się jednolitym, a brak związku był usunięty. Wdzięk zaś melodji z niczem porównać się nie dawał.

Każdą strofę zaczynała uroczystością i wspaniałą, jakby chciała zwrócić uwagę na coś nadzwyczajnego, jakby wypowiadała coś ważnego. Przy trzecim wierszu śpiew stawał się coraz bardziej przytłumiony i posępniejszy; słowa: *Znasz li ten kraj?* przy końcu zwrotki wypowiadała tajemniczo i z namysłem; w wyrazach: *Tam, ach tam* — tkwiła niepokonana tęsknota, a: *Wyruszyć nam* — umiała przy każdym powtórzeniu tak zmienić, że jużto prośba i naleganie, jużto znaglanie obietnic pełne w nich się wypowiadało.

Ukończywszy pieśń po raz drugi, zatrzymała się chwilę, bystro spojrziała na Wilhelma i zapytała:

— Znasz li ten kraj?

— Mowa tu pewnie o Włoszech — odrzekł Wilhelm — skąd masz tę piosenkę?

— Włochy! — powiedziała Mignon znacząco — jeżeli pojedziesz do Włoch, weź mię z sobą, mnie tu zimno.

— Czyś już tam była, moja malutka? — spytał Wilhelm.

Dziewczynka milczała, nic więcej wydobyć z niej nie było można.

*Tłum. Piotr Chmielowski.
 Poprawił Alfred Tom.*

Z «FAUSTA»

Z CZĘŚCI PIERWSZEJ

(Przed bramą miejską — z rozmowy Fausta z Wagnerem)

Wagner:

Człowiek pocziwy dość robi, ja myślę,
 Jeśli naukę, tak jak ją posiada,
 Zastosowyywa sumiennie i ściśle.
 Więc próżny skrupuł: kunszt się doskonali;

¹ Przekład — według parafrazy Mickiewicza.

Jeżeli przeszłość błędy nam zostawia,
To niechaj każdy — co może — poprawia:
Nasi następcy pójdą jeszcze dalej.

F a u s t :

Szczęśliwy ten, w kim nadzieja nie gaśnie
Wybrnąć z chaosu, który nie ma granic!
Czego nie wiemy, trzebaby nam właśnie,
A to, co wiemy, nie zda nam się na nic...
Lecz dosyć tego, bo to próżna strata
Psuć sobie smutkiem widok tej natury:
Patrz, od wieczornej jak pała purpury
Ta zielonością okolona chata.
Dzień już przeżyty; słońce po błękiecie
Śpieszy gdzie indziej nowe budzić życie.
Gdybym, wzniesiony hystremi skrzydłami,
Mógł lecieć za niem po nieba przestrzeni
I w wiecznym blasku wieczornych promieni
Widzieć świat cały pod memi stopami!
Wzgórza zlocistem światłem zapalone,
Ciche doliny i rzek kręte biegi,
I oceanu wody niezmierzone,
I jego dzikie, malownicze brzegi!
I niczem wtedy groźne gór gromady,
Ciemne przepaście i grzbiety spadziste:
Ja wciąż za słońcem, ja wciąż w jego ślady,
Wciąż piję jego światło wiekuiste!
Przede mną jasność, za mną nocy cienie,
Nade mną niebo, a pode mną fale —
O, śnie czarowny! o, boskie marzenieli...
I czemuż ciało tak szczytnie, zuchwale
Wzbić się nie może, jak się dusza wzbija?
A przecież jest-ci coś w naszej naturze,
Że nam się serce gdzieś w przestrzeni wyrywa —
Kiedy nad nami, znikając w lazurze,
Skowronek dźwięczną piosnkę swoją śpiewa,
Gdy widzimy orla wspaniałe krążenie
Nad wierzchołkami sosen wyniosłemi,
Gdy ponad równin i jezior przestrzenie
Ciągną żorawie ku rodzinnej ziemi...

W a g n e r :

Ja często w dziwnym bywam też humorze,
Lecz tak szczególnej nie znalazłem tęsknoty.
Las, pole prędko przesyć mnie może,
Ptaków mię nigdy nie zajmują loty.
Nierównie miłsze umysłu rozkosze,
Gdy się od księgi do księgi przenoszę,
Z karty na kartę oczyma przebiegam
Albo szacowny pergamin rozwinę:
Szczęśliwy, w późną za północ godzinę
Długiej zimowej nocy nie spostrzegam.

F a u s t :

Jedno masz tylko pragnienie stateczne —
Obyś się nigdy nie poznał z innemi!
Lecz, ach, w mej piersi dwie jakoby sprzeczne
Dusze mieszkają: jedna z nich do ziemi

Z całą się mocą miłości przyciska,
 Uciechy życia żądzami pożera;
 Druga gwałtownie z niego się wydziera
 Do wielkich przodków wzniosłego siedliska...
 Jeśli w obszarach nadziemskiej krainy,
 Światle genjusze, wszechwładnie rządzicie,
 O, zstąpcie z waszej promiennej dziedziny,
 Dajcie mi nowe i świetniejsze życie!
 Gdybym posiadał jaki płaszcz skrzydlaty,
 Coby w dalekie nosił mię przestrzenie,
 O! za najdroższe na świecie odzienie
 I za królewskie nie dałbym go szaty.

Wagner:

Ach! nie wywołuj dobrze znanej zgrai
 Duchów ciemności: ten tłum niebezpieczny,
 Ludzkiego rodu nieprzyjaciel wieczny,
 Pod złudną maską złość głęboką tai.
 Duchy północy z ostremi zębami
 Cisną się chciwie, pożrećby cię rade;
 Tam wschód niszczącą wysyła gromadę,
 Co się chce karmić twemi wnętrzościami;
 I kiedy skwarne puszcze południowe
 Buchają na cię płomiennymi ziewy,
 Z zachodu pędzą gwałtowne wylewy,
 Ciebie i wszystko zatopić gotowe.
 Chętnie ta zgraja na wezwanie leci
 I chętnie służy, aby zgubić snadniej;
 Udaje niebian dobroczynne dzieci:
 Pieszczota zwierzchu, a złośliwość na dnie.
 Ależ wracajmy, bo się całkiem ściemni;
 Powietrze chłodne, zimna mgła opada:
 Teraz to w domu siedzieć najprzyjemniej.

(Pracownia Fausta — z rozmowy z Mefistofeilesem.)

Faust:

Któż tedy jesteś?

Mefistofel:

Jam — cząsteczka mała
 Siły, co, złego pragnąc, zawsze dobro działa.

Faust:

Taka zagadka nie objaśnia rzeczy.

Mefistofel:

Jestem więc duchem, który wiecznie przeczy,
 I słusznie, bo cokolwiek do życia przychodzi,
 Najniezawodniej warte jest zniszczenia:
 Niechże się lepiej nic wcale nie rodzi.
 Słąd wszystko, co u waszego plemienia
 Grzechem, zniszczeniem, złem się nazywa,
 To moja sfera właściwa.

Faust:

Powiedziałeś, żeś cząstką, a stoisz tu cały.

Mefistofel:

Skromną ci tylko prawdę me usta wyznały.
Gdy człowiek, będąc małą i głupią istotą,
Ma się za coś całego — ale mniejsza o to: —
Jam część części, co niegdyś przed chwilą stworzenia
Była wszystkim; jam cząstka przedwiekowej nocy,
Malki dumnego światła, które z całej mocy
Chce jej dziś przestrzeń wydrzeć. Lecz te wysilenia
Są próżne: bo to światło, do ciał przywiązane,
Ciała zdobi i z ciał płynie,
Przez ciała może w biegu być wstrzymane:
Więc pewno wkrótce wraz z ciałami zginie.

Faust:

No, teraz już pojmuję twe zacne rzemiosło:
Gdy się na wielką skalę niszczyć nie udaje,
Więc dobrze i na małą!

Mefistofel:

To prawda, wyznaję,
Ale mi ono dotąd niewiele przyniosło.
Ten lichy świat, żdźbło takie — rzecz zadziwiająca,
Jak się szczęśliwie zniszczeniu opiera!
O to żdźbło cała moja sztuka się roztrąca;
I fala je zalewa, i ogień pożera,
I trzęsienia, i burze: cóż? kończy się na tem,
Że wszystko jest, jak było, i świat zawsze światem.

Tłum. Aleksander Krajewski.

Z CZĘŚCI DRUGIEJ

(Północ. Ukazują się cztery siwe niewiasty.)

Pierwsza:

Ja zowię się Brakiem.

Druga:

Ja zowię się Winą.

Trzecia:

Ja zowię się Troską.

Czwarta:

Ja zowię się Nędzą.

We trzy:

Zamknięte — nie można — bo zamki tu strzegą;
Snadź bogacz tu mieszka, nie trafim do niego.

Brak:

Ja cieniem się stanę.

Wina:

Ja w nicość przemienię.

Nędza:

Ode mnie świat dumne odwraca spojrzenie.

Troska:

O, siostry! niesposób: nie wpuści, nie zoczy,
A Troska przez dziurkę od klucza się wtoczy. (*Znika*)

Brak:

Ustąpcie więc, moje siostronie kochane!

Wina:

Ja blisko w ukryciu przy boku twym stanę.

Nędza:

A tuż za stopami powlecze się Nędza.

We trzy:

Już chmura nadciąga, już gwiazdy rozpędza,

A z tyłu — zdaleka, zdaleka i On...

Już brodzi, nadchodzi braciszek nasz — Zgon.

Faust (*w pałacu*):

Weszły cztery, idą trzy białogłowy;

Pojąć nie mogłem znaczenia ich mowy.

Słyszałem, jakby dźwięk: «Nędza» — i «On»,

A rym posepny odjęknął mu: «Zgon»;

Były to puste, straszidłowe tony —

Więc ja nie jestem jeszcze wyzwolony.

O ty, naturo! gdybym oprzytomniał,

Magję odrzucił, o czarach zapomniał,

Jako mąż stanął przed tobą i wiekiem,

Godziłoby się jeszcze być człowiekiem.

A byłem! byłem, nim mroków się jałem,

Hasłem zbrodniczem siebie, świat przekląłem.

Ach... dziś w powietrzu tak pełno straszyleł,

Że nikt już nie wie, jak ujść od ich sidleł:

W dzień — błysnie jasność rozumu niezwykła;

Noc — znowu w senną przędzę nas uwikła.

Wracasz wesolo z młodzieńczego pola:

Ptaka kraknął — co on tam kracze? «Niedola».

O! i w przesady już wiara powszednia —

Wróżba — przestroga — zły znak — przepowiednia —

I mąż samotny po widmach już brodzi...

Baczność: skrzypnęły drzwi... nie — nikt nie wchodzi.

(*Wzdryga się*)

Czy jest tu kto?

Troska:

Pytanie to

Wymaga odpowiedzi: «tak».

Faust:

Kto jesteś?

Troska:

Jestem...

Faust:

Wyjdź, jak weszłaś pokryjomu.

Troska:

Jestem w swoim domu.

Faust (*zrazu rozgniewany, następnie łagodnie do siebie*):

Strzeż się wymówić czarnoksięski znak.

Troska:

Choćbym nie sięgła do ucha,

Wdrażam ja grozę we wnętrze ducha;

Z kształtów w kształty się przebieram,
 Gniewną potęgę wywieram
 Wśród fal i lądów, wiecznie prześladowcza
 Towarzyszka współwędrowcza,
 Przez nikogo nie szukana,
 Przez każdego odszukana,
 Pieszczona i przeklinana. —
 Troskę musiałeś znać przecie?

F a u s t :

O! jam się tylko przeszedł po świecie,
 Każdą tam rozkosz za włosym chwycił,
 Co nie bawiło, o tom nie spytał,
 Znał tylko żądze i żądz spełnienie;
 I tak, w potędzie na świata scenie
 Życie przebrzmiało hucznie, wielmożnie;
 Dziś idzie mądrze, idzie ostrożnie.
 Nasz ten ziemiokrąg znam ja dość ściśle,
 O górnym świecie wcale nie myślę;
 Głupiec tam patrzy przymrużonem okiem,
 Marząc się przyszłym sobą za obłokiem!
 Tu, tu się wpatrzmy w to, na czem stoimy,
 Dla myślącego świat nie jest tak niemy.
 Poco myśl puszczać w wiekuiste kraje!
 Kres wiedzy łatwo oznaczyć się daje.
 Tak niech wędruje przez doczesność naszą,
 Z drogi nie schodzi, jeśli duchy straszą,
 W biegu niech chwyci szczęście, ból, zaszczyty,
 On, co jest wiecznie w dążeniach niesyty.

T r o s k a :

...Ludzie ślepcami są przez całe życie,
 Teraz ty, Fauście, bądź ślepy przy zgonie (*Tchnie na niego*).

F a u s t (*już ociemniały*)

Głębokie, coraz głębsze wciskają się cienie,
 Ale tam w duszy jasne światło błyska;
 Temu, co pomyślałem, śpieszę dać wcielenie,
 Bo tylko słowo pana wagę tu pozyska.
 Hej, służba! wstańcie z łoża, a nakaz uważcie:
 Com usnuł w śmiałej duszy, to czynem pokażcie!
 Biercie rydel i wszelkie grabarskie narzędzie,
 Niech natychmiast tamowy pas wytknięty będzie.
 Jeśli robotnik różnych trudów nie poskąpi,
 Po rozkazy prześwietna nagroda nastąpi;
 Gdzie ma się spełnić dzieło, świat zdumiewające,
 Jednego ducha dosyć tam na rąk tysięcy.

F a u s t :

Dozorca!

M e f i s t o f e l :

Jestem!

F a u s t :

Robotę gnać klusem,
 Jak tylko można, tłum na tłum zgromadzać,

Słowy popędzać, częstunkiem, przymusem,
Placić, napierać, dogadzać.
Codzień wiadomość przynosić mi stale,
Jak się grabarka posuwa w kanale.

Mefistofel (*półgłosem*):

Jak z wiadomości przypominam sobie,
Nie o grabarce mówią, lecz o — grobie.

Faust:

Tam jakieś bagno powstało na górze,
Zarazą cały przestwór ozionęło;
Żeby to ściągnąć i stęchłą kałużę,
O! byłoby to istne arcydzieło.
Miljonom przestwór odkryłbym gościnny,
Pola żyzne, zielone, gdzie człowiek i trzody
Mile czarnoziem powitają młody,
Więc osadzony na wzgórznej podporze
Lud pracowity nawskroś go zaorze.
W środku — raj ziemski; na dole bezmierza,
Nurt wściekły wre tam po krawędź nadbrzeża;
Lecz kiedy postrach, że wciska się chyłkiem,
Lud tamy sypie z żywym współwysiłkiem.
Tak! tego zdania gorąco ja bronię,
To ostateczne mądrości wywody:
Ten tylko godzin życia i swobody,
Kto codzień musi gwałtem dobijać się o nie.
Tak to wśród niebezpieczeństw, stawiając czoło harcom,
Spłyną tu lata dzieciom, mężom, starcom.
Bogdajbym kiedy zgiełk taki mógł zoczyć,
Z wolnością wolnym ludem się otoczyć.
Rzekłbym do chwili z twarzą nieobludną:
«Wstrzymaj się — jesteś tak piękną, tak cudną!»
Ślad moich ziemskich dni w conów pyle
Nie zatrze się — nie może zaginąć w bezmiarze...
I gdy o owem szczęściu najwyższym dziś marzę,
Teraz czuję dla siebie najpiękniejszą chwilę.

(*Upada. Duchy zmarłych, Lemury, podtrzymują go i kładą na ziemię.*)

(*Górskie parowy, las, skały, pustynia. — Święci anachoreci rozsiedleni po wzgórzach i rozpadlinach skał. Mater gloriosa ukazuje się w przelocie.*)

Jedna z pokutnie (*niegdyś zwana Matgosią*):

Przed chwilą, duchów otoczony szlakiem,
Ledwie że nowy chór okiem rozmierzył,
A nowy żywot w myśl jego uderzył,
Oto już zrównał się z świętych orszakiem.
Oto zdarł z siebie brudne ziemskie szmaty,
Dawna osłonna łuska już rozbita;
Patrzcie: z pod jego eterycznej szaty
Siła pierwotnej młodości znów świta!
Pozwól go uczyć, spełnić zapal szczery;
Nowy dzień jeszcze zbyt lśniaco mu świeci.

Mater gloriosa:

Pójdź więc, pójdź! prowadź go w górniesze sfery,
On pozna ciebie i w ślady poleci.

Doctor Marianus (*upadając twarzą*):

Spójrzcie w oczy Zbawiciela
Wszyscy, czulej zdolni skruchy,
Do wiecznego wszechwesela
Odradzajcie wdzięczne duchy.
Wszelka myśl, poczęta zdrowo,
Tobie niech posługę czyni;
Matko, Dziewico, Królowo,
Bądź miłościwa, Bogini!

Chorus mysticus:

Tak! — wszystko poziome
Snem tylko jest, mitem;
Co słabe, znikome,
Tam stanie się bytem;
I spełnia się wreszcie,
Co tajnią jest nam;
Co wiecznie niewieście,
Tam wznosi nas — tam.

Tłum. Feliks Jezierski.

POWITANIE I ROZŁĄKA

Już do niej czas. Więc noga w strzemię — Poleciał koń mój lotem strzał. Wieczorny sen kołysał ziemię, Zawisła noc na szczytach skał; Już, wypiętrzony w błękit siny, Stał oblrzym-dąb w spowiciu mgły, I patrzył czarno z pod gęstwiny Tysiącem oczu pomrok zły.	Przy tobie był. Z twych ócz lazuru Wszelczapomnienia piłem zdroj — I wszystko w nas było do wtóru, I każdym tchnieniem byłem twój. Wiosennej jutrzni pierwsze groty Różowe padły ci na twarz — Od wymarzonej w snach pieszczoty Przecudowniejszy uścisk nasz!
---	--

Miesiąc, wyjrzawszy z za pagórka, Przyświecał tęskno w wonnych mgłach, Wiatr, szeleszczący w lekkie piórka, Nawiewał w uszy dziwny strach; Noc wyłoniła swe bojaźnie, Przy drodze mej czyhają, tkwią — Lecz dobrze mi, wesolo, raźnie I w żyłach ogień płynie z krwią!	Lecz oto słońce już nas ploszy, Uciekać mi potrzeba wdał — W uścisku twym ile rozkoszy, W spojrzeniu twojem jaki żal! Nie żegnaj mnie tym wzrokiem szklanym, Odchodzącemu uśmiech daj — Co to za szczęście być kochanym I kochać, Boże, co za raj!
---	---

Tłum. Józef Weyssenhoff.

PIEŚŃ WIECZORNA WĘDROWCA

Ty, co w niebie masz swój tron,
Koisz smutek i cierpienie
I podwójnej męce łon
Ślesz podwójne pokrzepienie,

Ach, me serce ledwo dyszy!
Czem ten mąk i uciech kłęb?
Słodka ciszy,
Spłyni, ach, spłyni w mej piersi głąb!

Tłum. Leopold Staff.

MIŁOŚĆ BEZ SPOCZYNKU

Naprzekór śniegom,
Dżdżom, wichrów biegom,
Śród mgieł zalewu,
Rozpadlin ziewu —
To tam, to tu!
Bez tchu, bez tchu!

Wolę przez złości
Splot się przebijać,
Niż te radości
Życia wypijać.

Gdy tak się skłania
Serce do serca —
Ach, bez nazwania
Ból nas przewierca!

Jakoż wyżyję?
W lasach się skryję?
Płonna robota!
Szczęście żywota,
Zamęcie zły,
Miłości ty!

ŻEGLUGA

Długie dni stał i noce okręt mój ladowny;
Nim wiatr pomyślny wionie, pośród druhów wiernych,
Spokój i dobrą myśl czerpiąc z kielicha,
Siedziałem w porcie.

Oni aż nadto się niecierpliwili:
Z serca życzymy ci szybkiej podróży
Na pełnem morzu; obfite bogactwa
W dalekich światłach czekają cię pewnie,
A gdy powrócisz, uściśniemy cię
Z czcią i miłością.

Aż wczesnym rankiem wszczął się zgiełk i rwetes,
Majtek okrzykiem spłoszył nam sen z powiek,
Rój ludzi tam i sam snuje się, krząta,
Aby wraz z pierwszym powiewem odpłynąć.

A żagle kwitną, pęczniejąc w podmuchach,
A słońce nęci miłością ognistą;
Migają żagle, górą mkną obłoki.
Z brzegu druhowie spolem wykrzykują
Pieśni nadziei, w uniesieniu rojąc
Rozkosze jazdy — chwile odpływania
O świcie czy też pierwsze noce gwiezdne.

Lecz zmienne wiatry, od bogów zesłane,
Wbok go zwracają z wytkniętego szlaku,
A on, co, zda się, ulega ich mocy,
Zlekka się stara podejść je przebiegle,
Wierny celowi i na krętej drodze.

Aliści z gluchej szarej dali oto
Kroki cichemi już nadciąga burza,
Przytłacza ptaki do powierzchni wody,
Przytłoczyć chce wezbrane serce ludzkie;
I przyszła. Przed jej groźnem rozhukaniem
Szyper przezornie zwija wszystkie żagle,
I z pełną leką piłką tą igrają
Wiatry i fale.

A tam na brzegu przeciwnym stoja
 Cni przyjaciele, dygocac — na lądzie:
 Ach, czemuż on tu nie pozostał z nami!
 Ach, jaka burza! Rzucon precz od szczęścia!
 Więc nasz najmilszy ma tak zginąć marnie?
 Ach, winienby, ach, mógłby! Wielkie bogi!

Ale on mężnie stoi przy swym sterze:
 Z okrętem jego igra wiatr i fala;
 Ni wiatr, ni fala nie tknie jego serca.
 Władczo spogląda na sierzystą głębię
 I — czyli czeka go ład, czy rozbitcie —
 Ufa swym bogom.

BOSKOŚĆ

Niech człowiek będzie zacny,
 Uczynny i dobry!
 Bo ten jedynie
 Różni się on
 Od wszelkich istot,
 Które znamy.

Chwała nieznanym
 Wyższym istotom,
 Przez nas przecutym!
 Niech dorówna im człowiek;
 Niech nas jego przykład
 Uczy w nie wierzyć.

Natura bowiem
 Nieczuła jest dla nas:
 Toż słońce świeci
 Nad złym i nad dobrym,
 A dla zbrodniarza,
 Jak dla najlepszych,
 Księżyc lśni i gwiazdy.

Wiatr i strumienie,
 Grzmoty i grady
 Pędzą swą drogą
 I porywają
 W szybkim przelocie
 Jednego po drugim.

Takoż i szczęście
 Omackiem wśród tłumu
 Raz chłopca uchwyci
 Kędziory niewinne,
 To znów — ciemię tyse
 Grzesznika starego.

Podług odwiecznych
 Niezlomnych praw
 Musimy wszyscy
 Naszego bytu
 Obiegać koła.

Sam jeno człowiek
 Może, co nad możność:
 Różnice chwyta,
 Wybiera, sądzi;
 On chwilę przelotną
 Obdarza trwaniem.

Li jemu wolno
 Dobrych nagrodzić,
 A złych ukarać,
 Leczyć, ratować;
 Co błędne, pierzchliwe —
 Sprzęgać użytecznie.

I oddajemy
 Cześć Nieśmiertelnym,
 Jakby ludźmi byli,
 Na wielką czyniąc miarę,
 Co najlepszy z nas w drobnej
 Czyni albo pragnie.

Niech zacny człowiek
 Będzie uczynny i dobry!
 A bez wytchnienia tworzy,
 Co użyteczne, słuszne —
 Za wzór niech służy owych
 Istot przeczuwanych!

Tłum. Alfred Tom.

Z «ELEGIJ RZYMSKICH»

Teraz radośnie się czuję na ziemi klasycznej natchniony,
 Głośniej, czarowniej mi brzmi z dawnym współczesny mój świat.

Słucham tu danej mi rady, pisarzy świata starego
 Skrzętnie przerzuca ma dłoń, nowy wciąż czerpię z nich czar.
 Ale całemi nocami inaczej zatrudnia mnie Amor;
 Choć więc uczony napót, szczęśny podwójnie jam jest.
 Czyż się zresztą nie uczę, gdy badam łona miłego
 Piękne kształty i wdół dłoń swą przesuwam wzdłuż biodr?
 Wtedy dopiero rozumiem marmury; myśl porównywa,
 Widzi czujący mój wzrok, czuje widząca ma dłoń.
 Chociaż najmilsza niejedną godzinę dnia mi zrabuje,
 Zato godziny swe w noc daje, by spłacić mi dług.
 Wszak nie całuje się ciągle, gwarzy się również rozsądnie;
 Gdy opadnie ją sen, leżę i myśli mam tłum.
 Często już także w objęciach najmilszej tworzyłem poezje
 I heksametru jam rytm, znacząc palcami ich takt,
 Na jej plecach wyliczał cichutko. W śnie słodkim oddycha,
 A gorących jej tchnień ogień przepala mi pierś.
 Amor lampę objaśnia tymczasem i myśli o czasach,
 Gdy triumwirom swym on również usługę tę niósł.

Wam, o Gracje, nieliczne te kartki na ołtarz przeczysty
 Kładzie poeta i wraz pączki dołącza wam róż.
 Czyni to z całym spokojem. Bowiem artystę raduje
 Jego pracownia, gdy wciąż jakby Panteon w niej ma.
 Jupiter boskie swe czoło pochyla, a Juno je wznosi;
 Stawia przed siebie krok Feb, wstrząsa kędziorną swą skroń;
 Sucho nadół spogląda Minerwa, a Hermes lekkoduch
 Nabok odwraca swój wzrok, czuły zarazem i frant.
 Lecz za Bakchusem, marzącym i miękkim, posyła Cytera
 Oczy słodkie od żądz, wilgne i w glazie od łez.
 Słodkie objęcia wspomina rozkosznie i zdaje się pytać:
 Czyliżby nie miał być też przy nas wspaniały mój syn?

NATURA I SZTUKA

Natura z sztuką zdaje się być w sporze,
 A nim pomyślisz, kojarzą się w czynię;
 Również i we mnie wszelka niechęć ginie,
 I obie wabią mnie w tej samej porze.

Trzeba być jeno rzetelnym w swym tworze!
 I gdy dopiero w umiaru godzinie
 Talent i pilność z sztuką wraz się spłynie,
 Natura w sercu znów wolna żyć może.

To samo wszelkiej tyczy się dzielności:
 Daremnie nęci skończoność najczystsza
 Ducha, którego wędzidla nie wiodą.

Skupiać się musi, kto pragnie wielkości;
 W ograniczeniu dopiero znać mistrza,
 I tylko prawo darzy nas swobodą.

Tłum. Leopold Staff.

BŁOGA TĘSKNOTA

Jeno mędrcom mówcie o tem,
 Gdyż szyderstwem tłum was zbywa:
 Sławię w żywych tę tęsknotę,
 Co ogniowej śmierci chciwa.

W noc miłosną, w której cieniu
 Życie wzięłeś, życieś dawał,
 Przy spokojnem świec jaśnieniu
 Dziwnych uczuć wzbiera nawał.

Już cię ciemność nie okrywa,
Swoim mrokiem nie osłania,
Nowa żądza cię porywa
Szczytniejszego zapładniania.

Żadna oddal cię nie trwoży,
Czar cię wabi, żenie czar,
Szukasz światła coraz skorzej
I cimą lecisz w jego żar.

Umrzyj i się odródź znów!
Smętnym gościem będziesz
Tu na ziemi, gdy tych słów
Treści nie posiędziesz.

Tłum. Stanisław Wyrykowski.

FRIEDRICH SCHILLER

(1759—1805)

O RADOŚCI

O, radości, iskro bogów,
Elizejskich pól dziewic!
Wchodzimy do twych świętych progów
Z pełną ogniów twych żrenicą.
Co czas rozprzągł i zwyczaję,
Czarodziejstwo twoje sprzęga;
Braćmi cały świat się staje,
Kędy błogi lot twój sięga.

Chór:

Uściśnijmy się, miljony!
Pocałunek całej ziemi!
Musi nad gwiazdami temi
Ojciec mieszkać upragniony.
Kto otrzymał z losu ręki
Skarb najdroższy, przyjaciela,
Kto anioła posiadał wdzięki,
Z nami radość niech podziela!
Choćby tylko jedno łono,
Jak świat wielki, nazwał swoim!
Kto nie zdołał, nasze grono
Niechaj lez pożegna zdrojem.

Chór:

Kto zamieszkał ziemskie lany,
Niech przyjaźni hołdy głosi!
Ona w gwiazdy nas wynosi,
Gdzie króluje On — Nieznany.
U przyrody wisząc łona,
Radość piją wszystkie twory;
Złość i dobroć upojona
W jej kwieciste pędzą tory.
Pocałunki z winem dała
I dozgonną wierność drucha;
Robak ma rozkosze ciała,
A cherubin Boga słucha.

Chór:

Upadacie miljony?
Świecie, k'Stwórco rwiesz się lotem?
Szukaj go nad gwiazd namiotem!
Tam być muszą jego trony.

Radość dźwignią jest i duchem
W przyrodzenia wiecznym szyku,
Radość toczy koła ruchem
W wielkim światła godzinniku.
Wywołuje z ziarna kwiaty,
W głębiach nieba słońca budzi,
Po przestrzeniach pędzi światy,
Niedościgłe szklami ludzi.

Chór:

Jak przez nieba pyszne koło
Pędzą różne światów wiry,
Jak do zwycięstw — bohaterzy:
Bracia, duszą wlot wysoko!
Z płomiennego prawd ogniska
Rzuca mędrcom uśmiech błogi
I na strome cnót urwiska
Cierpiącego wiedzie drogi.
Na słonecznej górze wiary
Święta jej chorągiew wionie,
Przez rozpęktych grobów szpary
Widać ją w aniołów gronie.

Chór:

Za świat lepszy cierpcie, młodzil
Znoście trudy, miljony!
Tam nad gwiazdy wyniesiony
Wielki Bóg nas wynagrodzi.
Czem ci się odwdziaczyć, bóstwo?
Pięknie jest się równać z bogi.
Pójdź więc, smutku i ubóstwo,
Z wesołymi dziel czas błogi!
Zawiść, zemsta niech przepadną,
Wrogom mir i przebaczenie!
Niech się lżą nie dręczą żadną,
Z zgrzytot wytchnie ich sumienie.

Chór:

Bracia, księgę win zedrzyjcie,
Z całym się jednajcie światem!
Wgórze, nad gwiazd majestatem
Bóg osądzi, jak sądziecie.

Radość perli się w kryształe;
 Ze krwią złotą winogrona
 Litość piją kanibale,
 Bohaterstwo — pierś zwątpiona.
 Bracia, duszą wlot do Pana,
 Kiedy krąży nektar winny,
 Niechaj w niebo tryska piana:
 Cześć ci duchu dobroczynny!

C h ó r:

Ty, któremu grzmia chórami
 Gwiazdy i serafów pienia,
 Przyjmij toast uwielbienia,
 Dobry Boże nad gwiazdami!

W klęsk brzemieniu umysł tęgi,
 Pomoc we łzach niewinnemu,
 Wiekuistość dla przysięgi,
 Druh czy wróg — to prawda jemu,
 Godność przed mocarzów trony,
 Choćby łożyć życie, mienie,
 Dla zasługi wić korony,
 Nieś podłości zatracenie!

C h ó r:

Silniej koło święte sprzęgaj!
 I przy wina tego złocie
 Wierność wieczną ślubom, cnocie
 Przed gwiazd sędzią zaprzysięgaj.

*Tłum. Karol Brzozowski.
 Poprawił Alfred Tom.*

POŻEGNANIE HEKTORA

A n d r o m a c h a:

Czyż, Hektorze, z objęć mych na zawsze
 Iść chcesz, kędy żertwy coraz krwawsze
 Sle Achilles za Patroklem w ślady?
 Z kimże będzie odtąd syn twój mały
 Bogi czcił i miotał grot i strzały —
 Gdy mi ciebie Orkus wchłonie błady?

H e k t o r:

Droga żono — wstrzymaj łzy! W bój krwawy
 Dusza moja pędził Ojców sławy
 I ich prochów sam już tylko bronię!
 Walcząc, z wzrokiem wrytym w moje bogi,
 Jako zbawca ziemi mej, bez trwogi
 Niechaj zstąpię w mętne Styksu tonie!

A n d r o m a c h a:

Z chrzęstem zbroi, z groźnem twem żelazem,
 Któreś z sobą wziął, i z tobą razem:
 Precz odejdzie wielki ród Priama!
 Zstąpisz w kraje bezsłoneczne, kędy,
 Jęcząc, Kocyt w czczościach toczy pędy —
 Bez miłości twej zostanę sama!

H e k t o r:

Żądze moje, myśli wszelkie w zbladłej
 Lety głębiach oby precz przepadły —
 Niech się tylko miłość moja święci!
 Słyszysz? Dzicz już w bramy grzmiał Hej! zbroja!
 Miecz mój! — Wierz mi — nie płacz — miłość moja
 Nie utonie w rzece Niepamięci!

Tłum. Felicjan Faleński.

REZYGNACJA

I jam w Arkadji ujrzał światło dzienne,
 I mnie także u spowicia
 Natura szczęście przyrzekła niezmiennie;
 I jam w Arkadji ujrzał światło dzienne,
 Lecz łzy mi same dała wiosna życia.

Raz tylko jeden istnienie nam krasi,
 Raz tylko kwitnie maj cudny;
 Dla mnie on przekwill. Nieme bóstwo gasi —
 Zapłacicie, bracia! — pochodnię mą gasi,
 I objaw znika uludny.

Straszna wieczności, staję dziś znękany
 Przed twemi progi ciemnymi.
 Ten list — przywilej na szczęście mi dany —
 Odbierz napowrót! Nie był otwierany —
 Jam szczęścia nie znał na ziemi.

Do twego tronu zanoszę me żale.
 O, zasłonięta bogini!
 Ziemska wieść głosi, że tu w wiecznej chwale
 Dzierżysz ty sądów ostatecznych szale,
 Żeś odpląt słusznych mistrzyni.

Że tu czekają na złych udręczenia,
 A rozkosze na cnotliwych;
 Że ty obnażasz krzywizny sumienia,
 Żywotów rozwiązujesz zagadnienia
 I obliczasz nieszczęśliwych.

Że dla wygnańca wskrześnie tu rodzina,
 Tu męczennika kres drogi cierniowej...
 Raz P r a w d ą zwaną niebiańska dziecina,
 Którą świat mija, mało kto wspomina,
 Temi spotkała mię słowa:

«W przysłem cię życiu nagrodzę sownie —
 Twą młodość poświęć mi!
 Nie mam do dania nic w doczesnym bycie». —
 I wziąłem przekaz ten na przyszłe życie,
 I poświęciłem radość nowych dni.

«Wyrzecz się tej, co ci najdroższa w świecie —
 Poświęć mi Laurę twą!
 Za grobem z lichwą ból powetujecie». —
 Wyrwałem z serca miłość ku kobiecie
 I, gorzko płacząc, poświęciłem ją.

«Na rzecz umarłych oblig ci wystawia»,
 Wrzało świata uraganie,
 «Ta zwodzicielka na żoldzie bezprawia
 W postaci prawdy uludę ci wmawia!
 W nic się obrócisz, gdy termin nastanie».

Krnąbrnych szyderców zasyczały roje:
 «Widma, co tylko przedawnieniem trwa,
 Ułakłeś się? I cóż te bogi twoje,
 Chorego świata zmyślane ostoje?
 Ludzki w nich dowcip ludzką biedę peha!

Cóż to jest przyszłość, grobem oddzielona?
 Co wieczność z twojem wierzeniem chepliwiem?
 Czcigodna — że ciemnością otoczona?
 Olbrzymia mara, przez strach wymarzona,
 Groźna w zwierciadle sumienia trwożliwiem!

Kłamane cienie postaci życiowych,
Szeregi mumij ze stuleci ciał,
Balsamowane w podziemiach grobowych
Nadziei technieniem dla rojeń jałowych,
Nieśmiertelnością nazywa twój szal?

Istotneś dobra oddał za marzenie,
Któremu prochy wciąż zadają kłam?
Lat sześć tysięcy trwa śmierci milczenie:
Żadne nie wstaje z mogił pokolenie
I o bogini twej nie świadczy nam! —

Szybko do bram twych czas pędził skrzydlaty,
Widziałem smutny jego biegu ślad —
Powiedle, wyschłe życia tego kwiaty!
Nikt z mogił nie wstał; jednak, jak przed laty,
Wciąż wierzę w Prawdę i w odwet mych strat.

Wszystko, co w życiu uciechą się zwało,
Zdeptawszy, ciskam przed twój wieczny tron.
Szyderstwem tłumy pogardziłem śmiało,
Pragnąłem zdobyć twą nagrodę całą:
Odpłacicielko, gdzie ofiar mych plon?

«Zarówno dzieci me kocham!» — odpowie
Głos niewidzialny na moje wołanie —
«Dwa kwiaty — baczcie, o ziemscy synowie! —
Dwa kwiaty zdobią wam życia pustkowie:
Nadzieja i Używanie.

Kto sobie jeden z tych dwu kwiatów zrywa,
Niechaj nie sięga po drugi.
Ten, co nie wierzy, niech świata używa;
Wierzący — niech się bez uciech obywa.
Ludzkości dzieje — to ludzkości rugi.

Tys żył nadzieją, więc dość masz zapłaty;
Wiara za szczęście ci stała.
Dawna to prawda tej, co i świat, daty,
Że kto dar chwili odrzucił — tej straty
Nie wróci mu wieczność cała».

Thum. Aleksander Krajewski.

Z «WILHELMA TELLA»

(Wąwóz w pobliżu Küsnacht. — Z tyłu droga prowadzi wdół między skałami. Występ na edne z przednich skał porastają krzaki.)

Tell (*sam z łukiem w ręku*):

Tym wąwozem, tak, pewnie tą drogą pojedzie,
Bo żadna inna tędy do Küsnacht nie wiedzie.
Sposobność dobra, miejsce mi sprzyja, tu zginie.
Za tym krzakiem jałowcu skryję się w gęstwinie.
Stąd przed moim pociskiem nic go nie zasłoni,
Wąska droga zatrzyma straż jego w pogoni.
Uderz się w piersi! żałuj za grzechy, tyranie!
Zegar twójgo życia wkrótce bić przestanie.

Żyłem błogo... nie znalazłem trosk ani zgryzoty,
 W krwi tylko leśnych zwierząt broczyłem te grotty,
 Zabójstwo nigdy czystych myśli nie zmąciło.
 Ty, wydzierając z serca tę spokojność miłą,
 Zmieniłeś ją w jad wrzący zatrutej gadziny!
 Przez ciebie niczem dla mnie najgroźniejsze czynił
 Kto miał głowę dziecięcia na cel wystawioną,
 Ten bezwątpienia trafi w swego wroga łono.

Niewinne nasze dzieci, nasze wierne żony
 Wyrwać muszę z twej paszczy, krwią nienasyconej!
 Wówczas, gdym luk napinał, gdy mi drżały ręce,
 Kiedyś, czując szatańską rozkosz w mojej męce,
 Zmuszał mię w własne dziecię wymierzać pociski,
 Kiedyś cię u nóg błagał, prawie skonu bliski,
 Wówczas Bóg, co nad nami czuwa w każdej dobie,
 Sam słyszał tę przysięgę, którą wyrzekł w sobie,
 Że pierwsza moja strzała, którą luk uzbroję,
 Pierwsza, którą wypuszczę, pójdzie w serce twoje!
 Com poprzysiągł, piekielne ponosząc katusze,
 Jest dla mnie świętym długiem — wypłacić go muszę!

Jesteś moim nadwładnym, boś z cesarza ręki;
 Lecz tak okrutne komu wyszukiwać męki
 Cesarzby nawet nie śmiał — zesłał cię w te państwa,
 Byś nas uciskał jarzmem ciężącym poddaństwa,
 Gnębił ducha wolności, ubożył oplata,
 Sądził ostro, bo on sam ostry — lecz nie nato,
 By ci bezkarnie uszedł każdy czyn złośliwy!
 Wiedz, że jest Bóg nad nami karzący i mściwy!

Pójdź tu, ty sprawco gorzkich bólów! w tym momencie
 Najkosztowniejszy skarbiciel drogi dyjamentcie!
 Jedyna moja strzała!... o, będziesz cel miała,
 Którego żadna prośba przebić nie zdołała!
 Ty go przebijesz — a ty, łuku doświadczony,
 Coś mi w zabawach dawał liczne zwycięstw plony,
 Daj mi i tę wygraną — straszną, lecz prawdziwą!
 Trzymaj choć ten raz jeszcze, ty wierna cięciwo,
 Coś tylu moim strzałom lotu przyśpieszała!
 Bo jeśli ta szparkość dość nie będzie miała,
 Ostatnia jest!... już drugiej nie mam do puszczenia...

(Kilku podróźnych idzie przez scenę.)

Tu zaczekam — to małe siedzenie z kamienia
 Na spoczynek idącym tędy przezhaczone.
 Tu niemasz domu, każdy idzie w swoją stronę.
 Tu wędrownik oziębłe wita wędrownika,
 Nie spyta, co go boli lub co go dotyka,
 Staranny kupiec — płochy gracz — pielgrzym ubogi —
 Mnich bogobojny — zbójca, nie znający drogi —
 Mulnik powolny, krajów dalekich mieszkaniac —
 (Bo każda ścieżka wiedzie aż na świata kraniec).
 Jedni skwapliwie śpieszą ku rodzinnej strzesze,
 Drudzy do swych zatrudnień — ja do mordy śpieszę...

(Siada)

Niegdyś, kiedy wasz ojciec szedł na polowanie,
 Drogie dzieci! jak czule było przywitanie,
 Kiedy z tej niebezpiecznej powrócił wyprawy!
 Zawsze wam coś pięknego przyniósł do zabawy:
 Czyto ptaka rzadkiego, czy kwiat polnej róży,
 Co mu się wydarzyło znaleźć w tej podróży —
 Dzisiaj go lada jaka zdobycz nie omami.
 Czatuje na przesmyku z zbójcami myślami,
 Życie nieprzyjaciela chęć łowów w nim nieci!
 A przecież zawsze o was myśli, lube dzieci!
 Dla waszej przeciw zemście tyrana obrony
 Teraz do skrytobójstwa ma luk naprężony...

(Wstaje)

Zwierz, co go dziś spoluję, będzie rzadki bardzo!
 Kiedy myśliwi znojem i trudami gardzą
 Dla dostania jelenia albo dzikiej kozy,
 Nie zważając na burzę, na najłęższe mrozy,
 Lecą bezwzględnie tam, gdzie ich namiętność ciska,
 Broczą krwią swoją krzaki i ostre urwiska —
 Moje trudy piękniejsza dziś zdobycz nagrodzi:
 Serce wroga, co na mnie tak zawzięcie godzi.

(Słychać zbliżającą się weselną muzykę.)

Zabawą mą jedyną od małego dziecka
 Było użycie łuku i sztuka strzelecka —
 I w zapasach do celu trafny moim strzałem
 Niejeden piękny zakład nieraz już wygrałem;
 Lecz strzał mistrzowski będzie dopiero dzisiejszy!
 Wygram i zakład w całych górach najpiękniejszy!

Tłum. Jan Nep. Kamiński.

Z «DYMITRA»

(Walny sejm w Krakowie. Posiedzenie stanów Rzeczypospolitej w wielkiej sali senatu.)

Arcybiskup Gnieźnieński:

Burzliwy sejm ten ma się ku końcowi,
 Aby korzystnie swe sprawy załatwić;
 Król oraz Stany rozchodzą się w zgodzie,
 Szlachta przystaje, aby się rozbroić;
 Oporny rokosz zgodnie się uśmierza.
 Lecz Król poręcza swoim świętem słowem,
 Że słusznym skargom da zadośćczynienie. —
 Teraz więc, skoro mamy wewnątrz spokój,
 Możemy rzucić okiem za granicę. —
 Pytam obecne tu wysokie Stany,
 Zaliż się godzi wysłuchać z ich wola
 Księcia Dymitra, który pretenduje —
 Objąć koronę Rusi, jak prawdziwy
 Syn cara Iwana;
 Czy zgoda na to, aby u stóp tronu,
 Na sejmie walnym, słuszności praw swoich
 Dowodzić dana była mu sposobność?

Kasztelan Krakowski:

Honor i sprawiedliwość nakazują,
 Żądaniu temu by się stało zadość.

Biskup Warmijski:

Wsze dokumenty, dotyczące sprawy,
Badano i sprawdzono;
Ustnych wywodów wysłuchać należy.

Wielu posłów:

Wysłuchać tego, co nam powie, trzeba.

Lew Sapieha:

Lecz go wysłuchać — to znaczy go uznać!

Odołowski:

Wysłuchaniu się oprzeć — to już znaczy,
Nie znając sprawy, ryczałtem odrzucić.

Arcybiskup Gieźnieński:

Czy się zgadzacie, by był wysłuchany?
Pytam ja panów po raz wtóry, trzeci.

Wielki Kanclerz Koronny:

Niechaj się stawi przed stopniami tronu.

Senatorowie:

I niechaj mówi.

Posłowie:

Sluchajmy go.

(Wielki Marszałek Koronny daje znak łaską odźwiernemu, który wychodzi, aby drzwi otworzyć.)

Lew Sapieha:

Proszę zapisać do akt protokołu,
Mości Kanclerzu, że ja oponuję
Tak przeciw sprawie, jak i jej następstwom;
Sprawa ta bowiem grozi pokojowi
Korony polskiej i Moskwy korony.

(Dymitr wchodzi)

Arcybiskup Gieźnieński:

Książę Dymitry, synu Iwanowy!
Jeśliś zatrwożon świetnością zebrania
Królewskich Stanów — lub jeżeli tobie
Blask Majestatu język twój krępuje:
Za zgodą Stanów masz pełną swobodę
Dobrać obrońców według własnej woli,
Iżbyś się obcą mógł posłużyć mową.

Dymitr:

Arcybiskupie! Staję między wami,
Aby zażądać tak państwa, jak berła;
Kruczeby były mej pretensji prawa,
Gdybym się wobec szlachetnego ludu,
W obliczu Króla i senatu stojąc,
Zaląkł. — — — Prawda,
Zem dotąd nigdy nie oglądał jeszcze
Tak prześwieczonego, jak to jest, zebrania,
Którego widok pierś moją podnosi,
Otuchę wlewa, wszelką płosząc trwogę.
Im przeświecniejsi sprawy tej świadkowie

Mię otaczają — tem mi więcej w cenie;
Zebranie bowiem, przed którym mam mówić,
Świetniejsze nigdy, nigdzie być nie może.

Wielu posłów:

Wojna! Wojna z Moskwą!

Sapieha (*powstaje*):

— — — — — Wielki Kanclerzu,
Nakaż milczenie — proszę o głos.

Wielu posłów:

Wojna! Wojna z Moskwą!

Sapieha:

— — — — — Ja żądam głosu!
Marszałku! Władzy swojej użyj!

(*Wielki hałas w izbie i poza nią*)

Wielki Marszałek Koronny:

— — — — — Ty widzisz, panie:
To daremne.

Sapieha:

Co!? I marszałek także przekupiony?
Czy już wolności na tym sejmie niema?
Rzuć swoją łaskę — i nakaż milczenie
Ja o to proszę — Ja wymagam tego!

(*Marszałek rzuca łaskę na środek sali, zgiełk ustaje*)

Sapieha:

Co zamysławacie? Co chcecie stanowić?
Czyż nie żyjemy w głębokim pokoju
Z moskiewskim carem?
W własnej osobie — ja — poseł królewski,
Jam to utworzył sojusz lat dwudziestu;
Moją prawicę jam w Kremle podnosił —
Wzywałem Boga na świadka przysięgi!
A car nam wiernie dochował traktatu!
Czyż uroczyste śluby, czyż traktaty
Nato są, by je sejm rwał bez powodu!

Dymitr:

Ha! Mości książę Sapieho! Ten pokój,
Co to mówicie, żeście z carem Moskwy
Zawarli, tego niema — bo ja carem;
We mnie majestat Moskwy — bom Iwana
Synem — Ruryków spadkobiercą tronu!
Jeżeli Polska chce z Moskwą pokoju,
Ze mną go zawrzeć winna, bo ten traktat
Jest fałszem, iż go pisało bezprawie!

Odowski:

A cóż nas wreszcie wasz traktat obchodzi!
Wtedy chcieliśmy tak, dzisiaj inaczej.

Sapieha:

Więc aż do tego doszło? Więc nikogo
Niema, coby w obronie stanął prawa?

Ja zatem przerwę tę fałszu tkaninę!
Ja wam odkryję prawdę naga — znaną!...

Wielki Marszałek Koronny (*do Sapichy*):
Plon głosowania wykazuje jedność;
Ustąp — a rozważ także dobro drugie,
Jakie zapewnia zgoda — — bądź z większością!

Biskup Krakowski:
Po prawej stronie głoszą wszyscy: «Wojna!»

Sapicha:
Chociażby wszyscy chcieli — ja tu przeczę!
Ja wołam «veto»! I zrywam uchwałę:
Ani mi krokiem naprzód! Wszystko niczem,
Wszystko zerwane, co postanowili!

(*Ogólne poruszenie; Król schodzi z tronu; barjery potamano; chaotyczne zamieszanie.
Posłowie dobywają szabel przeciw Sapięze; biskupi bronią go, osłaniając sobą.*)

— — — — — Większość!
Cóż znaczy większość? Większość — to głupota!
Zawsze tak było, że rozum ma mniejszość.
Ten, co nic nie ma, nie zna, co to — ogół;
Żebrak — czy wie, co wolność — zna, co wybór?
On musi możliwym, co za niego płacą,
Za chleb, za buty — sumienie swe sprzedać;
Głosów nie racja liczyć, trzeba — ważyć;
To państwo musi runąć, prędzej, później,
Gdzie górą większość, a głupi rozstrzyga.

O d o w a l s k i:
Słyszycie zdrajcę!?

P o s ł o w i e;
Brać go na szable! Porąbać w kawały!

Tłum. El. Wiktor Szrajber.

JOHANN PETER HEBEL
(1760—1826)

KANNITVERSTAN

Człowiek ma już codziennie sposobność, zarówno w Koziegłowach czy Pacanowie, jak i w Amsterdamie, do zastanowienia się, jeśli ma chęć ku temu, nad znikomością wszelkich rzeczy ziemskich i do pogodzenia się z losem, choćby mu nieczęsto pieczone gołąbki same do gąbki leciały. Ale po zgoła osobliwym manowcu doszedł pewien czeladnik w Amsterdamie przez błąd do prawdy i jej poznania. Bo gdy przybył do onego miasta handlowego, które uderzało wielkością i bogactwem i gdzie widział mnóstwo domów wspaniałych i okrętów, kołyszanych przez fale, i krzątających się ludzi — rzucił mu się zaraz w oczy gmach, okazały i piękny i olśnił go tak, że czegoś podobnego przez całą swą wędrowkę z Moczydłowa aż do Amsterdamu jeszcze był nie doznał. Długo przyglądał się zdumiony tej kosztownej budowli, sześciu kominom na dachu, cudnym jakimś gzymsom i wysokim oknom, co większe były, niż drzwi tam u nich w domu rodzica. Wkońcu nie mógł się powstrzymać, by nie zagabnąć przechodnia. «Proszę łaski jegomości», przemówił do niego, «a można też wiedzieć, jak zwą tego pana, do którego ten precudny dom z oknami, pełnemi tulipanów, astrów i lewkonij, należy?» — Ale człek zapytany, mając pewnikiem rzeczy ważniejsze na głowie i nadomiar złego rozumiejąc z jego mowy tyle, co on z hollen-

derskiej, mianowicie — zgoła nie, oburknął go krótkim: «Kannitverstan» i pośpieszył mimo. Był to wyraz holenderski, a raczej, ściśle rzecz biorąc, były to trzy wyrazy, które znaczą tyleż, co: nie rozumiem was. Ale poczciwy cudzoziomek sądził, że tak się nazywa człowiek, o którego pytał. Musi to być bogacz nielada ten pan Kannitverstan, pomyślał sobie i poszedł dalej. Z ulicy w ulicę, dostał się wreszcie do zatoki morskiej, która zowie się oto: Het Ey, co znaczy: Ipsilon. Stały ci tu okręt przy okręcie i maszt przy maszcie, a przybysz nie wiedział zrazu, jak on swą jedną tylko parą oczu podola wszystkim tym dziwom dość się napatrzeć i naoglądać się ich dosyta; gdy oto zwrócił jego uwagę wielki okręt, dopiero co przybyły z Indyj Wschodnich, który właśnie teraz wylądowywano. Już stały na lądzie całe szeregi skrzyń i pak, jedne na drugich i jedne obok drugich, i wciąż inne jeszcze wytaczano, a wśród nich beczki, pełne cukru i kawy, pełne ryżu i pieprzu, a wraz i łajna mysiego — z przeproszeniem. Po długim tedy gapieniu się na to wszystko zapytał wkońcu kogoś, co właśnie wynosił na ramieniu skrzynię, jak też nazywa się szczęśny ów człowiek, któremu morze dostarcza na ład wszelakich tych towarów. «Kannitverstan», brzmiała odpowiedź. A on pomyślał sobie: «Ha, ha, to takie buty? Ano nie dziwota. Komu morze te ogromne bogactwa na ład pławi, temu i łatwo takowe domy na świat okazywać i takie tulipany w skorupkach pozłacanych za okna wystawiać!» Teraz poszedł znów zpowrotem, zgoła smutnie rozpamiętując w głębi duszy, jaki to z niego jest mizerak wśród tak wielu na świecie ludzi bogatych. Ale właśnie w chwili, gdy pomyślał: «Żeby to kiedyś i ja miał się tak dobrze, jak ten pan Kannitverstan», skrócił w inną ulicę i ujrzał wielki kondukt pogrzebowy. Dwie pary koni w czarnych oponach ciągnęły czarno również obleczony karawan tak powoli i smutnie, jakgdyby wiedziały, że wiozą zmarłego na spokój wieczny. Długim orszakiem przyjaciele i znajomi nieboszczyka szli za trumną, parami, owinięci w czarne płaszcze i bez słów. Wdali dzwonił samotny dzwonek. Cudzoziomka naszego ogarnęła w tej chwili żalostka, która chyba nie minie żadnego dobrego człowieka, gdy zdarzy mu się widzieć pogrzeb, to też zatrzymał się i z czapką w rękę stał pobożnie, aż wszystko przeszło. Zbliżył się jednak do ostatniego z orszaku, który właśnie obliczał ukradkiem, ileby to mógł zarobić na welnie, gdyby centnar podskoczył w cenie o 10 złotych, tego więc uchwycił lekko za skraj płaszcza i prostodusznie przeprosić się ośmielił. «Musiał to chyba», rzekł, «być serdeczny wasz przyjaciel — ten, któremu dzwonek tam dzwoni, że idziecie zmartwieni i w takiej zadumie». «Kannitverstan!» — usłyszał w odpowiedzi. A wtedy poczciwemu naszemu moczydłakowi trysnęło z oczu parę wielkich łez, i zrobiło mu się naraz ciężko, to znów lekko na sercu. «Biedny Kannitverstanie», zawołał, «na cóż ci więc się zdało całe to twoje bogactwo? To samo z niego masz, co ja kiedyś od nędzy mojej też dostanę: suknię śmiertelną oraz całun, a ze wszystkich twoich kwiatów precudnych — może rozmaryn na ostyglą pierś albo rutę». Takie snując myśli, szedł za trumną aż do samej mogiły, tak jakby do orszaku należał, i widział, jak rzekomego pana Kannitverstana spuszczone na miejsce wiecznego spoczynku, kazanie zaś nadgrobne, z którego nie zrozumiał ani słowa, wzruszyło go bardziej, niż niejedno ze słyszanych dotąd w języku ojczystym, na które nie zwrócił uwagi. Wreszcie poszedł sobie wraz z innymi — z uczuciem takim, jakby mu kamień spadł z serca; spożył w gospodzie, gdzie mógł się jakoś porozumieć, z najlepszym apetytem kawał sera limburgskiego; a kiedy mu później znów chwilami trudno było z tem się pogodzić, że tyłu jest na świecie ludzi bogatych, a on taki biedny, stawał mu przed oczyma pan Kannitverstan z Amsterdamu i dom jego okazały, pełen bogactw okręt i ciasny jego grób.

Thum. S. Frycz i A. Tom.

JEAN PAUL (J. P. FRIEDRICH RICHTER)

(1763—1825)

Z «HESPERUSA»

...W pierwszych godzinach dzisiejszej podróży był Wiktor świeży, wesoly, szczęśliwy, ale nie upojony rozkoszą duchową; ssał w siebie wino przyrody, lecz nie był

jeszcze pijany. Ale kiedy kilka godzin między perlowymi sznurami zroszonych zagonów biegł, mijając rozbręczane doliny, rozśpiewane pola, kiedy się błękitne niebo rozłożyło nad dymiącymi pagórkami i lasami — przyrody ogrodami, kiedy rozbudzony dzionek stanął nareszcie do zwyczajnej służby, tysiącami rąk, milionem rur i kół pracując, a ponad tem wszystkim gorące paliło słońce — wtedy rozgrzał się Wiktor, a serce jego podniosło się, drżące i wzruszone.

Kwiaty, pola i lasy rozplynęły się teraz w niewyraźną niezmierną dal, pojedyncze barwy i części przyrody traciły odrębność, tonąc w jednym wielkim połoku, a ponad wszystkim stał symbol Nieskończonego — słońce, a wśród złocistego połoku — na ziemi — serce ludzkie — odzwierciedlone słońce.

Cały świat stał się jednością, wszystkie serca zwały się w jedno wielkie serce — tylko jedno złączone pulsowało życie: zielone krajobrazy, rosnące posągi, pył kuli ziemskiej, niezmierną dal błękitów zamieniły się w oblicze jednej wielkiej duszy...

Nic nie pomogło, że Wiktor powieki przymykał: w tajnikach piersi jego spoczywał obraz kwitnącej nieskończoności...

O, gdyby się mógł rzucić w chmury, aby na ich barkach przemknąć niebieskimi szlakami ponad daleką ziemię! O, gdyby z wonią kwiatów mógł powiać nad wiosny kobiercem precudnym, z wiatrem nad drzew wierzchołkami, mknąć z nimi w zawody przez lasów cienie! O, w tej chwili byłby się z rozkoszą na pierś wielkiego rzucił człowieka, aby wyszeptać: jakże szczęśliwy jest człowiek!

Zaczął płakać, nie znając powodu łez — śpiewał słowa bez myśli, ale głos, te słowa ubierający, do serca przemawiał — biegł, stawał — zanurzał płomienną twarz w kwiatkach i pragnął się złączyć całym sobą z brzęczącym między liśćmi światkiem — chłodził głowę w świeżej trawie, padając w upojeniu na pierś nieśmiertelnej matczy — na kwitną pierś wiosny.

*

...Nad sercem niektórych ludzi zapanowuje jakiś smutek, jakiś większy cień duchowy, i wtenczas właśnie, kiedy w przyrodzie najmniej jest cieniów, to jest latem około godziny pierwszej po południu. Kiedy po obiedzie łąki, pod ogniem najgorętszego słońca mocniej woniejąc, a lasy z opuszczonym liściem, łagodniej szumiąc, cichutko stawały, a i płactwo zamilkło, wówczas nachodziła duszę Wiktora dziwna tęsknota za wiecznie kłękitnym niebem Wschodu, za palmami Indostanu — wówczas przenosił się w owe ciche krainy, gdzie niema palących potrzeb ani gwałtowniejszych namiętności, gdzie żyją rozmarzeni i bez pragnień spokojni bramini, gdzie dusza, podniósłszy się raz i nie drżąc już z drgającą ziemią, silnie stoi, jak gwiazdy stałe, których blask nie drży, gdy mu się człowiek z wyżyn gór przypatruje.

*

...Jakież widok! Skoro się tylko brama otworzyła, odezwały się między gałęziami drzew harmonijne głosy, a wbiegające powietrze napilo się tych melodyj i popłynęło z nimi dalej, odpoczywając tylko na kwiatkach — z każdym krokiem rozszerzał się smutny widok. Leżały tam odłamy marmuru, z których spoglądały sfinksy i ruiny — widać było głębokie otwory w ziemi — trzydzieści drzew trujących, różami splecionych, stało tam, jako symbol trzydziestu namiętnych lat człowieka — wierzchołki dwudziestu trzech wierzb płaczących nachylały się wieńcem nad niską krzewiną, w której ginęły wszystkie ścieżki wysepki; za krzewiną zakrywało dziewięć zasłon wolny widok na świątynię — przez zasłony wyglądało pięć piorunociągów, a tęcza, utworzona przez dwie fontanny, rozpryskujące się przy spotkaniu, błyszczała wśród gałęzi. — —

Kiedy lord pociągnął swego syna, którego serce drżało, nieznaną pochwycone dłonią, pod niski dach, spleciony ze zwojów brzoź płaczących, rozpoczęły żalobne organki śmiertelne swe płacze, do serca człowieka westchnieniem przemawiając; niepewne, drgające głosy zaryły się głęboko w miękkie serce. Teraz stali obydwaj nad grobem, ukrytym w krzewinach; na grobie leżał czarny marmur, a na kamieniu zasłonięte białe bezkrwawe serce z napisem: spoczywał!

Thum. M. Bogdanowicz.

Z «KWIATÓW, OWOCÓW I CIERNI»

Życzenia noworoczne samej sobie

«Nowy Rok otwiera swą bramę, los stoi na popielisku zgasłego roku pomiędzy płonącymi obłokami poranku a słońcem i wydziela dni — o cóż prosisz, Nataljo?»

«Nie o radość — ach, wszystkie, jakie były w mem sercu, nie pozostawiły tam nic prócz cierni czarnych, a woń ich różana uleciała szybko — chmura, burzą brzemienna, rośnie obok blasku słonecznego, a kiedy wokoło nas jasno, to tylko od ruchu miecza połyskującego, który jutro w pierś wesołą ugodzi. — Nie! nie proszę o chwile radosne; pozostawiają próżnię w spragnionem sercu — troska je tylko wypełnia».

«Los rozdaje przyszłość; czego życzysz sobie, Nataljo?»

«Nie miłości; o, kto przycisnie do serca kłującą białą różę miłości, temu się serce zakrwawi, a ciepła radości łza, jaka w kielich róży spada, prędko stygnie, wnet wysycha. W poranku życia kwitnąca, jaśniejąca miłość — to rozpostarta na niebie jutrzienka, wielka, różowa. Nie wstępuj w płonący obłok, on z mgły i łez złożony. Nie — nie, nie życz sobie miłości, giń od piękniejszych bólów, zamrzyj pod wspaniałsem drzewem trującym, nie pod nikłym mirtlem».

«Przed losem klęczysz, Nataljo. Powiedz mu, czego sobie życzysz?»

«Ani przyjaciół nawet — nie — my wszyscy stoimy na grobach pustych obok siebie. Kiedyśmy tak serdecznie razem za dłonie się ujęli i razem tak długo cierpieli, zapada się pusty wzgórek przyjaciela, martwy stacza się weń, a ja z wystygłem życiem stoję osamotniona obok napelnionego grobowca. — Nie! nie! ale wonczas, gdy serce stanie się nieśmiertelne, gdy duchy kiedyś skupią się w wiekuistym świecie, wtedy pierś silniejsza niech się ożywi gorętszem tętnem, oko nieśmiertelne niech weselej zapłacze, a usta, co już zblednąć nie będą mogły, niech wyszepta: teraz przybądź, ukochana duszo, ninie kochajmy się, bo już nic nas nie rozdzieli».

«Nataljo osamotniona! o cóż tedy prosisz na ziemi?»

«O cierpliwość i o grób, o nic więcej. Ale tego nie odmawiaj, milczący losie! Osusz powieki i zamknij je. Uśmierz serce i złam je. Tak, kiedyś gdy duch rozwinie swe skrzydła w piękniejszych niebiosach, kiedy Nowy Rok w czystszych się zacznie przestworzach i kiedy wszyscy napowrót się ujrzą, napowrót pokochają, wtedy wystąpię ja z życzeniem... Lecz nie dla siebie — ja nad miarę już byłabym szczęśliwa...»

Tłum. Józef Kallenbach.

FRIEDRICH HÖLDERLIN

(1770—1843)

Z «HYPERIONA»

...Stanowić jedność ze wszystkim, to życie bóstwa, to niebo człowieka. Jedno stanowić ze wszystkim, co żyje, w błogosławionem zapomnieniu o sobie powrócić znów na łono powszechnej przyrody!

...Jedno stanowić ze wszystkim, co żyje! Temi słowami cnota odrzuca pancierz gniewu, duch człowieka składa berło, i wszystkie myśli pierzchają wobec obrazu wiecznie jednego świata... Śpiżowy los wyrzeka się panowania, ze związku istot znika śmierć, a nierozłączalność i wieczna młodość uszczęśliwia i upiększa świat.

...Z dziecięcej harmonji wyszły niegdyś ludy — i harmonja duchów stanie się początkiem nowej historii świata. Od szczęścia roślinnego poczęli ludzie i wzrastali, dopóki nie dojrzeli; odtąd fermentowali bez przerwy od wewnątrz i od zewnątrz, aż oto teraz ludzkość w chaotycznym znajduje się stanie, tak iż wszyscy ci, co jeszcze czują i widzą, zawrotu głowy dostają. Ale piękność pierzcha z życia ludzi w sferę ducha; ideałem staje się to, co było naturą, i gdy drzewo od spodu uschło i spróchniało, wierzchołek czerstwo wzbija się jeszcze wgórze i zieleni się w blasku słonecznym, jak niegdyś sam pień za dni młodości. Ideałem jest to, co było naturą. Po nim, po tym ideale, po tem odmłodzonym bóstwie, rozpoznają się nieliczni wybrani i jed-

ność stanowią, gdyż ideał jest jeden w nich wszystkich, i od nich to, od nich rozpoczyna się nowa epoka w życiu świata.

...Dysonanse świata są jakby sprzeczką kochanków. Pojednanie tkwi już w samej sprzeczce, i wszystko, co jest rozdzielone, znów się z sobą łączy. Wybiegają z serca i wracają do niego żyły, krew roznoszące, i jedyne, wieczne, żarzące życie jest wszędzie.

Tłum. S. K.

Hyperiona pieśń losu

Kroczyście tam w górę w światłości
 Po miękkim gruncie, szczęśni genjusze!
 Błyszczący zefir boski
 Dotyka was lekko,
 Jak palec artystki
 Muska struny święte.
 Od losu wolni, niby śpiące
 Niemowlę, dyszą niebianie;
 Ukryty bezgrzesznie
 W nieśmiałym pączku
 Kwitnie dla nich
 Wieczyście duch,
 A oko szczęśliwe
 W cichej spogląda
 Wieczystej jasności.

Lecz nam jest dane
 W żadnym miejscu nie spocząć,
 Znikają, padają
 Cierpiący ludzie
 Naoślep z jednej
 Godziny w drugą,
 Jako wody, ze skały
 Rzucane na skałę,
 Latami w niewiadomą głąb.

Tłum. Alfred Tom.

DO ETERU

Żaden z bogów i ludzi nie zajął się mem wychowaniem,
 Tak jak ty, o, ojcze Eterze, przyjaźnie i wiernie.
 Jeszcze nim matka mnie wzięła w objęcia i piersią poita,
 Tyś delikatnie mnie objął i wlałeś swój trunek niebieski,
 Święty oddech mi wlałeś do piersi, budzących się życiem.
 Ziemskie li tylko pokarmy wyżywić stworzeń nie mogą,
 Ale ty swym nektarem wykarmiasz je wszystkie, o, ojczel!
 Prze i pędzi, i płynie z wieczystej twej obfitości
 Duszą darzące powietrze przez wszystkie kanały żywota.
 Przeto istoty kochają cię też i dążą do ciebie,
 Ustawicznie w górę do ciebie w radosnem wzrastaniu.
 O, niebiański! nie ciebież to szuka roślina swem okiem,
 Nie ku tobież się wznosi nieśmiało krzewina najlichsza?
 Aby cię znaleźć, ziarno rozrywa więzy łupiny;
 Aby się w falach ożywczych wykapać rozkosznie,
 Las otrząsa się z śniegu, jakgdyby z szaty ciężkiej.
 Nawet ryba wypływa na lśniąca stawu powierzchnię,
 Skacze z pluskiem ku górze, jakgdyby i ona pragnęła
 Z fali wzniesć się ku tobie; i ziemi szlachetne zwierzęta
 Krok zmieniają na lot, gdy czasem gwałtowna tęsknota,

Miłość tajemna ku tobie ogarnia je, ciągnie ku górze.
 Rumak ziemią pogardza, a szyję, jak stal wygiętą,
 Wznosi wzwyż, podkówną za ledwie piasku dotyka.
 Jakby żartem jeleń swą stopą trawkę porusza,
 Skacze, jak zefir, przez strumień, co z brzegów wyrывa się, pieni.
 Tu i ówdzie się wije, za ledwie widoczny śród krzaków.
 Lecz ulubieńcy Eteru, szczęśliwe ptaki, mieszkają
 W wiecznym ojca schronieniu, gdzie zadowolone igrają!
 Dość tam miejsca dla wszystkich. W granicach nikt nie zamknięty.
 Wolno się więc porusza w przestrzeni i wielkie, i małe.
 Nad mą głową się cieszą, i tęskni dziwnie me serce,
 Do nich ku górze się zrywa; jakgdyby przyjazna ojczyzna,
 Coś mnie przywabia zwysoka; po Alp wyniosłych wierzchołkach
 Chciałbym błędzić i wołać orła, mknącego w powietrze,
 Aby, jak niegdyś szczęsnego chłopca w Zeusa ramiona,
 Tam do pałacu Eteru z tej ziemskiej mnie uniósł niewoli.
 Głupio tutaj żyjemy; jak błędna winna gałązka,
 Której złamał się pręt, co ku niebu jej wzrastać pozwał,
 Myśmy tak rozpostarci na ziemi, szukamy, błędzimy
 Pośród ziemskich stref, o, ojcze Eterze! Napróżno
 Wiecznie pali nas żądza pobytu w twoich ogrodach.
 W morskie rzucamy się fale, na swobodniejszych płaszczyznach
 Chcąc się nasycić, a wkoło okrętu igrają bałwany:
 Serce się nasze raduje z tej mocy boga morskiego.
 Ale to nie wystarczał bo głębszy nas wabi ocean,
 Gdzie się lżejsze fale ruszają — o, ktoby do tamtych
 Złoty chwył wybrzeży okrętem lotniejszym zdołał popłynąć!
 Jednak, podczas gdy tęsknię do dali, we mgłę tonącej,
 Której obce pobrzeże błękitnąś falą opasał,
 Ze szmerem splywasz ku mnie z wierzchołków drzew owocowych,
 Ojcze Eterze! i serce tęskniące łagodysz mi słodko;
 Znowu żyję z ochotą, jak przedtem z kwiatami tej ziemi.

Tłum. Leo Belmont.

ŻRAŁE SĄ, W OGNIU NURZANE...

Żrałe są, w ogniu nurzane, warzone
 Owoce i doświadczane na ziemi, a jest to prawem,
 Iż wszystko przenika w głąb, podobne żmijom,
 Proroczo, śniąc
 Na wzgórzach niebios. A wiele,
 Jak na barkach brzemię
 Zatrąty, należy
 Podźwignąć. Lecz ścieżki
 Złe są. Omylnie bowiem,
 Niby rumaki, kroczą usidlone
 Żywioty i pradawne
 Prawa ziemi. A zawsze
 W niespełnianie jedna z tęsknot przenika. Lecz wiele
 Zdzierzeć należy. I trzeba wierności.
 Naprzód wszelako ani za siebie nie
 Wglądajmy. Kołysmy się, jak
 Na chybotacem czólnie jeziora.

Tłum. Stefan Napierski.

NOVALIS (FRIEDRICH VON HARDENBERG)

(1772—1801)

Z «HENRYKA OFTERDINGEN»

Dedykacja

Tęsknotę wielką obudziłaś we mnie
 Spojrzenia w bezdeń, w samo serce świata.
 I pójdę, z dłonią w dloni ducha-brata
 Od trosk daleki, w światłość poprzez ciemnię.
 Dusza, co przeczuć pila czar tajemnie,
 Kwiaty z niw rwała, kędy baśń polata,
 Na szczyty pójdzie, skąd wichr orły zmiała
 I w przedświtowym mroku nie zadrzemnie.
 Bo już nie ciąży mi kajdany ziemi,
 Tyś moim wzlotem jest i Jutrem ty!
 Miłość mię skrzydły objęła jasnemi,
 Idę za granicę, co mi w piersi drży...
 Kochanko, drogi wiedziesz mię tajemni!
 Tyś twórczy duch, co dzieło moje śni.

*

...Opanował nim niby słodki sen, w którym roił o niepodobnym do prawdy zdarzeniu. Zbudził się do innego wtajemniczenia. Znalazł się u brzegu źródła na miękkiej murawie. Źródło było kędyś wysoko w powietrze, a krople nie wracały, jakby je przestwór pożarł. Ciemnobłękitne skały, pocięte barwnymi żyłami, sterczały opodal. Poświata dzienna, rozlewająca się po tym zakątku — niewiadomo, ziemi czy nieba — jaśniejsza była i łagodniejsza zarazem, niż zwyczajna. Szafir niebios ściemniały, szerniały był prawie, przezysty jednak i przezroczy.

Z pośród wszystkiego oczy jego pociągał najbardziej, mocą nieprzepartą, jasnobłękitny kwiat, stojący na wysokiej łodydze ponad samem źródłem. Dotykał go szerokiemi połyskującymi liśćmi. Dokola chwiały się kwiaty inne o rozlicznych barwach, a woń precudna napelniała powietrze. Młodzieniec nie widział jednak nic prócz błękitnego kwiatu. Wpatrywał się weń długo z rozrzewnieniem, na jakie niema słów. Wreszcie powstał, chcąc się doń zbliżyć jeszcze bardziej, ale w tej chwili kwiat począł się poruszać i zmieniać, liście nabrały jeszcze żywszego połysku i zwinęły się dokola łodygi, kielich pochylił się ku niemu, płatki się rozchyliły, tworząc jakby szeroką kryzę, a pośrodku niej zjawiała się twarz. Wraz z przemianą dziwnego kwiatu śpiącym owładano coraz większe zdumienie... Ale tejsze chwili zbudził go głos matki i, otworzywszy oczy, ujrzał się w rodzicielskim domu. Pokój zalany był porannem światłem.

Tłum. Franciszek Mirandola.

Z «HYMNÓW DO NOCY»

Kto z żyjących, czuciem udarowanych, ponad wszystkie cudowne zjawiska szerokiej dokola przestrzeni nie kocha radującego światła, z barwami, promieniami i falami jego, z jego dobroczynną wszechobecnością w postaci budzącego dnia? Niby życia najistotniejszą treścią oddycha niem gwiazd niezmordowanych świat gigantyczny i krąży tańcem płynnym w błękitnym jego nurcie; wdycha je skrzący, wiecznie w spoczynku kamień, zmyslna ssąca roślina i zwierzę dzikie, pałające, o kształcie rozlicznym; nadewszystko jednak — wspaniałe obcokrajowiec o pełnych myśli oczach, harmonijnym kroku i łagodnie zwartych, bogatych w dźwięk wargach. Światło, niby król natury ziemskiej, wzywa siły do zmian bez liczby, łączy i rozdziela wciąż nowe związki, istotę każdą ziemską wieńczy swym niebiańskim obrazem. Jego dopiero obecność objawia cudowną wspaniałość posad świata.

W inną zwracam się stronę ku świętej, niewysłowionej, tajemniczej Nocy. Daleko leży świat, który gdzieś w przepaść się pograżył; pustynne i samotne jest miejsce jego. Struny serca potraça żalność głęboka. Kroplami rosy chciałbym opasać i z popiołami się zjednoczyć. — Oddale wspomnień, życzenia młodości, sny dzieciństwa, długiego życia całego radości krótkie i nadaremne nadzieje w szarem odzieniu ciągną jak mgły po zachodzie słońca. Gdzie indziej rozbiło światło radosne namioty swoje. Czyż nigdy nie powróci do dzieci swych, co go czekają z ufaniem niewinności?..

*

Czyż ranek bez końca ma powracać? Czyż nigdy się nie skończy władza ziemskości? Nieszczęsna krzątanina unicestwia niebiańskie technienie Nocy. Czyż nigdy nie będzie dane, by tajemna miłości ofiara płonęła w wieki wieczne? Odmierzony był światu czas jego; nie zna wszelako czasu i przestrzeni Nocy wielmożność. — Wieczne nie trwanie snu. Śnie święty, nie nazbyt rzadko Nocy wybrańców uszczęśliwiając czasu tej pracy ziemskiej. Nerozum tylko znać cię nie chce i nie wie o śnie, póki go cień nie ogarnie, jaki w zmierzch przed Nocą prawdziwą ty rzucasz na nas z dobrocią. Nie czują cię w złotym płynie macicy winnej, w migdałów oleju przedziwnym, w brnatnym soku makowym. Nie wiedzą, iżes ty jest, który owiewasz piersi dziewczęce i niebem je czynisz, nie marzy im się, że z powieści o dziejach zamierzchłych, niebo odmykając, idziesz ku nam i klucz niesiesz od szczęścia siedziby, milczący posel bezdennych tajemnic.

Tłum. Tad. Newlin-Wagner.

HEINRICH VON KLEIST

(1777—1811)

Z LEGENDY p. t. «ŚWIĘTA CECYLJA CZYLI POTĘGA MUZYKI»

Przy końcu XVI stulecia, kiedy w Holandji szalało obrazoburstwo, trzech bracia, młodzi studenci wittenbersecy, spotkali się w Akwizgranie z czwartym, który był w Antwerpji predykanem. Mieli tam podjąć spadek, który im przypadł po starym nieznanym wuju, a ponieważ narazie nie wiedzieli do kogo się zwrócić, stanęli w gospodzie. Po upływie kilku dni, podczas których predykan opowiadał im o niezwykłych zajęciach w Holandji, zdarzyło się, że mniszki klasztoru świętej Cecylji, stojącego wówczas przed bramami miasta, miały obchodzić uroczystość Bożego Ciała. Żarliwość religijna przeto i przykład Holendrów skłoniły zapalczywych młodzieńców do postanowienia, żeby także Akwizgranowi dać widowisko obrazoburstwa. — Predykan, który już nieraz przewodził takim awanturom, wieczorem, w przeddzień obchodu, zebrał garstkę młodych kupeów i studentów, oddanych nowej nauce. Spędzili noc na uczcie, pijalycie i złorzeczeniu papieżowi, a gdy dzień zaświtał nad blankami miasta, zaopatrzyli się w topory i inne narzędzia zniszczenia. Z uciechą umówili między sobą znak, na który mieli zacząć od tłuczenia okien, pomalowanych scenami, a pewni, że znajdą wielkie poparcie u ludu, i zdecydowani nie zostawić kamienia na kamieniu, udali się do tumu, skoro tylko dzwony zabrzmiały. — Ksienię już o brzasku dnia powiadomił ktoś o niebezpieczeństwie. Ale nadaremnie posyłała kilka razy do cesarskiego oficera, komendanta miasta, z prośbą o straż do obrony klasztoru; oficer, sam wróg papieżstwa, mimowoli sprzyjał nowej nauce i pod pozorem, że ksieni się coś uroiło i że klasztorowi nic nie grozi, odmówił jej naleganiu. — Tymczasem nadeszła pora uroczystości. Drząc, modląc się, w przygnębieniu i oczekiwaniu nieuchronnych wydarzeń, przygotowywały mniszki mszę. Bronił ich tylko siedemdziesięcioletni wójt klasztorny, stanąwszy u progu kościoła z kilkoma uzbrojonymi pachołkami. — Jak wiadomo, w klasztorach żeńskich mniszki, ćwiczone w grze na wszelkich instrumentach, same wykonywają część muzyczną, i to nieraz z precyzją, zrozumieniem i uczuciem, jakich braknie w męskich orkiestrach (może dzięki kobiecej naturze tej tajemniczej sztuki). Otóż nadomiar utrapienia zdarzyło się, że kapelmistrzyni, siostra Antonja, która zwykle dyrygowała orkiestrą,

na kilka dni przedtem nagle zachorowała na gorączkę nerwową; przeto oprócz czterech braci bluźnierców, których widziano, jak, odziani w płaszcze, stali pod filarami kościoła, nieznośnej troski przysparzała klasztorowi konieczność wykonania stosownego dzieła muzycznego. Poprzedniego wieczora ksieni nakazała była wykonanie prastarej włoskiej mszy nieznanego mistrza, szczególnie uroczystej i wspaniałej, którą kapela klasztorna już kilka razy wywierała głębokie wrażenie. Trwając w swoim zamiarze, bardziej niż kiedykolwiek, posłała ksieni jeszcze raz nadół do siostry Antonji, aby się dowiedzieć, jak się miewa; ale wysłana mniszka wróciła z wiadomością, że siostra leży zupełnie bezprzytomna i że niema mowy o tem, żeby dziś dyrygowała. — Tymczasem powoli zebrało się w tunie ponad stu hultajów wszelkiego stanu i wieku, zapatrzonych w siekiery i łamulce, i już rozegrały się złowróżbne zajścia. Drażniono najsmrotniej pacholków, stojących u wejść, a wobec mniszek, gdy która z powodu jakiego pobożnego zajęcia zjawiała się w halach, pozwalano sobie na najbezwstydniejsze i najzuchwalsze urągania; wtedy wójt klasztorny udął się do zakrystji i na kolanach zaklinał ksienię, aby zaniechała uroczystości i schroniła się do miasta pod opiekę komendanta. Atoli ksieni niezłomnie nastawała na to, żeby uroczystość ku czci Pana nad Pany jednak się odbyła; przypomniwała wójtowi jego obowiązek czuwania na śmierć i życie nad mszą i nad uroczystym obchodem, który ma się odbyć w kościele, a że właśnie uderzył dzwon, rozkazała mniszkom, trwożnie cisnącym się do niej, aby wzięły jakiegokolwiek oratorjum i natychmiast rozpoczęły je wykonywać.

Właśnie mniszki, zebrawszy się na chórze, rozdzieliły między siebie partyturę utworu, który już często dawano, stroiły skrzypce i basy, próbowały je, gdy wtem siostra Antonja, zdrowa zupełnie, nieco błada na twarzy, zjawiała się od strony schodów; pod ręką niosła partyturę owej prastarej mszy włoskiej, na której wykonanie ksieni tak gorąco nastawała. Na zdziwienia pełne zapytania mniszek, skąd przychodzi i w jaki sposób tak nagle wyzdrowiała, odrzekła: «Mniejsza o to, siostry, mniejsza o to!» Rozdzieliła przyniesioną partyturę i sama, palając natchnieniem, siadła do organów, aby dyrygować znakomitym utworem. Niby cudowne ukojenie niebiańskie spłynęło w serca pobożnych niewiast; natychmiast stanęły z instrumentami przy pulpitych, a rozpacz, w jakiej się znajdowały, sama przyczyniła się do tego, że ich dusze, jak na skrzydłach, wzniosły się w niebiosa miłodźwięku. Oratorjum wykonano z najwyższą i najwspanialszą okazałością muzyczną; w halach i w ławach podczas produkcji panowała cisza zapartych oddechów; szczególnie podczas «Salve Regina», a jeszcze bardziej podczas «Gloria in excelsis» cały tłum w kościele zdawał się jakby tknięty ręką śmierci; przeto, wbrew czterem przeklętym przez Boga braciom i ich współnikom, nawet proszek z dywana nie został strącony, i klasztor przetrwał aż do końca trzydziestoletniej wojny, kiedy go zsekularyzowano na mocy jednego z artykułów pokoju westfalskiego.

(Przybyłej w sześć lat potem matce, która w znajdujących się w miejskim domu obłąkanych czterech młodzieńcach poznaje swych synów, opowiada o tem zdarzeniu sukiennik miejski.)

«...Gdy się zaczęła muzyka, twoi synowie równoczesnym ruchem, w sposób, który nas zdumiał, zdejmują nagle kapelusze; pomalą, jakby w głębokim niesłuchanem wzruszeniu pochylają oblicza, zakrywają je sobie dłońmi — upływa przerażająca pauza, a predykant nagle odwraca się do nas i straszliwym głosem woła do wszystkich, aby także głowy obnażyli! Naprózno kilku współników płochą trąca go łokciami i wzywa szeptem, aby dał umówiony znak do obrazoburstwa. Miast odpowiedzi, predykant, skrzyżowawszy ręce na piersiach, szperza się na kolana i wraz z braćmi, wciskając czoło żarliwie w proch, mruczy szereg dopiero co wyszydzanych modlitw. Stropiona tym widokiem, pozbawiona przywódców, stoi gromadka żalonych zapaleńców w niepewności i wahaniu aż do końca oratorjum, rozbrzmiewającego cudownie z galerji; a ponieważ na rozkaz komendanta w tej właśnie chwili zarządzono wiele aresztowań, a kilku bezbożników, zakłócających porządek, straż już pochwyciła i wyprowadziła, nie pozostaje nędznej garstce nic, jak pod osłoną ciżby wychodzących ludzi czem prędzej oddalić się z domu Bożego.

W gospodzie napróżno zapytywałem kilkakrotnie o synów pani. Nie wrócili. Wieczorem, ogromnie zaniepokojony, idę znowu z kilkoma przyjaciółmi do klasztoru, aby dowiedzieć się czegoś u odźwiernych, którzy pomagali cesarskiej straży. Ale jak ci opisać moje przerażenie, dostojna pani, gdy widzę tych czterech mężów powalonych tak samo, jak wprzód, w gorącym ubóstwieniu przed ołtarzem kościoła, ze złożonymi rękami, piersią i czołem wcałowanych w ziemię, jakby skamienieli! W tej chwili nadchodzi wójt klasztorny, szarpie ich za płaszcze, trąca w plecy i napróżno wzywa, by opuścili tum, bo już zupełnie ciemno i niema już nikogo. Dźwigają się jakby w śnie i nie-rychlej dają posłuch wezwaniu wójta, aż na jego skinienie pachotcy biorą ich pod ramiona i wyprowadzają za bramę. Tam dopiero poszli za nami ku miastu, a rozpacz nas brała, gdyśmy widzieli, jak wzdychają i wciąż oglądają się ku katedrze, która zdala wspaniale świeciła w blaskach zachodu...

...Bije północ; czterej synowie waćpani nasłuchują chwilę głuchych dźwięków dzwonu, nagle razem podnoszą się z siedzeń — i gdy my, złożywszy serwety, spoglądamy ku nim, pełni trwożnego oczekiwania, co zapowiada ten ruch dziwaczny, oni straszonym i przeraźliwym głosem intonują: «Gloria in excelsis». Takie głosy wydają chyba leopardy i wilki, gdy w mroźną noc grudniową wyją w niebiosy; filary domu, powiadam waćpani, wstrząsnęły się, a okna, uderzone widzialnym tchem ich płuc, zadygotały, jakby w nie kto garściami piasku rzucał, i omal nie pękły. Na widok tej okropnej sceny rozbiegamy się bez opamiętania, ze zjeżonymi włosami; zostawiwszy płaszcze i kapelusze, uciekamy przez najbliższe ulice, które wnet napelniły się setkami ludzi, wystraszonych ze snu; lud wysadza drzwi domu, schodami tłoczy się ku sali, aby znaleźć źródło tego potwornego i przejmującego do szpiku kości ryku, który niby z ust potępieńców, straconych na dno piekiel, wzbijał się rozpacznie o zmiłowanie do Boga...»

(Matka, wstrząśnięta tą opowieścią, udaje się do klasztoru i słyszy z ust ksieni następujące słowa):

«Bóg sam owego cudownego dnia ustrzegł klasztor od zuchwałości wielce zbłąkanych synów pani. Jakich środków przytem użył, to pani, jako protestantce, może być obojętne, to też cokolwiekbym o tem powiedziała, będzie dla pani trudne do pojęcia. Niechże bowiem pani usłyszysz, że poprostu nikt nie wie, kto właściwie wonczas pod ciężarem tej złowrogiej godziny, kiedy obrazoburstwo miało się nad nami rozpętać — dyrygował przed organami dziełem, które tam oto widzi pani otwarte. Aktem, spisanim nazajutrz rano w obecności wójta klasztornego i wielu innych mężczyzn i złożonym w archiwum, stwierdzono, że siostra Antonja, jedyna, która mogła dyrygować dziełem, podczas całej produkcji leżała w kącie swej celi chora, bezprzytomna, poprostu niewładna członkami; inna siostra, jej krewna, która ją pielęgnowała przez całe przedpołudnie, kiedy w katedrze obchodzono Boże Ciało, nie odstępowała jej łóża. Ba, nawet siostra Antonja byłaby niechybnie potwierdziła okoliczność, że nie ona była tą, która w tak dziwny i osobliwy sposób pojawiła się na galerji organów, gdyby jej zupełnie bezprzytomny stan pozwalał na wypytywanie jej i gdyby była jeszcze wieczorem tego samego dnia nie skołała na gorączkę nerwową, która przedtem wcale nie zdawała się grozić jej życiu. Zresztą, arcybiskup Trewiru, otrzymawszy sprawozdanie o wypadku, wypowiedział już jedyne słowo, które go tłumaczy, mianowicie: święta Cecylja sama spełniła ów cud, zarówno straszny, jak wspaniały, i właśnie dostałam od papieża breve, które to potwierdza».

...Matka, której obecność w Akwizgranie była już zupełnie niepotrzebna, złożyła w sądzie mały kapitalik na rzecz swych biednych synów i wróciła do Hagi, gdzie w rok potem, głęboko wzruszona tym wypadkiem, wróciła na łono kościoła katolickiego; synowie zaś umarli w późnym wieku śmiercią pogodną i zadowoloną, odśpiwawszy raz jeszcze wedle swego zwyczaju «Gloria in excelsis».

Tłum. Karol Irzykowski.

Z «ROBERTA GUISKARDA»

(Guiskard, wódz Normanów — w. XI — przed Konstantynopolem. Epidemja pochłania wojsko, rycerze pragną powrotu do ojczyzny i zaczynają się buntować.)

Norman (*skinąwszy na starca*):

Arminie!

Starzec:

Bóg z tobą, Franciszku! Co słyszeć?

Norman (*skinąwszy na pierwszego wojaka*):
Marjanie!

Pierwszy wojak:

Masz jaką nowinę?

Norman:

Pozdrowienie z domu.

Z Kalabrii właśnie przybył tu wędrowiec.

Starzec:

Tak! z Neapolu?

Pierwszy wojak:

Czemu oglądasz się, jak pomieszany?

Norman (*chwytając obu mężów za ręce*):
Ja — pomieszany? Chyba żartujecie!

Starzec:

Warga twa biała. Co się stało? Powiedz!

Norman (*znów się obejrzawszy*):

Słuchajcie. Ale tego, co wam powiem,
Nie zdradźcie mi, a tem bardziej słowy.

Starzec:

Człowieku, jesteś straszny. Co więc zaszło?

Norman (*głośno do ludu, który mu się przygląda*):
No, jak tam? księżę czy przyjdzie, druhowie?

Jeden (*z gromady*):

Tak, spodziewamy się.

Inny:

Tak, cesarzowa miała go poprosić.

Norman (*tajemniczo, prowadząc naprzód obu mężów*):

Gdy o północy dzisiaj stał na warcie,
Tulał na progu namiotu Guiskarda,
Nagle ktoś stękać tam począł żałośnie
I jęczeć, jakby lew chory wyzionąć
Miał ducha. A wnet powstaje tam rwetes
Jakiś okropny — sama księżna budzi
Ze snu parobka, który więc po chwili
Świece zapala, by potem jak strzała
Wybiec z namiotu. Na jego wołanie
Rodzina cała w pomieszaniu wpada.
W nocnem odzieniu cesarzowa, obu
Za ręce synów trzymając; bratanek
Księcia, w pośpiechu płaszczem otulony;

Syn, niemal w samej koszuli, a wkońcu —
 Parobek z czemciś zasłoniętem szczelnie,
 Co, zapytane, mówi: «Rycerz jestem.
 Włóście kobiecey na mnie strój, a będę
 Ja do dziewicy podobny tak samo»:
 Bo wszystko — buty, płaszcz i pikielhauba —
 Wisiało sobie na nim, jak na gwoździu.
 Tedy go chwytam, już przeczuciem tknięty,
 Za rękaw, twarzą zwracając na światło
 Księżycy — i cóż? Poznaję w nim oto
 Lekarza księcia, imię Hieronimusa.

Starzec:

Co! przybocznego?

Pierwszy wojak:

O rety!

Starzec:

Mówże!

Sądysz, że zasłabł, zachorował może? —

Pierwszy wojak:

Chory? zarażony!...

Starzec (*zatykając mu usta*):

Obyś oniemiał!

Norman (*po pauzie, przerażony*):

Nie mówię tego. Rozważcie to sami.

 Tłum. Alfred Tom.

ERNST THEODOR AMADEUS HOFFMANN

(1776—1822)

ZE «ZŁOTEGO GARNKA»

W dzień Wniebowstąpienia o godzinie trzeciej po południu, w Dreźnie, pędzi pewien młodzieniec przez Czarną Bramę — i upadł prosto w koszyk z jabłkami i ciastkami które sprzedawała jakaś stara brzydka kobieta — tak że wszystko, co ocalało szczęśliwie od zgniecenia, rozsypało się, a ulicznicy wesoło dzielili się zdobyczą, jakby dla nich rozrzuconą przez śpieszącego się pana. Stara zaczęła krzyczeć gwałtu, a na to kumoszki porzuciły swoje stragany z ciastkami i wódką, ołoczyły młodzieńca i lżyły go z taką prostacką gwałtownością, że ten, oniemiały ze zmartwienia i wstydu, wyciągnął tylko swój mały, niezbyt obficie napełniony woreczek z pieniędzmi, który stara łakomie chwyciła i szybko schowała. Na to rozluźniło się wprawdzie szczelnie zwarte koło, lecz zaledwie młodzieniec wyrwał się zeń co prędzej, stara krzyknęła za nim: «Tak, pędźże — pędźże dalej, czarci synu — zginiesz w kryształce — już ci bliżej, niż dalej — tak! w kryształce!» — Przerażliwy, skrzeczący głos starej miał w sobie coś okropnego, tak że przechodnie zdumieni przystanęli cicho, a śmiech, który się wkoło przed chwilą rozlegał, nagle umilkł. Student Anzelmus (on właśnie był tym młodzieńcem), chociaż nie rozumiał szczególnych słów starej, uczył, że ogarnia go mimowolny strach, i uskrzydlił jeszcze bardziej swoje kroki, aby umknąć przed skierowanemi nań spojrzzeniami ciekawego tłumu. A kiedy tak się przeciskał przez zbitą gromadę postrojonych ludzi, słyszał, jak szemrano na wszystkie strony: «Biedny młody człowiek! — A niechże tę przekłętą kobietę!» — Tak tedy w najszczególniejszy sposób tajemnicze słowa starej nadały śmiesznej przygodzie pewien odcień tragizmu, i dzięki temu spoglądano teraz ze współczuciem na młodzieńca, którego przedtem nie zauważono nawet.

Kobiety, patrząc na jego krzepką postać i twarz urodziwą, której wyraz potęgował jeszcze płomień wewnętrznego wzburzenia, wybaczały mu całą jego niezręczność, jak również strój, który nic nie miał wspólnego z jakąkolwiek modą. Jego szczupaczko-szary frak był skrojony w ten sposób, jakgdyby twórca jego, krawiec, o krojn współczesnym wiedział tylko ze słyszenia, a czarny, atlasowy, starannie utrzymany strój dolny nadawał całości pewien styl magisterski, z którym znów było w zupełnej sprzeczności zachowanie się i szczególne położenie młodzieńca. Gdy wreszcie student nasz dobiegł do końca alei, prowadzącej do piwiarni Linka, był już tak wyczerpany, że oddech mu zapierało. Musiał zwolnić kroku; ale zaledwie śmiał wzrok odrywać od ziemi, gdyż wciąż jeszcze jabłka i ciastka tańczyły mu przed oczyma, a każde przyjazne spojrzenie spotykanych dziewcząt wydawało mu się tylko odbłaskiem złośliwego śmiechu przy Czarnej Bramie. Tak doszedł aż do wejścia piwiarni Linka. Wchodziły tam jedne za drugimi całe szeregi świątecznie ubranych ludzi. Z wnętrza gmachu dochodził odgłos muzyki orkiestrowej, a gwar wśród wesółych gości stawał się coraz głośniejszy.

Biednemu Anzelmusowi prawie że lzy stanęły w oczach; dla niego dzień Wniebowstąpienia był wyjątkowem świętem rodzinnem; i on miał czerpać ze źródeł szczęśliwości Linkowego raj; tak, on chciał się posunąć aż do pół porcji kawy z rumem i podwójnej butelki piwa i, aby tak wspaniale użyć, wziął więcej pieniędzy niż kiedykolwiek, więcej, niż to było dozwolone. I oto fatalny upadek w kosz z jabłkami pozbawił go wszystkiego, co miał przy sobie. O kawie, o piwie podwójnem, o muzyce, o widoku postrojonych dziewcząt — krótko mówiąc, o wszystkich wymarzonych rozkoszach nie było już co myśleć; przesunął się powoli obok nich — i wreszcie udał się drogą, prowadzącą ku Elbie; była zupełnie pusta. Pod jakimś krzakiem bzu, co wyrastał z muru, znalazł ciche, ustronne miejsce; tam siadł i naładował fajkę higienicznym tytoniem, który mu podarował jego przyjaciel konrektor Paulmann. Tuż przed nim pluskały i szumiały fale złotożółtej Elby; poza nią wspaniale Drezno dumnie i śmiało strzelało lśnąciami wieżycami w woniejące sklepienie nieba, które spływało na kwitnące łąki i świeżo zieleniejące lasy, a z głębi oddalenia wynurzał się łańcuch gór, przypominając daleki kraj Czechów. Ale student Anzelmus posępnie patrzył w tę dal, zawzięcie puszczal w powietrze kłęby dymu i wreszcie głośno dał wyraz swemu smulkowi.

Studentowi Anzelmusowi przerwały jego rozmowę z samym sobą jakieś szczególne szmery i szelesty, które powstały w trawie tuż obok niego, lecz wnet wśliznęły się między gałęzie i liście tuż ponad jego głową rozpostartego bzu. Raz było, jakgdyby wiatr wieczorny potrząsał liśćmi, to znów, jakgdyby ptaszki igrały wśród gałęzi, goniąc się wesoło i trzepocąc skrzydełkami. A potem zaczęły się jakieś szepty i gwary, i było, jakgdyby zadzwieczały kwiaty, niby dzwoneczki z kryształu. Anzelmus słuchał i słuchał. I wtem — sam nie wiedział, jak to się stało — owe gwary, szeptania, dzwienienia zamieniły się w ciche, rozwiewne słowa:

«Wśród liści — między witkami — wśród gałęzi, wśród okiści kwiatów, wijmy się, przewijajmy, przeslizgujmy się z siostrzyczkami — przewijajmy się, błyszcząc — kołyszmy się w lśnieniach — szybko, szybko, wgórze — nadół — słońce wieczorne ciśka strzały promienne, wietrzyk szeleści — rosa upada — śpiewają kwiaty — ruszajmy jęczyczkami — śpiewajmy z kwiatami i gałęziami — wnet gwiazdy zabłyszcą — wracac nam trzeba — wśród kwiatów i liści, między witkami, wijmy się, przewijajmy, przeslizgujmy się z siostrzyczkami». —

I tak szło dalej — jakby przerywana mowa. Student Anzelmus myślał: — Toż to przecież tylko wiatr wieczorny, który szepce mi jednak dzisiaj zupełnie zrozumiałe słowa. — Ale w tej samej chwili zabrzmiał mu ponad głową jakby trójdzwiczny akord przeczystych dzwonów z kryształu. Spojrzył wgórze — i zobaczył trzy lśniące zielonem złotem wężyki, co okręciły się o gałęzie i wysunęły główki na wieczorne słońce. I znowu powtórzyły się w tych samych słowach rozchowy i szeptania, a wężyki przemykały się, przeslizgiwały wśród liści i gałęzi do góry i nadół; a kiedy poruszały się tak szybko, zdało się, że to krzak bżowy sypie tysiącem płomienistych szmaragdów po-

przez ciemne liście. — To słońce wieczorne tak igra i lśni na drzewie — myślał student Anzelmus; ale wtem znowu zadźwięczały dzwony z kryształu, i Anzelmus zobaczył, że jeden z wężów wyciągnął ku niemu główkę. Jakby prąd elektryczny przebiegł mu przez ciało, zadrżał aż do dna duszy, bo oto para ciemnoblękitnych oczu spojrziała nań z niewysłowioną tęsknotą, że omal nie rozsądziło mu piersi jakieś nigdy niedoświadczane uczucie największej błogości i najostrzejszego bólu. A kiedy on, pełen żaru pożądania, wciąż patrzył tak w te przesłodkie oczy, silniej zadźwięczały rozkoszne akordy kryształowych dzwonów, upadły nań płomieniste szmaragdy, otoczyły go, migając naokół tysiącem ogników, igrając błyszczącemi niemi ze złota. I poruszył się bżowy krzak i rzekł: «Leżałeś w cieniu moim, mój zapach owiewał cię, aleś nie pojął mnie: zapach jest mową moją, kiedy go miłość nieci». Wiatr wieczorny przeleciał i rzekł: «Owiewałem sny twoje, aleś nie pojął mnie: tchnienie jest mową moją, kiedy je miłość nieci». Poprzez chmury wyjrzały słoneczne promienie, a blask ich zdawał się gorzeć wyrazami: «Oblewałem cię żarem roztopionego złota, aleś nie pojął mnie: żar jest mową moją, kiedy go miłość nieci».

I coraz głębiej, coraz silniej zatapiał się wzrok w rozkoszny błękit dwojga oczu, coraz goręcej płonęła tęsknota, coraz potężniej paliło pożądanie. A wkoło zadrżało, poruszyło się wszystko, jakgdyby obudzone do wiosennego życia. Kwiaty zapachniały wszystkie razem, a woń ich była, jak cudny śpiew tysiąca fletni; a co one śpiewały, to niosły echem dalekiem chmury złociste, mknące gdzieś w kraje nieznanne. Lecz skoro tylko zniknął ostatni promień słońca za górą, a jednocześnie zmierzch rzucił na ziemię swój cień, z odległej dali zabrzmiał nagle szorstki, głęboki głos: — Hej, hej! A cóż to tam za hałasy i gwary? — Hej, hej! kto mi tam szuka promienia za górą! Dostyc świecenia, dostyc śpiewania! — Hej, hej! przez krzaki, przez trawy — przez trawy, przez rzeki! — Hej — hej — do do-o-o-mu — do — do-o-o-mu!

Tłum. Jan Kleczyński.

FRIEDRICH DE LA MOTTE-FOUQUÉ

(1777—1843)

Z «ONDYNY»

Co się wydarzyło wieczoru weselnego

Cicho i układnie zachowywała się Ondyna w czasie zaślubin; ale teraz jakby zawrzały w niej wszystkie jej dziwaczne zachcianki i psoty i z tem żywszą przekorą podniosły głowę na powierzchnię. Pustotą dziecięcą wszelkiego rodzaju drażniła swego męża i opiekunów, a nawet tak czeigodnego dla niej przed chwilą kapłana, a kiedy gospodyni chciała jej zwrócić uwagę, rycerz skłonił ją do zamilczenia kilkoma poważnemi słowami. Ale jemu samemu dziecinne zachowanie się Ondyny nie podobalo się również. Na to jednak ani znaki, ani chrząkanie, ani żadne nagany nie pomogły. Ilekroć młoda małżonka zauważyła niezadowolenie swego miłego — ucichała wprawdzie narazie, siadała przy nim, głaskała go, szeptała mu coś do ucha z uśmiechem i w ten sposób wyglądała tworzące się zmarszczki jego czoła. Ale po małej chwili znów jakiś pusty poryw wciągał ją w nowe igraszki, i znów szło gorzej niż przedtem. Na to kapłan odezwał się bardzo poważnie i bardzo przyjaźnie: «Moja miła młoda dzieweczko, nie można na was coprawda patrzeć bez zachwyty, ale pomyślcie już o tem, aby duszę swoją zawczasu tak usposobić, żebyście mogli stworzyć harmonję z duszą waszego ślubnego małżonka». — «Duszę! — zaśmiała się Ondyna — pięknie to brzmi, i dla wielu, wielu ludzi może to być prawidłem bardzo budującym i pożytecznym. Ale jeżeli kto nie ma naprzykład duszy, to proszę, z czem tu się usposabiać do harmonji? A tak właśnie jest ze mną». Duchowny zamilki, żywo dotknięty, i w gniewie zbożnym odwrócił twarz swą od dziewczęcia z wyrazem przykrości. Na to ona podeszła ku niemu z przymileniem i rzekła: «Wysłuchajcie wprzód dobrze, zanim się pogniewacie, bo wasz wygląd gniewny sprawia mi przykrość, a wyście nie powinni czynić przykrości żadnemu stworzeniu, które wam nie wyrządziło nic złego. Miejcie tylko dla mnie cierpliwość, a powiem wam wszystko, jak ja o tem myślę».

Było widoczne, że gotowała się do dokładnego wywodu, ale nagle zacięła się, jakby grozą wewnętrzną wstrząśnięta, i wybuchnęła strumieniem bolesnych łez. Wszyscy obecni nie wiedzieli, co teraz mają z nią począć i patrzyli na nią mileząco zatroskani. Osuszwszy łzy i z poważnem na księdza wejrzaniem, rzekła wreszcie: «Musi to być coś bardzo kochanego i razem ogromnie strasznego — to, co jest duszą. Na Boga, zbożny panie, czy nie byłoby lepiej nie mieć jej wcale?» Zamilkła znowu, jakby czekając odpowiedzi; jej łzy ustały. Wszyscy w chacie podnieśli się z siedzeń i cofnęli przed nią ze zgrozą. Ona jednak miała oczy tylko dla księdza, w rysach jej malował się wyraz wylekłej ciekawości, który też przez to wydał się patrzącym tak straszliwy. «Ciężko musi przytłaczać dusza — mówiła dalej, gdy jej nikt nie odpowiadał — bardzo ciężko! Bo już sam jej nadchodzący obraz przyćmiewa mię całą łęką i żalobą. A mnie, ach, tak było zawsze lekko, tak wesoło!» I nowy łez strumień rzucił się z jej oczu, schwyciła szaty i zakryła niemi twarz. Na to przystąpił do niej kapłan z powagą w obliczu, przemówił do niej i zaklinał ją na wszystko, co święte, aby wyznała otwarcie, gdyby co złego było w niej. Ale ona padła przed nim na kolana, powtarzając za nim święte wyrazy, Boga chwając i zaprzysięgając, że życzy dobrze wszystkiemu na świecie. Wówczas ksiądz zwrócił się wkońcu do rycerza: «Panie małżonku — rzecze — zostawiam was samych z tą, którą wam poślubiłem. O ile mogę zbadać, niema w niej nic złego, ale przedziwnego bardzo wiele. Zalecam wam przeczność, miłość i wierność». — I wyszedł.

...Wyglądała tak niewymownie wdzięcznie i wzruszająco, że jej małżonek zapomniiał o całej grozie i zagadkowości, pobiegł ku niej i podniósł ją w swych ramionach. Zaśmiała się przez łzy; było to jakby blask jutrzeńki, odbity w małych strumieniach. «Ty mię nie możesz opuścić!» — szeptała ufnie i pewnie i drobną rączką gładziła lica rycerza, a ten poniechał już zupełnie strasznych myśli, jakie czaiły się jeszcze w głębi duszy i chciały wmówić weń, że się związał ślubem z feą lub innym stworem złośliwym ze świata duchów.

Tłum. Artur Górski.

ADELBERT VON CHAMISSO

(1781—1838)

Z «DZIWNEJ HISTORJI PIOTRA SCHLEMIHLA»

...Minąłem gaj pełen róż, zeszedłem z pagórka i znalazłem się na łące, a obawiając się, by mnie kto idącego trawnikiem nie spostrzegł, obejrzałem się. Jakże się przeląknęłam, gdy tuż za sobą zobaczyłem człowieka w szarym surducie. Natychmiast zdjął kapelusz i uklonił mi się tak nisko, jak nikt nigdy przedtem. Nie ulegało wątpliwości, że chce ze mną pomówić, a ja bez niegrzeczności nie mogłem tego uniknąć. Uchyliłem również kapelusza i stałem jakby przykuty z odkrytą głową w promieniach słońca. Pełen obawy wlepiłem w niego oczy i byłem podobny do ptaka, zaczarowanego przez węża. On sam zdawał się być zmieszany, oczu wcale nie podnosił, kłaniał się kilkakrotnie, przystąpił bliżej i przemówił cichym, niepewnym głosem, mniej więcej w tonie zębrzącym:

«Daruj pan mej śmiałości trudzenia go, lecz mam prośbę do pana. Pozwól pan łaskawie...» — «Lecz na Boga», przerwałem mu z obawą, «cóż mogę ja uczynić dla pana, który...» Zamilkliśmy obadwa i myślę, żeśmy się obadwaj zarumienili.

Po chwili milczenia przemówił: «W tym krótkim czasie, gdy miałem to szczęście być w towarzystwie pana, zauważyłem kilka razy — daruj pan mej śmiałości — lecz rzeczywiście z podziwieniem patrzyłem na piękny cień pana, na który wcale uwagi nie zwracałeś. Racz pan darować mej śmiałej propozycji; lecz czy nie zechciałby pan odstąpić mi swego cienia?»

Zamilkł, a mnie szumiało w głowie. Cóż miałem odpowiedzieć na dziwną propozycję sprzedania cienia? Musi cierpieć na pomieszanie zmysłów, pomyślałem sobie, i zmienionym głosem, który bardziej się nadawał do jego pokornego tonu, rzekłem: «Ależ, mój dobry przyjacielu, czyż ci nie starczy własny twój cień? byłby to handel dziwnego rodzaju». W tejże chwili odpowiedział: «Mam w mej kieszeni niejedną rzecz,

któraby miała wartość dla pana, a najwyższa cena za ten nieoceniony cień byłaby jeszcze za mała».

Dreszcz mnie przeszedł, gdy wspomniał o kieszeni, i nie rozumiałem, w jaki sposób mogłem go nazwać dobrym przyjacielem. Zacząłem mówić z nadzwyczajną grzecznością, chcąc poprawić swe poprzednie słowa.

«Daruj pan twemu najniższemu słudze, jednak nie rozumiem dokładnie pańskiej myśli, w jaki sposób mógłbym cień swój...» Przerwał mi: «Upraszam Waszą Wielmożność o pozwolenie wzięcia tu zaraz na miejscu cienia pańskiego; w jaki sposób to zrobię, to jest moja rzecz. Wzamian ofiaruję panu wybór z przedmiotów, które mam w kieszeni: kwiat paproci, korzeń pokrzyku, niezmienny talar, obrus giermka Rolanda, djabelka we flaszcze za tanie pieniądze; lecz może pan tego nie chcesz, to mam odnowiony kapelusze Fortunata i sakiewkę szczęścia, taką jaką on posiadał». — «Sakiewkę szczęścia Fortunata», przerwałem mu, gdyż; mimo mej obawy, słowa te oczarowały mnie. Czulem zawrót głowy, a przed oczyma zdawały się błyszczeć dukaty.

«Zechciej pan obejrzeć i spróbować tę sakiewkę». I ręką sięgnął do kieszeni, i wyciągnął dość dużą sakiewkę ze skóry korduańskiej, przewieszoną na dwu rzemieniach, i wręczył mi ją. Wsunąłem rękę do woreczka i wyciągnąłem dziesięć dukatów i znów dziesięć i jeszcze raz dziesięć; podałem mu rękę: «Zgoda, za ten woreczek masz pan mój cień». Natychmiast klęknął i z zadziwiającą zręcznością — widziałem — cicho zaczął zwijać mój cień, począwszy od głowy aż do nóg, a potem ukrył go w kieszeni.

Powstał, ukłonił się i wszedł do gaju pełnego róż. Zdawało mi się, że tam zaśmiał się cicho. A ja silnie trzymałem ten woreczek, wokół słońce paliło, i sam nie przyszedłem jeszcze do przytomności.

Tłum. Artur Gruszecki.

BURZA

Na blankowaniu wysokiem
Król osiwiwały stał
I chmurnem patrzył okiem
Na chmurnej krainy szał.

Grzmiał już pęd nawałnicy,
Rżał wichru zhukany koń,
Król na miecza głowicy
Wsparł ciężko prawą dłoń.

Lewicą, z której dawno
Wypadło berło wprzód,
Koronę ciężką, prasławna
Na chmurne czoło swe gniółł.

Targnęła miłośnica
Łękliwie plaszcza skraj:
«Kochałeś niegdyś moje lica,
Dziś pewnie szczeł ten raj?»

Cóż miłość, szał, kochanie?
Poniechaj, słodki mój śnie!
Wnet burza tutaj stanie,
Orkanu wichur już dmie.

Na twierdzy tej wysokiej
Nie król jam, nie miecz, nie czyn
Zwichrzonej dziko epoki
Bezmocny, tęskliwy jam syn.

Cóż miłość, szał, kochanie?
Poniechaj, słodki mój śnie!
Wnet burza tutaj stanie,
Orkanu wichur już dmie.

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

BRACIA GRIMMOWIE

JAKÓB I WILHELM

(1785—1863) (1786—1859)

Z «BAŚNI DOMOWYCH I DZIECINNYCH»

Krawiec w niebie

Było tak, że razu jednego, dnia pięknego, Pan Bóg wyszedł do swoich ogrodów niebieskich i zabrał z sobą wszystkich apostołów i wszystkich świętych. W niebie nie został nikt, oprócz Piotra świętego. Pan Bóg zakazał mu wpuszczać kogokolwiek

w czasie nieobecności swojej. Piotr stanął więc przy bramie na straży. Wtem puk, puk, ktoś puka. Piotr pyta: «Kto tam i czego chce?» — «Biedny uczciwy krawiec prosi, żeby go wpuszczono» — odpowiada cienki głosik. — «Tak, uczciwy, jak złodziej na szubienicy» — mówi święty Piotr. — «Miałeś długie ręce i kradłeś ludziom sukno. Nie wejdiesz do nieba. Pan zakazał mi wpuszczać kogokolwiek, dopóki nie wróci». — «Zlitujcie się — woła krawiec — nie kradłem nawet latek, które spadały same ze stołu, a o których i mówić nie warto. Patrzcie, kuleję i aż bąble porobiły mi się na nogach od tej drogi. Nie mogę iść dalej! Wpuście mnie tylko; będę robił jak najgorszą robotę. Będę nosił dzieci, prał pieluchy, czyścił i wycierał ławy, na których się bawią, będę latał sukienki podarte». Piotr święty, litością zdjęty, uchylił biednemu krawcowi kulawemu bram niebieskich, tak że ten mógł wsunąć wyschłe ciało swoje. Kazał mu usiąść w kącie za drzwiami, żeby go Pan Bóg, wróciwszy, nie spostrzegł i nie rozgniewał się. Krawiec usłuchał, ale skoro tylko Piotr święty wyszedł za drzwi, wstał i dalejze zaglądać do wszystkich zakątków nieba i oglądać się na wszystkie strony. Wreszcie doszedł do miejsca, gdzie stało dużo krzesel pięknych i wspianiałych, a pomiędzy nimi jedno całe złote, wysadzone błyszczącymi drogiemi kamieniami. Było wyższe od innych krzesel i podnózek złoty stał przed niem. Było to krzesło, na którym siadał Pan, gdy był u siebie, i z którego widział wszystko, co się działo na ziemi. Krawiec stanął. Stoi a przygląda się, bo podobało się mu więcej od innych. Nie wytrzymał, poszedł i siadł na niem. I widział wszystko, co się działo na ziemi. Patrzy: kobieta stara i brzydka pierze chusty u rzeki i odkłada nabok dwie z nich potajemnie. Krawiec na ten widok tak się rozgniewał, że porwał podnózek i cisnął go przez niebo na ziemię ku starej złodziejce. Nie mógł zejść po niego, więc cichaczem zsunął się z krzesła i siadł skromnie za drzwiami, jakgdyby był nikomu wody nie zamącił.

Pan wrócił z dworem swoim niebieskim. Nie zauważył wprawdzie krawca za drzwiami, ale, gdy siadł na krześle, podnóżka brakowało. Pyta Piotra świętego, gdzie podnóżek, ale ten nie wiedział. Więc pyta Pan dalej, czy nie wpuścił kogo. «Nie wiem o nikim innym, prócz o krawcu kulawym, który siedzi jeszcze za drzwiami». Pan kazał krawcowi stanąć przed sobą i pyta, czy to on zabrał podnóżek i gdzie go podział. «Panie! — zawołał krawiec wesolo — rzuciłem go w gniewie na ziemię, w starą babę. Piorąc, ukradła dwie chustki, sam widziałem». — «A ty, urwisie — powiada Pan — gdybym chciał sądzić, tak jak ty, to co myślisz? Jakby z tobą było? Już dawno nie miałbym ni krzesła, ni ławki, ani widelca nawet! Wszystkobym porzucał w grzeszników. Nie możesz zostać w niebie! Idź za bramę, gdzie ci się podoba; tu nikt nie może karać, tylko ja jeden, Pan całego świata».

Piotr święty wyprowadził krawca znowu przed niebo; człeczyna miał buty podarte i nogi całe w bąblach, więc wziął kij do ręki i ruszył do poczekalni, gdzie siedzą i weselą się pobożni żołnierze.

Tłum. Z. A. Kowerska.

LUDWIG UHLAND

(1787—1862)

KLĄTWA PIEŚNIARZA

Stał niegdyś wielki zamek, wspianiały, pyszny gród,
Stem wież nad krajem świecił do sinych morza wód,
A wkoło wonnych sadów barwisty wieniec kwitł,
W kaskadach chłodnych źrójów tęczyowy igrał świt.

Pan dumny w zamku siedział, zdobywca mnogich ziem,
Lecz blady i posępny nad państwem władał swem,
Bo jego myśl — to groza, spojrzenie — wściekły gniew,
Rzekł słowo — bat już świszczę, podpisał — płynie krew.

Raz szło do zamku tego szlachetnych piewców dwóch,
W kędziorach złotych jeden, a siwy — jego druh;
Starzec miał harfę w ręku, ognisty niósł go koń,
Kwitnący młodzian obok wesoło biegł przez błoń.

Rzekł starzec do młodzieńca: «Mój synu, gotów bądź!
Najtkliwsze dobadź pieśni, najgłębsze tony trąć,
Zbierz wszystkie siły swoje, ból i wesela tan,
By wzruszył się nareszcie twardego serca pan».

Już piewcy stoją w sali, gdzie kolumn rzędy mkną,
Na złotym tronie zasiadł z małżonką rycerz swą;
On — groźny, jako zorzy północnej krwawy żar,
Ona znów — słodka, cicha, jak srebrnej pełni czar.

Uderzył starzec w struny, przedziwny dobył ton,
Akordy dźwięków, zda się, ze wszystkich płyną stron.
I rozbrzmiał głos młodzieńca, jak śpiew niebiańskich sfer,
Głos starca wtórzył głucho, jak cichy elfów szmer.

Śpiewali o miłości, o wiosnie młodych dni,
Wierności, dumie męskiej, za wolność lanej krwi,
O wszystkim tem najsłodsze, co w sercu ludzkim drga,
O wszystkim tem najwyższym, co wstrząsa pierś, jak skra.

W dworaków tłumie cichnie szyderczych echo słów
Zuchwałych wojowników chyli się kornie huf,
A pani zamku, rzewne a słodkie lejąc łzy,
Śpiewakom wonną różę od piersi rzuca swej.

«Wiesz lud mój na manowce, małżonkę nęcić ma?» —
Wściekle się rycerz zrywa, zbladłe mu usta drżą.
Miecz ciska, ten, jak piorun, już w piersi chłopca tkwi,
I zamiast słodkich pieśni wżwyż tryska struga krwi!

W popłochu, zgrozą zdjęty, rozpierzchnął się dworzan rój,
W objęciach mistrza młodzian ze śmiercią skończył bój.
W płaszcz starzec go owinął, na konia złożył grzbiet
I precz z brzemieniem drogiem z krwawego zamku szedł.

Lecz, opuściwszy gród już, zatrzymał się u wrót,
Pochwycił harfę swoją, wśród harf prawdziwy cud,
O słup ją marmurowy roztrzaskał jeden cios,
A w zamku jak grzmot rozbrzmiał pieśniarza groźny głos:

«Biada wam, dumne sale! Niech nigdy słodki dźwięk
Nie zabrmi tułaj pieśni ni strun harfianych brzęk,
Niech jęki tylko, łkania, szczęk kajdan chwyta słuch,
Aż w gruzów stos was zmieni wieczystej zemsty duch!

«Biada wam, wonne sady w majowych blasku zórz!
Na tego trupa patrzcie — jak śmierć go zmienia już...
O, zginie za to marnie! Niech każde źródło schnie,
Niech was w skalistą puszcę przyszłości zmienia dzień!

«Biada ci, niecny zbójco, śpiewaczych klątwó harf!
Niech płonną będzie żądza twa krwawej sławy szarf;
Twe imię — niepamięci niech wieczny schłonie cień,
Rozwiej się, zgiń bez śladu, naksztalt powietrznych tchnień».

Tak wolał stary pieśniarz. Wysłuchał starca Bóg:
 W zwaliskach legły mury, chwast porósł zamku próg,
 Kolumna jedna świadczy o sławy dawnej dniach,
 Lecz i ta pękła — padnie... jak padł już cały gmach.

Gdzie wonne kwitły sady, pustynny dzisiaj step,
 Wysuszył drzewa, źródle płomienny niebios sklep;
 Nieznane pana imię księgom ni wieszczym snom,
 Przepadło zapomniane! — pieśniarza klątwy grom!

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

PRZEDŚMIERTNY ZAPIS

Średniowieczny trubadur i rycerz zarazem,
 Na błoniach Palestyny długo walcząc z chwałą,
 Gdy padł, nawskroś przeszyty muzułmańską strzałą,
 Przed skonaniem do giermka rzekł takim wyrazem:

«Skoro biedne me serce martwym będzie głazem,
 Włóż je, o wierny giermku, w ową urnę białą,
 Którą przywiózł z ojczyzny — i odnieś je cało
 Tej, z której ono żyło i zmarło obrazem».

Tak dziś ja, o najmiłsza! przeboleły smutkiem,
 Gdy po długim rozdziale, a spotkaniu krótkiem
 Srogi los mnie przymusza rzucać cię powtórnie,

Gdy zda mi się, że śmierci otacza mię chmura —
 Słę ci to wierne serce twego trubadura,
 Zasklepione w sonetu kryształowej urnie!

Tłum. Konstanty Gaszyński.

DOBRY TOWARZYSZ

Miałem ja towarzysza:
 Lepszego nie znajdziesz, nie!
 Gdy bębny do boju grzniały,
 Krok w krok na polu chwały
 Szedł razem obok mnie.

Wybiegła na nas kula...
 Czy mnie, czy tobie zgon?
 Ach! jego mi wyrwała:
 Jak część mojego ciała,
 U nóg mych pada on!

Wyciąga do mnie rękę,
 Gdy trzeba śpieszyć w bój:
 «Ręki ci dać nie mogę;
 Idź na wieczności drogę,
 O, towarzyszu mój!»

Tłum. Adam Asnyk.

ARTUR SCHOPENHAUER

(1788—1860)

Z «PARERGÓW I PARALIPOMENÓW»

Nie do wiary jest przecież nierozum i ta opaczność mózgow publiczności, która pozostawia nieczytane utwory przeróżnych najszlachetniejszych, najrzadszych duchów — ze wszech czasów i krajów — aby zato w ukazujących się codziennie piśmiadłach głów lada jakich, co to ich bezlik, jak muchy, rok każdy wylęga, zaczytywać się — dlatego tylko, że dzisiaj je wydrukowano i jeszcze są mokre od prasy. Wytwory te powinnyby raczej już w dniu swych narodzin być w takim opuszczeniu i pogardzie, w jakiej okażą się po latach niewielu, i wtedy już na zawsze, jako zwykły przedmiot śmiechu nad minionymi czasami oraz ich bałamuctwem. Ponieważ ludzie, zamiast rzeczy najlepszych

ze wszystkich czasów, czytają wciąż tylko to, co najnowsze, przeto pisarze zamknięci są w ciasnym kole idei, będących właśnie w obiegu, a epoka cała zamula się coraz bardziej we własnym swym gnoju.

Po wszystkie czasy istnieją dwie literatury, które dosyć obco kroczą obok siebie: rzeczywista i tylko pozorna. Pierwsza rozwija się w literaturę trwałą. Uprawiana przez ludzi, którzy żyją dla nauki lub poezji, zdąża krokiem poważnym i spokojnym, lecz niezmiernie powolnym, wytwarza w Europie w ciągu stulecia zaledwie tuzin dzieł, które jednak pozostają. Druga, uprawiana przez ludzi, którzy żyją z nauki lub poezji, biegnie galopem wśród hałasu i krzygu swych adeptów i wyrzuca co roku tysiące dzieł na rynek. Ale po kilku latach pytamy: gdzie są te dzieła? Tę literaturę nazwać można przejściową, tamtą zaś — stałą,

Wymagać, aby ktoś zapamiętał wszystko, co przeczytał — to tak samo, jak żądać, aby zatrzymał wszystko, co jadł kiedykolwiek. Z tego pokarmu żył cielesnie, z lektury zaś żył umysłowo i stał się tem, czem jest. Ale podobnie jak ciało asymiluje tylko pierwiastki jednorodne, tak każdy zachowa jedynie to, co go zajmuje, t. j. co odpowiada jego systemowi pojęć lub jego celom. Cele posiada każdy; ale bardzo mało ludzi posiada coś, co byłoby podobne do systemu pojęć: to też nie przywiązują do niczego wagi obiektywnej, i oto dlaczego nie pozostaje im nic z ich lektury.

JOSEPH VON EICHENDORFF

(1788—1857)

«Z ŻYCIA NICPONIA» (początek)

Wesoło warczał i terkotał młyn mego ojca, śnieg tajał na dachu, kapiąc dużemi kroplami, wróble ćwierkały radośnie; siedziałem na progu przed domem i spędzałem sen z oczu; było mi rozkosznie w ciepłych promieniach słońca. Wtem wyszedł ojciec z domu; z przekrzywioną szlafmycą na głowie, od samego już rana hałasował w młynie; teraz odezwał się do mnie w te słowa: «Ty nicponiu, już znowu wygrzewasz się na słońcu i wyciągasz się, i preżysz leniwe swe kości, a pozwalasz mi samemu zamęczać się robotą. Nie będę cię dłużej żywił tutaj. Wiosna u progu, idź zatem w świat i zdobywaj sobie sam kawałek chleba». — «Dobrze więc» — powiedziałem — «kiedy jestem nicponiem, pójdę w świat na poszukiwanie szczęścia». Właściwie było mi to na rękę, bo niedawno temu przyszło mi na myśl, aby pójść w świat, zwłaszcza, gdy usłyszałem trznadla, który jesienią i zimą wyśpiewywał smutno: «Gospodarzu, zgódź mnie, gospodarzu, zgódź mnie!» A teraz, za nadejściem cudnej wiosny wołał z drzewa dumnie i wesoło: «Gospodarzu, pracuj sam!» — Wszedłem do domu i zdjąłem ze ściany skrzypce, na których grałem niezgorzej, ojciec dał mi na drogę kilka groszy, i tak oto powlokłem się przez długą wieś. Radowałem się w duszy, widząc starych znajomych i towarzyszy na prawo i na lewo, wychodzących jak wczoraj, przedwczoraj i zawsze do pracy, kopiących i orzących, gdy ja szedłem wolny w świat szeroki. Wołałem ku biedakom dumnie i zadowolony: «Żegnajcie», ale nie robiło to na nich wrażenia. Byłem usposobiony odświętnie. Gdyn wyszedł wreszcie na szczere pole, chwyciłem za ukochane skrzypki i grałem a śpiewałem, idąc polną drogą:

Na kogo Bóg łaskawie spojrzy,
Ten dąży wdal, w szeroki świat,
Ten cuda światów skryte dojrzy,
Gór, lasów, rzek i łąków kwiat.

Leniwcy, co się w domu pierzą,
Nie ujrzą słońca złotych zórz,
W zaduchu chałup nędznie leżą,
Nie znają śpiewu, wina, róż.

Strumyki z gór wesoło skaczą,
Skowronki z śpiewem lecą wzwyż;
Precz troski, co żalobnie kraczą —
Chcę śpiewać — smutki precz, a kysz!

Jedyny Bóg niech nami rządzi,
Co stworzył ten uroczy świat,
On sprawiedliwie mnie osądzi,
Nie wzbroni mi swych łask — bom chwał!

Gdym się rozejrzał na wsze strony, ujrzałem tuż za sobą wspaniały pojazd, który prawdopodobnie jechał za mną już czas dłuższy, a ja, mając serce przepelnione pieśnią, nie spostrzegłem tego wcale. Pojazd posuwał się wolniusińko, a dwie wytworne damy wychyliły z niego głowy i przysłuchiwały się uważnie. Jedna z nich, młodsza, była niezwykle piękna, ale właściwie podobały mi się obie. Gdym zamilkł, rozkazała starsza zatrzymać konie i zagadnęła mnie nader miło: «Ejże, wesole młodzieńcze, umiesz śpiewać piękne piosenki». A ja, pochopny do tego, odpartem: «Gdyby mi wolno było, zaśpiewałbym jeszcze piękniejsze». Poczem dama pytała mnie dalej: «Dokąd wędrujesz, młodzieńcze, tak wczesnym rankiem?» Zawstydzilem się, żem tego sam nie wiedział, jednak odpartem śmiało: «Do Wiednia!» Porozmawiały z sobą w obcym języku, którego nie rozumiałem. Młodsza potrząsnęła kilka razy głową, a druga śmiała się ciągle, wreszcie zawołała na mnie: «Wskocz, młodzieńcze, na tył powozu, i my jedziemy do Wiednia». Kłóż mógł być szczęśliwszy ode mnie! Ukłoniłem się pięknie i jednym susem znalazłem się na górze; stangret z bicia trzasnął, i pognaliśmy naprzód po błyszczącej drodze, aż wiatr mi szumiał nad głową.

Zostawały poza mną wsie, ogrody i wieże kościelne, przede mną wylaniały się nowe wsie, zamki i góry, pode mną przelatywały barwne pola, łąki i zarośla, nade mną uwijały się niezliczone skowronki w przeczystym lazurze — wstydzilem się krzyczeć głośno, ale wewnątrz szalałem z radości, wierzyłem nogami i skakałem na stopniu pojazdu; niewiele brakowało, a byłbym zgubił skrzypce, które trzymałem pod pachą.

Tłum. W. Kędzierska.

LAGODNYCH DNI JESIENI...

Lagodnych dni jesieni!
Jak fantastyczny szlak,
Państwo się twoje mieni,
Tak barwna, blada tak!

Przedziwne takie cieką
Pieśni z twych białych ust,
Jest mi, jakby się lekko
Głęb otwierała bródz,

Tak puste łąki, gaje,
Bez ludzi, zjęte snem!
Ledwie je odpoznaję
W osamotnieniu tem.

Jakbym już leżał w ziemi,
Twój śpiew potężniał, rósł!
I liśćmi mię złotemi
Gaj zasypywał brzóz.

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam)

FRIEDRICH RÜCKERT

(1788—1866)

Z «MĄDROŚCI BRAMINÓW»

Złą dolę znoś, jak dobrą, mając to na względzie,
Że gdy będziesz źle znosił, gorzej ci z tem będzie.

Gdy cię przyjaciel zrani, przebacz, przekonany,
Że sam cierpi; inaczej nie zadałby rany.

Gdy znajdziesz cierni w miłości, kochaj jeszcze wierniej:
Że masz różę przy sobie, poznajesz to z cierni.

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który kraje
Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje.

Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
Raczej da się skaleczyć, niż samo zadraśnić.

Poezja będzie dzieci chorobą w przyszłości,
A umiejtność tylko znakiem dojrzałości.

Chłopcem każdy odrobi melodram poety,
Mężem bez wzruszeń serca będzie szedł do mety.

Wtenczas ludzkość w największą powagę się wzbije...
Lecz mnie ucieszy, że owych czasów nie dożyję.

*

Gdy gardzisz poprzedników myślami wszystkimi,
Jak chcesz, by myśl twą potem wazono na ziemi?

Nawet nie możesz wiary mieć we własne zdania,
Kiedy do myśli ludzkiej nie masz zaufania,

*

Drzewo, gdy ptaszek siedzi, ciężaru nie czuje,
Lecz zachwieje się gałąź, gdy on odlatuje:

Tak ty nie czujesz szczęścia, gdy w twych piersiach gości,
Lecz gdy uleci, czujesz utratę radości;

Tak świat znacznych człowieka dążeń nie spostrzeże,
Póki z świata powierzchni śmierć go nie zabierze.

*

Do doskonałych i świętych kochać mi najtrudniej:
Byliby niewygodni i byliby nudni.

Tak jak są, kocham ludzi: słabych, zaslepionych,
Jednostronnych, ułomnych i ograniczonych;

Tak się przedstawiających kocham ich na świecie,
I tak ich przedstawionych chcę znaleźć w poecie.

Gdy innych mi ukaże świat, to ich w pokorze
Znieść muszę; lecz gdy książka — nabok ją odłożę.

Tłum. Adam Asnyk.

ANTEUSZ

Tytan, rodzony syn ziemi,
Co, skoro dotknie jej pól,
Z siły powstaje nowemi —
Ten straszny olbrzym: to ból!
Chcesz, Herkulesie, go zmóc?
Darmo o ziemię nim tłuc!

Od matki porwij go biodra
Wgórze, gdzie niknie jej pył,
Skąd siła splywa ci szczodra,
Gdzie on opada ze sił.
Z tkwiącemi w niebo czyma
W powietrzu zgnieciesz olbrzyma.

Tłum. Adam Pajgert.

ŻEGLUGA

Jako okręt z falą mórz,
Życie z śmiercią toczy bój;
Naokoło wichry burz,
Niebezpieczeństw groźnych rój.

Okrętowych desek rząd
Tylko grób zakrywa nam;
Niestalego wiatru prąd
Miota nami tam i sam.

Choć głębina w ciszy śni,
Choć powietrzna czysta dal,
O rozbicie wciąż się drży,
Kto wśród życia płynie fal.

Tłum. J. B. Kutylowski.

THEODOR KÖRNER

(1791—1813)

PRZECZUCIE

Spędzając chwile w rodzinnem ukryciu,
 Nieznany światu i nie znając świata,
 Jeszcze na ciernie nie natrafił w życiu,
 Z samych róż dotąd wianek się mój splata.

A jednak, jednak, gdy sam na sam z sobą
 Z sercem poufną zawiodę gawędę,
 Wszystko mi smulkiem i wszystko żalobą,
 Jakbym przeczuwał: nieszczęśliwy będę!

I stąd w me strofy gorzka czasem nula
 Płacze się, wciska, jak gość nieproszony,
 Rzekłbyś, nie memi palcami wysnuta;

Kto wie, być może, lutni mej ze strony
 Dotyka szatan końcem tego knuta,
 Który nade mną czeka zawieszony!

Tłum. J. S. Chamiec.

POŻEGNANIE ŻYCIA

(Gdy ciężko ranny leżałem w lesie, myśląc, że umieram.)

Rana tak pali; — zbielale drżą wargi. —
 Czuję po słabem mego serca biciu,
 Że tu ostatni kres mojemu życiu. —
 Jak chcesz, o Pani! Poddam się bez skargi. —

Roje snów złotych krążyły nade mną —
 Piękne marzenia dziś jękiem przy zgonie. —
 Męstwa!... co wiernie tu noszę w mem łonie,
 Toć i tam musi na wieki żyć ze mną! —

I co mi było świętością na ziemi,
 Do czego gorzał młodzieńczym zapalem —
 Czyto wolnością, czy miłością zwałem:

Już stoi przy mnie, jak seraf świetlany;
 A gdy skon zmysły mroczy kiry swemi,
 Technienie mnie jedno niesie w świt różany.

Tłum. Iza (I. Mrozowicka).

FRANZ GRILLPARZER

(1791—1872)

Z «GRY UCZUĆ I FAL MORSKICH»

(*Młoda kapłanka Hero sama w komnacie wewnątrz wieży; stawia lampę w oknie i staje obok.*)

Hero:

Jak ta noc cicha. Hellespont pozwala
 Falom swobodnie jako dzieciom igrać,
 Więc szemrzą ledwie w cichem upojeniu.
 Głosu ni światła, tylko moja lampa

Blade promienie rzuca w przestwór nocy!
 Postawię światło bliżej nocnych cieniów;
 Niech się wędrowiec późny cieszy myślą,
 Że ktoś prócz niego czuwa. Niechaj promień
 Aż do przeciwnych sięga brzegów, jako
 Gwiazda przewodnia wśród ciemności nocy.
 Zbyt jasno świecisz; spostrzec cię gotowi.
 Czas mnie i tobie do snu się ułożyć!

(Odnosi lampę)

A jak ten płomyk gaszę moją ręką,
 Tak niech zagaśnie, co w sercu zallilo —
 Oby się nigdy, nigdy nie zbudziło!

(Stawia lampę na stole; zdejmuje klejnoty z włosów, nucąc półgłosem)

«I Leda gładzi

Po miękkim puchu...»

Ta wieczna piosnka tak mnie prześladował
 Do pustej wieży nie schodzą bogowie,
 Ani się labędź, ni orzeł nie skusi
 Zanieść pociechę biednej samotnicy! *(Siada)*
 Tam leży harfa. Ach, jakże żałuję,
 Żem się grać nigdy nie uczyła w życiu!
 Dziś niema dla mnie być musi, a stokroć
 Łatwiejby było wyrazić dźwiękami
 Myśli, co w słowa ująć się nie dadzą.

Bywaj mi zdrowy, piękny ty młodzieńcze!
 Pomimowoli myśl moją zajmujesz,
 Choć to uczucie tak czyste i jasne,
 Że się cień winy poza niem nie kryje.
 Szczęścia ci życzę, szczęścia, żeś daleko...
 A gdyby głos mój mógł sięgnąć do ciebie,
 Zawołałabym: Dobranoc!

(W ramie okna ukazuje się Leander)

Leander:

Dobranoc!

Hero:

Ach, co to znaczy!? Czy w mej samotności
 Echo mnie biedną pocieszać przychodzi?
 Piękna niebianko! witam cię z radością!

Leander:

Niebiankę witam!

Hero:

To nie jest głos echa,
 Lecz cóż ja widzę? Twarz ludzka, ramiona...
 Człowiek się wznosi; już w oknie ukłęknał...
 Precz stąd, nieszczęsny! o pomoc zawołam!

Leander:

Ach, tylko chwilkę użyż prośbie mojej!
 Patrz, te kamienie z pod stóp mi się suną;
 Jeśli odmówisz, wpadnę w przepaść ciemną;
 Ach, tylko chwilkę dozwól mi jedyną!

(Wchodzi do komnaty oknem.)

Hero:

Nie rusz się z miejsca! Co ciebie, szaleńcze,
Sprowadza tutaj?

Leander (*stojąc w głębi*):

Światło twe ujrzałem —
Gwiazdę przewodnią wśród ciemności nocy;
Gwiazda ta, duszy rozjaśniając ciemnie,
Tu mnie przywiodła...

.....

Hero (*porywczo*):

Nieszczęsny, przeklęty!
Pocoś tu przyszedł? By zakłócić spokój
Jasných dni życia mojego? By zburzyć
Pogodę serca i czystość mej duszy?
O, gdyby morze ciebie pochłonęło,
Kiedy się jego powierzałeś toni!
O, gdyby kamień z pod twych stóp był runął,
Kiedy się tutaj wdzierałeś na wieżę!
O, gdyby — nieba mściwie! — O, Leandrze —

Leander:

Czemu nie kończysz?

Hero:

Leandrze, czy słyszysz?
Nie wracaj drogą, którą tu przybyłeś,
Bo niebezpieczna — aż pomyśleć straszno!
Co jest w człowieku, co go tak zaślepia,
Że bezpieczeństwo własne ma w pogardzie,
Mysząc o innych?...
Ach, nie dotykaj mnie! To nie jest cnota,
Co ludzkie serca tak zmienia zupełnie,
Przugasza światło, od bogów nam dane,
By, jak sternikom gwiazda biegunowa,
Drogę znaczyło.

Leander:

ty to złem mienisz?
Ludzie zaś wielbią, jak najwyższą rozkosz,
(*Klękając przed nią*)
Zowiąc miłością!

Hero:

Więc aż tak daleko
Doszło to słowo o złudnych kolorach?
Ty je powtarzasz i zwiesz się — szczęśliwym!
(*Dotyka ręką włosów Leandra*)

A musisz płynąć przez burzliwe morze,
Gdzie każda fala śmiercią tobie grozi,
A tu, u celu, inna śmierć cię czeka...

(*Ogląda się z niepokojem.*)

Tłum. Helena Wiślańska.

IDĘ SAM

Struna mej liry jak słodko brzmi!
 Z nią naprzód idę sam;
 Mało do życia potrzeba mi,
 Gdy moje to, co mam!

Miłość czatuje w gajku róż,
 Uśmiechem wabi tam;
 Baw się ty z dziećmi, znam ja cię już!
 Niech zcicha przejdę sam!

Szczęście mi z pełnych dobywa skrzyń
 Cały klejnotów kram;
 Tylu cię wzywa, na tamtych skiń!
 Leć ty — ja pójdę sam!

Sława cudowny rozlacza blask
 Z przyszłości jasnych bram;
 Niech drudzy czerpią z źródła twych łask
 Ja im przyklasnę sam!

Tych złud ponętnych potrzebaż mi?
 Dość, gdy sam siebie mam...
 Dopóki struna mej lutni brzmi —
 Z nią naprzód idę sam!

C Z A S

Czas tak szybko naprzód bieży,
 A ja zcicha w miejscu snię;
 Prąd się toczy coraz szerzej:
 On nie porwał przecież mnie!

Huk szalony wkoło słyszę,
 Czoła dębów wicher gnie;
 Walczą moi towarzysze:
 Głos ich próżno wzywa mnie!

Ja przeczekam gromy burzy,
 Niech z powodzi ziemia schnie;
 Gdy czas w locie skrzydła znuży,
 Snadniej mety dobiec mnie!

Niechaj przebrzmia czeze tartasy,
 Rozum ludzki w błędach brnie:
 C z a s ma skrzydła, a c z a s y —
 Te nie mają skrzydeł, nie!

Tłum. Seweryna Duchńska.

AUGUST PLATEN-HALLERMÜNDE

(1796—1835)

Z «SOFOKLESA»

Zbożny Sofoklu, okiem tyś przenikającym
 Dojrzał punkt, gdzie człowieka i boga rozstaje,
 A co w kwietne słów ziemskich przyodziałeś mają,
 To ci wprzód prześpiewało niebo natchnień gońcem.

Do wnętrza świata dotarłeś sercem palającym
 I znasz też na powierzchni pasącą się zgraję:
 Wszystko, co w człeczej piersi ufa, w męce taje,
 Wypowiedziałeś swoich języków tysiącem.

Nigdyś nie ugrzązł w zimnym trzeźwości moczarze,
 Z szlachetną rozrzutnością buchało twe łono
 Wciąż skier jasnych wytryskiem w złotym ognia żarze.

Posłannictwo ci wielkie i święte zlecono,
 Wypileś szal kipiący w puezji puharze
 I świetną dziś jaśniejesz Dokonań koroną.

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

GRÓB W BUSENTO

Nad Busento, przy Cosenzy, nocą ciche pieśni dzwonią;
 Z fal odpowiedź się rozlega, dookoła nad wód tonią.
 A w pomroku, brzegiem rzeki, męźnych Gotów cienie biega,
 Optakując Alaryka, z pośród swoich najlepszego.

Zbyt go wczesnie w grób musieli złożyć, od ojczyzny zdala,
 Lubo jeszcze mu spadała z bark kędziorów złotych fala.
 I stanęli nad Busento zwartym rzędem, w nocnej porze;
 Iżby rzeki prąd odwrócić, wykopali inne łoże.
 W opróżnionem wód korycie grób wryli mu głęboki;
 W zbroi, na bojowym koniu, szły w mogiłę wodza zwłoki.
 Potem — wraz z bogatym łupem — ziemią zasypali obu,
 By wysokie wodne krzewy z bohatera wzrosły grobu.
 Po raz wtóry odwrócony nurt Busenta w dzikim szale
 Zalał dawne swe łożysko, wód spienione pędząc fale.
 I śpiewały mężów chóry: «Śpij spokojnie, bohaterze!
 Nędzna chciwość Rzymianina już ci grobu nie odbierze!»
 Tak śpiewali... a tych gockich odgłos pieśni biegł w przestworza...
 Nieś, Busento, je na fali, nieś od morza je do morza!

Tłum. Władysław Nawrocki.

Z «GAZEL»

Że bliźnim z rany płynie krew, nie szkodzi człowiekowi nic,
 O nękający chorych ból nie dbają nigdy zdrowi nic!
 I gdyby nie ta krótkość lat, co każdy z nas w dziedzictwie ma,
 W ohydzie temu nigdzie w krąg nie równa się faktowi nic!
 Jednakże życie tworzy się, lecz wielokształtny bywa zgon,
 Świat celom nie współczuje mym ni twoich dni kresowi nic;
 I kto się poddać nie chce rad tym losom, co czyhają nań,
 Ten się, markotny, wpędzi w grób, ale i tam nie złowi nic;
 To wszyscy wiedzą, łatwo zaś zapominają o tem wciąż,
 I przeto odtąd w sprawie tej już warga ma nie powie nic!
 Zapomnij, że cię ludzi świat, że chęci rodzi jego chęć,
 Niech nic miłości twej, a też nie ujdzie domysłowi nic!
 Niech każdy liczy, że mu da, czego nikomu nie dał, czas —
 Bo każdy chciałby wszystkim być, a w gruncie nie stanowi nic.

Tłum. Alfred Tom.

KARL IMMERMANN

(1796—1840)

Z «MERLINA»

Merlin:

Jeśli myśl o tem przejmuję cię grozą,
 Że twa przyroda w nicość się pograży
 Przez to, że w chwili, kiedyś ją utworzył,
 On ją w ramiona, jak oblubienicę,
 Ujawszy, złożył na jej ustach świętych
 Całunek, który Chrystusem nazwano —
 Wiedźże, wszechmocny, lecz ograniczony
 Duchu: świat teraz dopiero żyć zaczął
 I już nie umrze. Otwórzcie się, nieba!
 Patrz!

(Robi ruch ręką. Obłoki się rozsuwają. Widać wspaniałość niebios.)

Szatan:

Coś uczynił? mnie i tobie biada!
 Ślepnię...

Merlin:

Przyjdź do siebie!...

Szatan:

O, Adonaj!... ach!...

Merlin:

Co widzisz?

Szatan:

Męki!... Sam siebie tam widzę...
I wszystko, wszystkol... Prawdąż to, czy złuda?
Kto władcą rzeczy? kto cienia? — ja nie wiem...
On?... ja?... o, dosyć, przestań mnie już dręczyć!

Merlin:

Ty sam to jesteś wraz z legjony swemi!
Tyś wyszedł z niego, jego byłeś sługą;
On przybrał w tobie nienawiści formę,
Bo go wszechmiłość wypełnia...
Patrz, patrz, ty boże natury potężny,
Patrz na naturę, tkwiącą w łonie Bogal

Thum. Ignacy Matuszewski.

HEINRICH HEINE

(1797—1856)

Z «PODRÓŻY PO HARCU»

Nie da się to opisać, z jaką swobodą, naiwnością i wdziękiem spada Ilza po awanturniczych skal odłamach, które spotyka w biegu; w jednym miejscu, rycząc dziko i pieniać się, przelewa swe wody wierzchem, w innym wszelkimi szparami wśród kamieni, jakby z pełnych dzbanów, leje się czystą wygiętą strugą, to znowu po drobnych kamyczkach biegnie, jak wesołe dziewczątka. Zaiste, podanie prawdę mówi, że Ilza jest księżniczką, która, uśmiechnięta i świeża, zbiega z góry. Jak połyska w słońcu jej biała perlista sukienka!... Jak z wiatrem powiewają srebrne wstęgi od jej łona! Jak połyskują i iskrzą się jej brylanty! Wysokie buki stoją nad nią, niby poważni ojcowie, którzy, uśmiechając się ukradkiem, patrzą na swawolę lubego dziecka; białe brzozy, jak ciotki, poruszają się zadowolone, ale i zaniepokojone zarazem z powodu jej zbyt ryzykownych skoków; dumny dąb, niby zgryźliwy wujaszek, spogląda z miną krewniaka, na którego koszt ta hulanka się odbywa; ptaszki w powietrzu ćwierkają pochwały, a kwiaty u brzegów szepczą czule: «O, weź, nas z sobą, weź nas z sobą, luba siostrzyczko!» Ale wesołe dziewczę pędzi dalej w podskokach i chwytą nagle rozmarzonego poetę, na którego spada kwiecisty deszcz dźwięczących promieni i promienistych dźwięków, który zmysły traci wobec takiej świetności i nic nie słyszy więcej, prócz fletniowych głosów, brzmiących mu w ucho:

Księżniczka jestem Ilza,
Dom w Ilzensteinie mam;
Pójdź ze mną do mego zamku,
Szczęśliwi będziemy tam.

W ramionach moich białych,
Na białym łonie mem,
Tam będziesz leżał i marzył
Rozkoszy dawnej snem.

Ochłodzę głowę twoją
Najczystsza z moich fal,
Zapomnisz o swoich bólach,
Ukoisz dawny żal.

Upieszczę, ucałuję,
Jak ongi dawnych lat,
Milego cesarza Henryka,
Co już pożegnał świat.

Kto umarł, niech śpi w grobie;
Niech żyje, kto żyć ma...
Jam piękna i kwitnąca,
A w sercu śmiech mi drga.

A kiedy drga mi serce,
Dwór szklany dźwięczy mój,
I tańczą rycerze i damy,
I płasza paziów rój.

Jedwabiów słyhać chrzęsty
I ostróg brzęk u nóg,
A karty bębnią i trąbią,
I grają, i dmą w róg.

A ciebie, jak Henryka,
W objęciu będę mieć,
Na uszach mu kładłam rączki,
Gdy trąba miała grzmieć.

(Przekład Marji Konopnickiej.)

Nieskończenie błogiego doznajemy uczucia gdy świat zjawisk zewnętrznych zjeździe się ze światem naszych uczuć i kiedy zielone drzewa, myśli, śpiew płaszał, błękit nieba, wspomnienia i zapach róż w piękne spleć się arabeski. Kobiety najlepiej znają to uczucie i dlatego mają tak błogo sceptyczny uśmiezek na ustach, gdy ze szkolarską dumą chwalimy czyny logiczne i opatrujemy głowę naszą, jak kram apteczny, tysiącem szufladek, w których mieści się rozum, rozsądek, dowcip, lichy dowcip, a w jednej szufladce nic, czyli mianowicie idea.

Tłum. Marjan Gawalewicz.

Z «KSIĘGI LE GRAND»

Przyjdzie dzień, w którym wygaszony jest żar w moich żyłach, w piersi mojej zima mieszka, białe jej płatki tu i ówdzie przyprószyły mi głowę, a jej mgła zasłania mi oko. Przyjaciele moi leżą po zapadłych grobach; zostałem sam, jako więź samotny, o którym drwał zapomniiał w lesie. Nowe pokolenie zakwitło z nowymi pragnieniami i z myśli prądem nowym, i zadziwiony słucham nowych imion i nowych pieśni; przebrzmiały stare imiona, i ja sam przebrzmiałem, przez niewielu poważany, przez wielu nienawidzony, a nie kochany przez nikogo zgoła! I bieżą ku mnie chłopcy o różanem licu, i cisną mi w drżące dłonie harfę moją starą, i wołają ze śmiechem: «Długo coś milczysz, ty leniwy dziadul śpiewaj no znów piosenki o snach swej młodości!»

Wtedy chwytam za harfę, dawne radości i dawne boleści w piersi mej się budzą, rozpraszają się mgły, w martwych moich oczach zakwitają łąki młode, wiosnieje mi w piersi, słodkie dźwięki tęsknoty drżą w strunach harfy, i znów oglądam modrą rzekę i marmurowe pałace, i cudne niewiast i dziewcząt postacie, i śpiewam pieśń o białych Brenty kwiatach.

To będzie ostatnia moja pieśń. Gwiazdy patrzą na mnie, jak patrzyły w nocie mej młodości, rozkochany promień księżycy znów całuje moje usta, echowe chóry umarłych słowików pieją gdzieś woddali, oczy moje zamykają się w sennem upojeniu, dusza moja milknie razem z dźwiękiem harfy — kwiaty Brenty pachną.

Grobowiec mój ocieni drzewo. Chciałbym, aby to była palma, ale palmy nie udają się na północy. Będzie to zapewne lipa, pod którą w letnie zmierzchy zakochani przyjdą pieścić się i gwarzyć; czyżyk, który, podpatrując ich, na gałązce się buja, umilkł, a moja lipa szumi przyjaźnie nad głowami szczęśliwych, tak szczęśliwych, że nie mają czasu odczytywać, co tam na białym kamieniu grobowym jest napisane. Ale później, później, kiedy kochanek utraci dziewczynę swoją, przyjdzie znów pod znajomą lipę i będzie wzdychał i płakał, i długo, i często patrzył na kamień grobowy i wtedy odczyta na nim napis: «Kochał kwiaty Brenty».

Tłum. Marja Konopnicka.

Z «KSIĘGI PIEŚNI»

Na skrzydłach pieśni niebiańskiej
Z tobą, o luba, popłynę
Tam — ponad brzegi Gangesu,
Gdzie znam ustronie jedyne...

Tam kwitnie ogród różowy
W srebrzystym blasku księżycy,
A cudne zwoje lotosów
W blasku tym myją swe lica...

Szepcze fiolek do braci,
Do gwiazdek wznosi swą głowę,
A róże wpośród milczenia
Wonna prowadzą rozmowę...

Jakby zefirów podmuchy,
Gazele biegną po skale,
A wdali — szumią uroczco
Świętego Gangesu fale...

Tam, na tych błoniach spoczniemy
Pod bujnym drzewem palmowem,
Poić się będziemy miłością,
Rozkosznych słów karmić słowem...

Tłum. Aleksander Kraushar.

Ludzie mię w życiu niemało
Dręczyli w sposób przeklęty —
Jedni miłością zbyt stałą,
Drudzy zaś zbyt niemi wstręty.

Powszedni chleb mi mój truli,
Truli codziennie mi picie —
Jedni, że zbyt byli czuli,
Drudzy, że dźgali mię skrycie.

I tylko ta, której siła
W mem udręczeniu jest cała,
Ani mię nienawidziła,
Ani też choćby kochała.

Tłum. Felicjan Faleński.

Brylant się z perłą jednoczy,
W przepych cię strojąc książęcy,
I najpiękniejsze masz oczy —
O, lubał czegoż chcesz więcej?

I wielbi piękne twe oczy
Mych pieśni kilka tysięcy,
Co się we wieczność potoczy —
O, lubał czegoż chcesz więcej?

Mą zgubą piękne twe oczy!
Na twój to triumf dziewczęcy
Zniszczył mię blask ich uroczy —
O, lubał czegoż chcesz więcej?

Tłum. Adam Pajgert.

Rad mi i przestróg cennych nie szczędzono,
Nawet chwalebne dano mi uznanie;
Mówiono: — Czekaj — ktoś cię komuś, pono,
Kiedys zalecić raczy niesłuchanie.

Mimo tych jednak obietnic z góry,
Na dole z głodu zdechlby, iż tak rzekę,
Gdyby nie pewien zacny człowiek, który,
Niewiele myśląc, wziął mię w swą opiekę.

Wyborny człowiek! Dał mi jeść po uszy!
Kochać go będę aż do zwarcia powiek.
Chciałbym go nawet móc uściskać z duszy —
Cóż, gdym ja sam jest ten wyborny człowiek.

Tłum. Felicjan Faleński.

Do mojej matki

Przywykłem w życiu głowę nieść zwysoka,
Myśl moja dumnie się korytem toczy;
Choćby król nawet chciał mi spojrzeć w oczy,
Złęklego przed nim nie spuściłbym oka.

A przecież, matko, choć aż do obłoka
 Lot myśli dumnie wzbija mię ochoczy —
 Gdy twoja postać błysnie mi w przeczocy,
 Wnet mię zdejmuję pokora głęboka.

Twojegoż ducha tajna to potęga,
 Co wszystko wokół w swoją służbę wprzęga,
 I błyskawicznie aż do nieba sięga?

Czy też wspomnienie we mnie pozostało,
 Że tyle win mych serce ci ścisnęło,
 To drogę serce, co mnie tak kochało?

Tłum. Józef Kościelski.

Do Krystjana S.

Próżno świat głupi wciąż się na mnie dąsa;
 Nie będę tańczył dokoła bałwanów
 Razem z tłumami, ni ścisnął tych panów,
 Z których mnie każdy, jak pies, milczkiem kąsa.

I próżno berłem słomianem potrząsa
 Zgrają nierządnie z chórem swych kapłanów;
 Nie będę z ciżbą ciągnął ich rydwanów,
 Niech gawieź czci ich, niech w podskokach płąsa.

Wiem, że dąb runie — trzcina przetrwa burze,
 Gdyż wpół ją zegnę chytrą domoroślą,
 By potem, w ciszy, pięła się ku górze.

Lecz przyszłość trzciny?... Bo niech mi kto powie,
 Co za karjera zostać laską osła,
 Lub za trzepaczkę służyć lokajowi!

Tłum. Andrzej Niemojewski.

Ty jesteś, luba, jak kwiat, —
 Tak piękną, czystą, powiewną;
 Gdy patrzę na cię, pierś ma
 Bolescią ścisną się rzewną.

Na głowę twą chciałbym dłoń
 Położyć z modlitwą śpiewną:
 Oby zachował cię Bóg
 Tak piękną, czystą, powiewną.

Oboje czcili się bardzo,
 Lecz wyznać tego nie śmieli;
 Patrzyli na się z ukosa,
 Chociaż miłością płonęli.

A gdy się wreszcie rozstali
 W najgrubszej serca żalobie,
 Pomarli zdala od siebie,
 Nie wiedząc nawet o sobie.

Tłum. Aleksander Kraushar.

Czego chce ta lza samotna?
 Tylko wzrok mi mgłą owiała.
 Z mej przeszłości, co niezwrótne
 Ona jedna mi została.

I jak mgła już się rozwiała
 Górnych światła tych promienie,
 Co w mem sercu oświecały
 Każdą rozkosz i cierpienie.

Jej promiennych siostrzyc tyle
 W błyskach burzy, w nocy cieniach
 Przepłynęło w szczęścia chwile,
 Przepłynęło w udręczeniach.

Ach, i miłość ma na wieki
 Przeszła już, jak technienie lotna!
 Spłynęła i ty z mej powieki,
 Dawna moja lza samotna!

Tłum. Jan Prusinowski.

Z «NOWYCH POEZYJ»

Zlekka słodkie po mej duszy
Przeciągają tony...
Dźwięcz, wiosenna piosnko mała,
Dźwięcz w dalekie strony.

Gdzie dom pełen świeżych kwiatów,
Zdążaj potajemnie,
A gdy różę tam zobaczysz,
Pozdrów ją ode mnie!

Tłum. Adam Asnyk.

«Znowuś błakał się noc całą
Patrz, co się z kwiatami stało:
Fiolki biedne w rozpaczy,
Róże dziwnie pomieszane,
Lilje złąkle, zaplakane!
Co też to wszystko znaczy?»

Mój księżycu, mówiąc szczerze,
Ja niebardzo kwiatkom wierzę —
Udają, że są... trusiamil
Poco też podsłuchiwały,
Gdy, z miłości płonąć cały,
Jam rozmawiał z gwiazdami?

Tłum. Czesław Jankowski.

Tragedja

I

Chodź ze mną w świat i bądź mą żoną,
Spokojnie śnij na sereu mojem;
Ono ci będzie tem, co tutaj
Jest twoim domem i spokojem.

Jeśli odmówisz mi, zmarnieję,
O szczęściu nigdy się nie dowiem;
Ale i tobie dom twój własny
Będzie wygnaniem i pustkowiem.

II

(Jest to prawdziwa pieśń ludowa, którą słyszałem nad Renem.)

Padł nagły szron w wiosenną noc,
Na pierwsze młode kwiatki padł,
Pąki ich zwarzył, uśmiercił.

Gdzieś dwoje młodych kochało się —
I opuścili ojców dom
Bez wiedzy ojca i matki.

Błądzili razem tu i tam,
Aż niezabawem syte łez
Powieki zwarli — pomarli.

III

Na grobie ich lipa wyrosła już duża...
Wiatr targnął nią nagły... i niebo się schmurza,
Gdy zmierzchem pod drzewem, gdzie miękkość traw nęci,
Czeladnik młynarski miłości swe święci.

Parobek i dziewczka coś gwarzą pochutnie,
Wiatr świszczę tak dziko... ptak śpiewa tak smutnie...
Niemieje kochanek, kochance lży biegą —
I żadne z nich nie wie, dlaczego.

Tłum. Tad. Nowlin-Wagner.

Z «MORZA PÓŁNOCNEGO»

Cisza na morzu

Jaki spokój! W mgłę słonecznej
Jak zwierciadło błyszczy morze;
Statek brózdą szmaragdową
Wyzłacane fale porze.

Sternik usnął, zapomniawszy
O mieliznach tego świata;
Koło masztu siedzi chłopiec
I, ziewając, żagiel lata.

Krew rumieni mu policzki,
Tlustą sadzą zasmolone;
Jego oczy duże, modre
W tę i ową bładzą stronę.

Nagle zjawia się kapitan,
Człek, co lubi głośnie sprzeczeki;
«A hultajul — woła z gniewem —
Znów mi śledzia skradłeś z beczki!»

Jaki spokój! Na powierzchni
Wypłynęła rybka lśniaca
I przy słońcu grzeje główkę,
I ogonkiem fale trąca.

A pod niebem mewa krąży
I przyczaja się zdaleka...
O! już rybkę trzyma w szponach
I w błękity z nią ucieka!

Tłum. Wiktor Gomulicki.

Z «WIERSZY WSPÓŁCZESNYCH»

Doktryna

Bij w bęben i nie lękaj się,
Pieśń markietankę bez mitręgil
W tem umiejętność cała tkwi,
To treść najgłębsza każdej księgi.

Bębnieniem ludzi ze snu budź,
Bacz, by pobudka młodo grzmiała...
Bębniąc, maszeruj naprzód wciąż —
Oto jest umiejętność cała.

To filozofja Hegla jest,
To treść najgłębsza każdej księgi!
Jam pojął ją, bo rozum mam,
Ponieważ ze mnie dobosz tęgi.

Ostrzeżenie

Ty ogłaszasz takie książki?
Wręcz przepadłeś, druhu luby!
Musisz kark zgnać należycie,
Chcąc mieć sławę i pieniążki.

Nie radziłbym ci, zakaty,
Tak przemawiać przed narodem,
Tak przemawiać przed klechami
I możnymi potentaty!

Druhu! Żle się tobie tuszył
Możni mają długie ręce,
Klechy znów — języki długie,
Ludek zaś ma długie uszy!

Tłum. Władysław Nawrocki.

Czekajcie tylko!

Że tak wspaniale umiem błyskać,
Sądzicie, że nie zdołam grzmieć?
Mylicie bardzo się — by ciskać
Gromy — talent też mogę mieć.

Strasznie się kiedyś przeświadczycie,
Kiedy ów dzień nadejdzie już,
Wtedy to głos mój usłyszecie,
Słowo, jak piorun, jak ryk burz.

Niejeden dąb tam pogruchocze
Na owym dniu szalony grom,
Niejeden pałac zadygoce,
Runie niejeden boży dom!

Tłum. Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

Szczury wędrowne

Dwóch są gatunków szczury:
Syci panowie i głodne ciury.
Syte są domatorami,
Głodne wędrują światami.

Wędrują tysiące mil,
Nie znają spoczynku chwil,
Gdzie oczy niosą, tam im droga,
Nie wstrzyma ich wichura sroga.

Pną się na góry wysokie,
 Płyną przez morza szerokie —
 Niejeden zginie wśród mórz, wśród niw,
 Umarli zostają, idzie, kto żyw.
 Mają ci te opryszki
 Straszliwie zjadł pyski
 I głowy równo strzyżone pod sznur —
 Tak radykalny nosi się szczur.
 Ta radykalna gromada
 Nie modli się, nie spowiada,
 Ani chce ślubów, ani chrzcin,
 Kobiety są własnością gmin.
 Nie zna zmysłowa ta partja
 Nic, oprócz picia i żarcia,
 Nie myśli, gdy chce jeść i pić,
 Że dusza nasza za grobem ma żyć.
 Taka już dzika hołota!
 Nie boi się piekła ni kota;
 Kto ma, ten wróg, kto nie ma — brat,
 I chcą na nowo dzielić świat.
 O zgrozo! wędrowne szczury
 Podchodzą pod nasze mury.
 Słyszę ich pisk, jak grozi i trwa —
 Idzie ich ćma. —

Giniemy! biada nam, biada!
 Do bram już zgraja dopada!...
 Pan burmistrz i ławników wiec
 Nie wie, co począć i co rzec.
 Mieszczanstwo staje pod bronią,
 Klechy na trwogę już dzwonią —
 Własność, moralny państwa grunt,
 Obalić chce bezbożny bunt.
 Ani te dzwony, ni gesty,
 Orędzia, ni manifesty,
 Ani tysięczny armat park
 Nie zwalczy tej biedy, co spada na kark.
 I nanież też misterne szyki
 Dawno przebrzmiałej retoryki;
 Nie złapać szczura na słów kwiaty —
 Skoczny przez wszystkie sofizmaty.
 Pustym żołądkom dawać trzeba
 Logikę zupy, dowód z chleba,
 Argumentację nie bez okrasa,
 Owszem z cytata frankfurckiej kielbasy.
 Mileżący szczupak po żydowsku
 Łatwiej przekona ich do wniosku,
 Niż taki mówca Mirabeau
 Lub Marcus Tullius Cicero.

Tłum. Józef Wejssenhoff.

CHRISTIAN DIETRICH GRABBE

(1801—1836)

Z «ŻARTU, SATYRY, IRONJI I GŁĘBSZEGO ZNACZENIA»

(Wchodzi pan Wernthal, rozmawiając z samym sobą.)

Wernthal: A więc niebawem wesele! Moja narzeczona jest dowcipna, wesola i szlachetna. — Ale ja mam 12.000 talarów długu, ona zaś jest zbyt mądra, aby mi tak wielki kapitał do rąk powierzyć. — Żebyż ona siedziała na Łysej górze, a jabym dźwigał na grzbiecie jej złote sakwy!

Djabeł (*występując z ukrycia, do siebie*): Również czcigodny człowiek. (*Głośno*)
 Sługa, panie von Wernthal! Co u pana słyhać?

Wernthal: Oj, źle, panie Kanoniku!

Djabeł: Ile pan chcesz za swoją narzeczoną?

Wernthal (*wybuchając gniewem*): Panie, pan —!

Djabeł: Jestem namiętym zbieraczem nieżonatych chrabąszczy, tłustych oberzystów i młodych narzeczonych; dobrej ceny nie poskapię.

Wernthal: Hm! Hm! A więc kolekcjonista! Nie poskapisz pan dobrej ceny!
 A więc ile dajesz za Liddy? Jest niezmiernie piękna.

Djabeł: Za piękność placę 2.000 talarów w monecie konwencyjnej.

Wernthal: Jest rozumna!

Djabeł: Za to odciążam panu 5 groszy i 2 fenigi, ponieważ rozum jest wadą u dziewczyny.

Wernthal: Ma wykwintną, miękką rączkę.

Djabeł: Policzkuje, znaczy się, łagodnie. Za to placę 7.000 talarów w zlocie.

Wernthal: Jest jeszcze niewinna.

Djabeł (*z miną kwaśną*): Ach, niewinność tędy, niewinność owędy! — Za to nie dam więcej nad 3 grosze i 1 fenig w monecie miedzianej.

Wernthal: Ale Liddy posiada nadto uczucie, wyobraźnię.

Djabel: Uczucie psuje pleć, wyobraźnia wywołuje niebieskie podkowy pod oczyma i warzy piwo w dzbanie. Za ten cały kram dają z ironji tylko trojaka.

Wernthal: Pan masz dość wstrętny smaczek.

Djabel: Ostatecznie — abys pan wreszcie zamilczał o możliwych moralnych właściwościach baronówny — rzeczy tych zdrowie moje nie znosi — zapłacę panu jeszcze 11.000 talarów w holenderskich karbowanicach. —

Wernthal: Ileż to wszystko czyni razem?

Djabel (*obliczając na palcach*):

Za piękność — 2.000 talarów w monecie konwencyjnej,

za niewinność — 3 gr. 1 fen. w miedzi,

za miękką rączkę — 7.000 talarów w zlocie,

za uczucie i wyobraźnię — trojaka, z ironji,

za przemilczenie o właściwościach moralnych osoby — 11.000 talarów w karbowanicach holenderskich.

To czyni razem: 20.000 talarów, 3 grosze i 4 fenigi.

Z tego odchodzi: 5 groszy, 2 fenigi za rozum;

pozostaje saldo: 19.999 talarów, 22 grosze i 2 fenigi.

Wernthal: Dawaj rękę, panie zbieraczu narzeczonych i chrabąszczy!

Tłum. Wacław Berent.

NIKOLAUS LENAU (VON STREHLENAU)

(1802—1850)

PRIMULA VERIS

Już się rozwijasz,
Pierwiosnku biały!
Najlżej ze wszystkich
Kwiatki twe spaly:
Więc się zbudziłeś
Pierwszy na łące,
Rozchylasz listki
I witasz słońce.
Pierwszy ty słyszysz
Poszepty wiosny,
Primula veris,
Kwiatku miłosny!

I mnie tak było
W serca ogrodzie:
Kwiat się rozwinął
Jeszcze o chłodzie!
Primula veris,
Kwiecie wierzące!
Wzrusza je pierwsze
Technienie gorące.
Wierzy, że wiosna
Zstępuje z nieba,
Że jej woń swoją
Wydać potrzeba.

Więc pierś otwiera
Na jej przyjęcie
I marzy słodko
O wielkim święcie.
A może chmurne
Będą niebiosy?...
Przyjdzie wiatr mroźny
I zimna rosa?...
Lecz niech kwiat więdnie
W chłodu godzinie:
Wierząca jego
Dusza nie zginie!

Tłum. Marja Ilnicka.

Z «PIEŚNI W SITOWIU»

Mętne niebo, chmury pędzą,
Deszcz posępny, wdali grzmi,
Zimne wiatry głośno zrzędzą:
«Stawie, gdzie świt gwiazdy twej?»

I szukają zgastych blasków
Na jeziora ciemnym dnie...
Twey miłości jasných brzasków
Nie zobaczy ból mój, nie!

Zaszedł słońca krąg,
Ciągną pasy chmur:
Jakie wonie z łąk,
Jaki wietrzyk z gór!

Już błyskawic skry
Rzucił chmur tych kłęb,
Ich odbiciem lśni
Ciemna stawu głęb.

Śród ognistych fal,
Zda się, widzę cię
I wiejące wdali
Długie włosy twe.

DO MELANCHOLJI

Towarzyszysz mi przez życie,
Melancholjo, wczoraj, dziś!
Czy ma gwiazda lśni w rozświcie,
Czy w mrok pada — przy mnie tyś!

Na skał wodzisz mnie urwiska,
Gdzie samotna orłów perć,
Gdzie się potok z grzmiotem ciska,
W niebo sterczy jodeł śmierć.

Tam wspominam zmarłych kolo,
Z oczu dziko lzy się rwą,
I zmroczone bólem czoło
Na pierś chmurną składam twą.

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

EDUARD MÖRIKE

(1804—1875)

OPUSZCZONE DZIEWCZĘ

Rankiem, gdy zapał kur,
Nim ostatnia gwiazdka się rozplynie,
Wstaję, rozniecam już
Ogień w kominie.

W oczach wciąż miły mój...
Ileż razy nagle mi się zdało,
Żem przemarzyła tak
O nim noc całą!

Płomień w krąg rzuca skry,
Błyśnie, buchnie, to zda się wnet skona,
Ja stoję, w ognia blask
Smutnie wpatrzona.

Znów wraca dawny żal,
Cicho z oczu płyną znów łez strugi;
Tak zwolna wschodzi dzień —
Dzień jak wiek długi.

Tłum. Czesław Jankowski.

PRZEDE DNIEM NA GODZINĘ

Gdym wkroczył w snu krainę,
Przedem dniem na godzinę,
Jaskółka ćwierka pod okienko —
I taką budzi mię piosenką,
Przedem dniem na godzinę:

Ty dziewczę masz jedyne...
A znasz li jego winę?
Gdy ci pieśń moja o tem wieści,
Ona się z innym czule pieści,
Przedem dniem na godzinę.

O, biada mi! Niech zginę!
Niech we łzach się rozplynę!
Precz! Więc jest szczęście jedną chwilką?
Miłość i wierność snem li tylko
Przedem dniem na godzinę?

PACIERZ

Jasny czy pełen mąk
Dasz byt — bądź Twoja wola!
Mnie dość, że moja dola
Snuje się z Twoich rąk!
Nie snuj jej z łez motka,
Ani przyszłość słodka
Niech przede mną leży —
Ale ją z rubieży
Snuj — z lubego środka.

WIERSZ NA GARNKU, ULEPIONYM WŁASNEMI RĘKOMA

Choć stary jestem, dla sztuki jeszcze
 Jam nie stracony zgoła,
 Gdyż — nie dopięły czego sny wieszce —
 Garncarz dokonać zdoła.

Tłum. Władysław Nawrocki.

GEORG BÜCHNER

(1813—1837)

Z «WOZZECKA»

(Wozzeck goli kapitana, rozmawiając z nim.)

Wozzeck: My, biedny naród! Widzi pan, panie kapitanie, grosz! grosz! Jak kto nie ma pieniędzy! — Niechno taki popróbuję w świecie radzić sobie na moralny sposób! A przecież ma się także ciało i krew! Ale naszemu bratu nie pójdzie ani na tym, ani na tamtym świecie! Myślę, że gdybyśmy się nawet do nieba dostali, toby nas i tam zapędzono do robienia grzmotów.

Kapitan: Wozzeck! on nie ma cnoty, on nie jest cnotliwy człowiek! Ciało i krew? Gdy leżę w oknie — a deszczyk dopiero co przeszedł — i przyglądam się białym pończoszkom, jak skaczą po ulicy — tam do djaska! Wozzeck, wtenczas na miłość mi się zbiera! Ja także mam ciało i krew. Ale cnota, Wozzeck, cnota! Bo inaczej, cóż z tym czasem zrobić? — Mówię sobie zawsze: Cnotliwy z ciebie człowiek (*wzruszony*), dobry człowiek, dobry człowiek!

Wozzeck: Tak, panie kapitanie, cnota — ale gdzie mi tam do tego! Widzi pan, my prosty naród — nie mamy cnoty; naszemu bratu zostaje tylko natura. Ale gdybym ja był panem i miał kapelusz, i zegarek, i monokl, i umiał ładnie gadać, wtedybym już na pewno był cnotliwy. Już tam musi być coś ładnego w tej cnocie, panie kapitanie, ale ja jestem biedny człowiek.

Kapitan: Cóż, Wozzeck, on jest dobry człowiek, dobry człowiek. Ale on za dużo myśli, a to szkodzi; on jest zawsze taki szusowaty. Zmęczył mnie ten dyskurs. Wozzeck, niech on sobie idzie, a niech tak nie pędzi, niech idzie powoli, powolutku ulicą, samym środkiem.

(W gabinecie doktora.)

Wozzeck: ...Widzi pan, panie doktor, czasem to się może mieć taki charakter, taką strukturę. — Ale z naturą to inna rzecz, widzi pan z naturą (*strzela palcami*) to jest coś takiego, jakby to powiedzieć na ten przykład...

Doktor: Wozzeck, on znowu zaczyna filozofować.

Wozzeck: Tak, panie doktor, ale jak się natura kończy...

Doktor: Co robi natura?

Wozzeck: ...jak się natura kończy, gdy świat staje się taki ciemny, że się go trzeba domacywać rękami, że się myśli, iż rozwieje się jak pajęczyna. Ach, gdy coś jest, a przecież tego niema! Ach, Marjo! Gdy wszędzie jest ciemno, tylko zachód rzuca czerwony odbłask, jak kuźnia — czegoż się wtenczas trzymać? (*Zaczyna chodzić po pokoju tam i zpowrotem.*)

Doktor: Drabie! Cóż on tak stąpa ostrożnie, jakby miał pajęczę nogi?

Wozzeck (*poufale*): Gdy słońce stało wysoko i było tak, jakby świat plawił się w ogniu, przemówił do mnie jakiś głos straszliwy...

Doktor: Wozzeck, on ma zwykle aberratio.

Wozzeck (*kładąc palec na nosie*): Bedłki... czy pan widział kiedy na ziemi pierścienie bedłek? Linje koliste — figury — w tem coś jest, tak — gdyby to mógł ktoś odczytać!...

Doktor: Wozzeck, on skończy w domu warjatów. On ma dobrą idée fixe, cenne aberratio mentalis partialis, drugie species! bardzo pięknie rozwinięte! Wozzeck, on

dostanie podwyżkę! Drugie species: idée fixe przy stanie naogół normalnym! Czy on robi wszystko, jak zawsze? goli swego kapitana?

Wozzeck: Tak jest!

Doktór: Je groch?

Wozzeck: Dokumentnie, panie doktor! Pieniądze za strawne dostaje kobieta — dlatego robię to...

Doktór: I pełni służbę?

Wozzeck: Tak jest!

Doktór: Bardzo z niego interesujący okaz! On otrzyma jeszcze grosz dodatku na tydzień. Wozzeck, niechno się on tylko dzielnie trzyma. Niechno on spojrzy na mnie: co on ma robić?

Wozzeck (z jękiem): Marja...

Doktór: Groch jeść, potem baraninę jeść, czyścić karabin, a między jednym a drugim dbać o swoją idée fixe! O, moja teorjol! O, moja sławo! Będę nieśmiertelny! Nieśmiertelny!

Wozzeck: Tak! Marja... i biedny pędrak.

Tłum. Jerzy Liebert.

FRIEDRICH HEBBEL

(1813—1863)

Z «JUDYTY»

Judyta (*wypada z rozpuszczonymi włosami, chwiejąc się. Odłania się druga kotara. Widać śpiącego Holofernesa. Nad głową jego wisi miecz*): Za jasno, za jasno tutaj! Zgaś światła, Mirzo, są bezwstydne!

Mirza (*z radością*): Żyją, ona i on! (*do Judyty*) Jak ci jest, Judyto? Policzki masz gorące, jakby krew miała wyskoczyć! Oczy patrzą niepewnie!

Judyta: Nie patrz na mnie, dziewczyno! Nikt nie powinien na mnie patrzeć! (*chwieje się*).

Mirza: Ty się chwiejesz, oprzyj się na mnie!

Judyta: Jakto, bylażbym tak niedołęzna? Precz ode mnie! Ja mogę stać — o, ja potrafię jeszcze coś więcej niż stać, nieskończenie więcej!

Mirza: Chodź, uciekajmy stąd!

Judyta: Co? Czyś ty na jego żoździe? On włókł mnie za sobą, porwał mnie do siebie na swoje plugawe łożo, a ty ścierpiałas to wszystko? A teraz, gdy nareszcie chcę sobie powetować to unicestwienie, którego doznałam w jego objęciu, gdy chcę się pomścić za ten brutalny zamach na moje człowieczeństwo, teraz, gdy jego krwią serdeczną chcę zmyć te bezecne pocałunki, które mi jeszcze płoną na ustach, teraz ty chcesz mnie stąd wyrwać i nie rumienisz się?

Mirza: Nieszczęśliwa, co chcesz uczynić?

Judyta: Nędzna istoto, to ty nie wiesz? Serce ci tego nie mówi? Myślę o zabójstwie! (*Gdy Mirza się cofa*). Czyż mam tu jeszcze wybór? Mirzo, rozstrzygnij sama. Nie wybiorę zabójstwa, jeżeli — lecz cóż to ja mówię! Ani słowa, sługo! Świat kręci się naokoło mnie.

Mirza: Chodź!

Judyta: Nigdy! Nauczę cię twoich obowiązków! Patrz, Mirzo, ja jestem kobietą! O, tego nie powinnabym czuć w tej chwili! Postuchaj mnie i uczyni, o co cię proszę. Jeśli mnie siły opuszczają, jeśli upadnę bez przytomności, wtedy nie skrapiaj mnie wodą. To nie pomoże. Ale krzyknij mi do ucha: wstań, nierządnic! Wtedy zerwę się, może się rzucę na ciebie, aby cię udusić. Ale ty się nie bój, krzyknij tylko: Holofernes zrobił cię nierządnicą, a Holofernes żyje jeszcze! O, Mirzo, wtedy stanę się bohaterem, bohaterem takim, jak Holofernes!

Mirza: Twoje myśli wyrastają ponad ciebie.

Judyta: Ty mnie nie rozumiesz, ale musisz, powinnaś mnie zrozumieć. Mirzo, jesteś dziewicą. Pozwól, niech rozjaśni świętości twej dziewiczej duszy. Dziewica — to głupia istota, która drży przed własnymi snami, bo nawet sen może ją urazić

śmiertelnie. Dla dziewicy niema ważniejszej chwili nad tę, w której przestaje być dziewicą, a każdy zwalczony przedtem bunt krwi, każde stłumione przedtem westchnienie powiększa wartość ofiary, składanej przez nią w takiej chwili. Ona oddaje wszystko — czyż za dumne jest jej wymaganie, żeby przez to wszystko poić kogoś błogim zachwytem i szczęściem? Mirzo, czy słuchasz mnie?

Mirza: Jakże cię teraz nie słuchać!

Judyta: A teraz pomyśl sobie to w całej nagiej ohydzie, wyobraź sobie to aż do tego kresu, gdzie wstyd podnosi ręce i rzuca się między ciebie a twoją wyobraźnię, i gdzie już przeklinasz świat, w którym możliwa jest największa potworność!

Mirza: Co? co mam sobie wyobrazić?

Judyta: Co masz sobie wyobrazić? Siebie samą w największym poniżeniu, tę chwilę, w której ktoś wyciska ci ciało i duszę, abyś mu zastąpiła nadużyte wino i jeden podły szal pomogła zakończyć drugim jeszcze podlejszym — chwilę, kiedy usypiająca żądza bierze z twych własnych ust jeszcze tyle ognia, ile jej potrzeba, aby zamordować twój skarb najświętszy — kiedy nawet twoje zmysły buntują się przeciwko tobie, jak rozpojone niewolniki, nie znające już swego pana — kiedy całe swoje poprzednie życie, wszystkie swoje myśli i uczucia zaczynasz uważać tylko za jakieś zarozumiałe marzenia, a hańbę za twe jedyne prawdziwe istnienie!

Mirza: Błogo mi taraz, że nie jestem piękna!

Judyta: Tego nie uwzględniłam, przychodząc tutaj. Ale rozjaśniło mi się to, gdy tam (*wskazuje na sypialnię*) weszła, gdy zaraz na pierwszy rzut oka ujrzałam pościelone łożo. Rzuciłam się na kolana przed okrutnikiem i jęczałam: nie tykaj mnie! Gdyby był słuchał tego okrzyku trwogi, tobym go nigdy, nigdy — — lecz on za całą odpowiedź oderwał mi napierśnik i wychwalał me piersi. Ukąsiłam go w wargi, gdy mnie całował! «Poskrom twą pożądliwość! posuwasz się za daleko!» szydził i — o, przytomność mnie już opuszczała, byłam tylko jednym kurczem, wtem coś lśniącego błysnęło mi w oczy. Był to jego miecz. Do tego miecza przyczepiły się moje oszłomione myśli i, jeżeli dałam się zbezczeszczyć i utraciłam przez to prawo do istnienia, tym mieczem znów je sobie wywalczę! Módl się za mnie! Teraz to uczynię!

(*Wpada do sypialni i zdejmuje miecz.*)

Mirza (*na kolanach*): Boże, obudź go!

Judyta (*przykłęka*): O, Mirzo, taka twoja modlitwa?

Mirza (*wstaje znowu*): Chwała Bogu, ona nie potrafi tego wykonać!

Judyta: Nieprawdaż, Mirzo, sen — to Bóg sam, trzymający w uścisku zmęczonych ludzi; kto śpi, musi być bezpieczny! (*Wstaje i wpatruje się w Holofernesa.*) A on śpi spokojnie, nie przeczuwa, że mord własnego jego miecza przeciw niemu dobywa. Śpi spokojnie — ha, tchórzliwa kobieto, rozczuła cię to, coby cię powinno oburzyć? Ten spokojny sen po takiej godzinie czyż to nie zbrodnia najohydniejsza? Czyżem ja robak, że mnie można rozdeptać, a potem spać spokojnie, jakby się nic nie stało? Nie jestem robakiem (*wyjmuje miecz z pochwy*). Uśmiecha się. Znam ja ten uśmiech piekielny; tak się uśmiechał, gdy mnie ściągnął ku sobie, gdy — — Zabij go, Judyto, on we śnie bezczeszczy cię po raz drugi, jego sen jest tylko psiem przeżuwaniami twej hańby. Rusza się. Czy chcesz zwlekać, aż głodna żądza znów go zbudzi, aż on cię znowu pochwyty i — (*ścina głowę Holofernesa*). Patrz, Mirzo, oto spadła jego głowa! Ha, Holofernesie, szanujesz mnie teraz!?

Thum. Karol Irzykowski.

CHŁOPIEC STEPOWY

Przyśnił się chłopcu upiorny sen,
Że z sakwą talarów posłano go hen,
I jak go ktoś napadł, ograbił,
A potem — potem go zabił.

Pot zimny go zlewa, drży z lęku, jak liść...
Wtem majster go budzi i każe mu iść:
«Bierz sakwę talarów i — w drogę!
Lecz czemu tak drżysz? Porzuć twogę!»

«O, panie mój, panie! zabijają mnie! Ach,
Spójrz: słońce krwią spływa, więc chycił mnie strach!» —
«Dla wszystkich to słońce tak świeci!
Ej, wstawaj a ruszaj! czas leci!»

«O, panie mój, panie! te słowa już znam,
Tę twarz i te oczy widziałem już — tam!
Wnet chwycisz...» Chciał dodać: za kije...
Lecz urwał, bo pan go już bije.

«O, panie mój, panie! Już przestań mnie bić!
Już wstaję. Z pokłonem do matki mej idź!
Idź, powiedz, że znajdzie mnie ona
Nad źródłem, gdzie wierzba schylona!»

I w drogę daleką wyruszył wnet,
I stepem, co mglił się jak widmo, szedł
I wzdychał do wichru co chwila:
«O, gdybyż mój krok był jak mila!»

Jak okiem sięgnąć — bezkresny step,
Tak cicho wokół pod pustką nieb,
I tylko w ciszy bezbrzeżnej
Żerują ptaki drapieżne.

Aż ujrzał chatkę małą. Z niej
Doglądał pastuch trzody swej.
Stary był pastuch nieboga...
(Wciąż rośnie w chłopczynie trwoga!)

«Pasterzu stary! Nie wiem, ktoś zacz,
Lecz mam tu sześć groszy srebrnych, patrz,
Daj mi parobka na drogę;
Do wioski trafić nie mogę...

«Ja za to grosze mu swoje dam,
Niech sobie palnie gorzalki tam...
Patrz, tu mam sakwę ukrytą:
Przez nią mnie we śnie zabito!»

Ów na dragala skinął. Ten
Kij nożem strugał. «Ach wiem już, wiem...»
I drży chłopczyna, jak łania,
I twarz rękoma zasłania.

«O, mój pasterzu! ach, nie! ach, nie!
Sam pójde raczej! Zostawcie mnie!»
A ciura tak się odzywa:
«Ej, żal mu, widać, grosiwał»

«Ach, weźcie groszel» I rzuca je,
I szybko stepem przed siebie mknie.
Już prawie do wierzby dobiegł,
Gdy go przyłapał parobek.

«Ej, malcze! Czekał! Nie pędźże tak!
Śpiesz się pomatu! Już sił ci brak!
Pewno też ciężą ci groszel
Odpocznij, odpocznij, proszę!

«Siądźmy pod wierzbą, gdzie szemrze źródł,
 Tam mi opowiesz sen brzydki swój:
 Śniłem — niech Pan Bóg mnie skara,
 Czy nie ta sama nam śniła się mara!»

Za rękę go chytyła parobczak zły,
 Chłopczyna się ślania i roni lzy...
 Szepcą cichutko listeczki,
 Szmer płynie smętny od rzeczki.

«Co śniłeś?...» — «Przyszedł człowiek...» — «I co?
 Czy ja to byłem? Gadajże, no!
 Wszak widzisz mnie! A co dalej?
 No, mów! Ciekawość mnie pali!»

«I nóż wyciągnął...» — «Czy taki? No?» —
 «Ten sam...» — «A potem?» — «A potem... pchnął!» —
 «Tak? Ostrze w gardło zanurzył?...
 Hej, chłopcze! Nie męcz się dłużej!»

Co dalej było — nie powiem wam,
 Spytajcie ptaków, co były tam:
 Kruk czarny krakał z radości,
 Gołąb omdlewał z żalości.

O zbrodni kracze kruk, czarny jak kir,
 I o tem, jak zemścił się kat, krwawy zbir.
 A gołąb światu rozgłosił,
 Jak chłopczyk się modlił i prosił.

Tłum. Juljan Tuwim.

DWA ŁABĘDZIE

Na ciemnej topieli
 Lśnią w krasie swej bieli
 Dwa błędne łabędzie, krążące wśród fal:
 Mgła tonie powleka,
 Co w wichrze drżą zlekka,
 W posępne tumany zasnuwa się dal.
 I zrazu się stara
 Unikać ta para
 Tęskniących łabędzi, lecz próżny ich trud,
 Daremna męczarnia,
 Już szal je ogarnia:
 Niech mgła je spowije, uniesie pęd wód!
 Namiętnej pieszczoty
 Nie przerwą wód grzmoty;
 Złączyły odmęty biel dwojga ich łon.
 Acz sroży się fala,
 Je miłość zespala
 rozkosz upaja, nie trwoży ich zgon.
 Żądź gasną płomienie,
 Owłada znużenie — —
 Wtem dzika odmętu rozdziela je moc:
 Już nigdy ich chyży
 Prąd fali nie zbliży,
 Przeminał dzień jasny, zamierzcha w krąg noc.

Tłum. Stanisław Wyrzykowski.

DZIECKO

Umarła matka w trumnie leżała,
Nakryta śnieżnym welonem,
Wtem staje przy niej dziecina mała
I patrzy okiem zdumionem.

Wian kwiecica, w jasne włosy wpleciony,
Bardzo się dziecku podoba,
A jeszcze bardziej bukiet czerwony,
Umarłych piersi ozdoba.

Słodko do mamy wdzięczy się dziecię
I prosi w czułym zachwycie:
«Mamusiu, daj mi to cudne kwiecie,
Ja ciebie kocham nad życie!»

A kiedy matka leży bez ruchu,
Głucha na jego błaganie:
«Mama śpi — dzieciak pomyśli w duchu —
Lecz da mi pewnie, jak wstanie...»

Idzie, cichutko stąpa nóżkami,
Drzwi przymknie dziecina mała —
Potem co chwila słucha pod drzwiami,
Czy mama jeszcze nie wstała...

Tłum. Józef Jedlicz.

EMANUEL GEIBEL

(1815—1884)

PRZEZ NIEBIOS, ZIEM...

Przez niebios, ziem przestrzenie
Przebiega ciche brzmienie,
Jak słodki harfy ton,
I każdej rzeczy wieści,
Gdzie źródło jest jej treści,
Jaki jej będzie skon.
Do orła mówi: «W złoty
Blask słońca leć, aż loty
Burza ci strzaska zła!» —

Chmurze: «Spuść deszczu rosy;
Zwilżywszy kwiaty, kłosa,
Gniń w jasnych zorzach dnia!» —
Łabędzinom: «Wdal po fali,
Aż pośród śpiewnych żali
Zstąpicie w grobu mgły!» —
Gwoździom w barw koronie:
«Schnijcie, lecz szerzcie wonie!» —
Kobiecie: «Kochaj, mrzyj!»

W LESIE

Najgłębszy lasu kąt to był;
U twoich nóg na mchu jam śnił;
Na ziemię spokój z niebios padł:
Tak cicho w krąg, daleko świat!

A wtedy z cudnej twarzy twej
Świt niebios trysł w zwątpienia mgły;
W twych oczu toni zaśnił blask
Miłości świętej, pełnej łask.

Błogosławiłem niebios dar,
I ziemskich mąk ścichił we mnie war,
Wysłuchany w uczuć pieśń bez słów,
Znów młody byłem, czysty znów.

Pieczęć na usta legła me,
Byłaś mi świętą w niebios tle;
Co najwyższego człowiek ma,
Poznała wówczas dusza twa.

Przecucie w lonie drgnęło mi
Wieczności nieskończonych dni,
W których godzina trwa ciąg lat,
A w gnieniu życie masz i świat.

Długośmy byli? — nie wiem sam,
Lecz duch stał u światłości bram;
Ty — mnie, ja tobie byłem dan,
Z dobrocią na nas patrzył Pan.

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

GEORG HERWEGH

(1817—1875)

ŚMIERĆ TRĘBACZA

Do stu piorunów! śmiertelny cios!
 Ha! jakże lance już nasze,
 Jak innej trąbki powiedzie głos
 W bojowy taniec pałasze?

Często ja stałem, stałem jak głaz
 Na słońcu, burzy i wietrze,
 Bom się spodziewał, że przecie raz
 We wolne zagrzmie powietrze.

Jam się spodziewał, kiedy bój wrzał,
 Kul gradem hufce wytłukał,
 Spodziewał, hukiem ogrzmiany dział,
 Alem się wkońcu oszukał.

Teraz, by ciała rzucając cieśń,
 Dusza ma lżejszy lot wzięła,
 Na mojej trąbce grajcie mi pieśń:
 «Jeszcze wolność nie zginęła!»

Grajcież mi pieśń tę! nie prócz tych brzmień!
 Z niemi niech wzleczę do nieba,
 A trąbkę zwróćcie mi w sądu dzień,
 Znów będzie trąbki potrzeba.

Bo kiedy zechce Bóg przed swój tron
 Wymarle zawezwać ludy,
 Toż przecie z grobów obudzić On
 Musi trębaczów najprzód.

Hej! co za radość będzie w tym dniu:
 Z cieśni się grobu wyrąbię,
 Wszystkim narodom, co starczy tchu,
 Przeciwno wrogom zatrąbię.

Tłum. Adam Pajgert.

THEODOR STORM

(1817—1888)

ZMARLEJ

I

Już nie wierzyłaś w przyszłe jasne dni,
 Ból dawny już ci nie dawał ozdrowieć;
 Zbyt ciężkie—ć były macierzyństwa sny,
 Życie zbyt twarą dawało odpowiedź.

Siedział przy tobie, drogi płacąc dług,
 Noc jeszcze jedna, ostatnia płynęła;
 I ona zbiegła; rozbrzaśł ranka smug.
 «Mój dobry mężu, takbym żyć pragnęła!»

W ucho mu padał rzewnych słów twych zdroj,
 W pauzach trwożnych, przerywanych szlochem:
 «Mrę — dbaj o dziecko — o, słodki ty mój...»
 Potem — już szeptem: «Teraz usnę trochę...»

Potem — nic; jawa nie wróciła już,
 Wzrok zgasł, ścmiła się rzeczywistość cała:
 Wielki dech Boga przewiał izbę wzdłuż —
 Krzyk pierwszy dziecka — tyś istnieć przestała.

II

Lecz tego dusza znieść nie zdoła,
 Że nie ubyło słońca lśnienia,
 Że jak za dni twych, wiąź dokoła
 Zegary idą i dzwon woła,
 Noc po dniu zbiega, po niej dzień;

Że, gdy mrok światłość gasi białą,
 Jak wprzód nas zbiera zmierzchu znak,
 Że, gdzie twe krzesło ongi stało,
 Inni dziś tłoczą się nawala,
 I nie znać już, że ciebie brak;

A tam, skróś krat grobowca, błada,
 Wątła, miesięczna, srebrna nić
 W podziemie twoje się zakrada
 I na twej trumnie cicho siada,
 I widziadłanie zda się żyć.

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

DLA MOICH SYNÓW

Nie chciej prawdy kryć pod kocem:
 Ból z niej, lecz nie skrucza płynie;
 A że prawda ma być perłą,
 Więc nie rzucaj jej przed świnie.

Gdzie o rękę córy wdzięcznej
 Prosić nie miałbyś śmiałości —
 Bądź za dumny, by w tym domu
 Bywać jednym z miłych gości.

Kwieciem serca szlachetnego
 Jest pobłażliwości cnota;
 Lecz orzeźwia nas, jak burza,
 Nieraz też bezwzględność złota.

Nie szczędź trudów, gdy przyświeca
 Tobie cel zasługi szczerzej,
 Lecz uchwaj duszę swoją
 Przed zrobieniem wlot karjery.

Rubasznosci i grubiaństwu
 Nie omieszkaj stawić czoła;
 Uprzejmostek i ugrzecznień
 Nie racz zauważać zgoła.

Kiedy wokół złotych cielców
 Czerń wszelaka się kolebie,
 Zapamiętaj, że masz z życia
 Koniec końców — tylko siebie.

Tłum. Alfred Tom.

GOTTFRIED KELLER

(1819—1890)

Z «ZIEŁONEGO HENRYKA»

...Natychmiast zauważyłem, że w naszym pokoju zaszła drobna zmiana. Przy ścianie stała kanapka, kupiona przez matkę za tanie pieniądze od pewnego znajomego, który nie miał gdzie podziąć tego sprzętu; był to przedmiot jak najzwyklejszy, o lekkiej budowie, przepleciony jedynie białą i zieloną słomą, a przecież wcale porządny mebel. Ale na kanapce tej leżał okazały stos książek, coś koło pięćdziesięciu tomików, a wszystkie były jednakowo oprawne i zaopatrzone na grzbiecie w czerwone szyl-dziki ze złotymi tytułami oraz wielokrotnie związane mocnym sznurem. Były to dzieła zbiorowe Goethego, przyniesione mi z propozycją obejrzenia ich i kupna przez pewnego tandeciarza, który zapomocą starych książek i poźółkłych kart miedziorytniczych zwykł był wciągać mnie w przedwczesne lekkie zadłużenie. Przed kilku laty niemiecki

czeladnik stolarski, naprawiający coś młotkiem w naszej izbie, podczas roboty rzekł przypadkiem: «Wielki Goethe umarł», a słowa te coraz to jeszcze brzmiały w mych uszach. Nieznajomy zmarły kroczył przez wszystkie niemal zajęcia i podniety, a zewsząd ciągnął ku sobie zadzierzgnięte nici, których końce ginęły w jego dłoni niewidzialnej. Jakgdybym teraz wszystkie te nici miał razem w niezgrabnym węźle sznura, okręcającego książki, rzuciłem się nań i zacząłem go śpiesznie rozwiązywać, a gdy się wreszcie rozluźnił, wówczas złote owoce osiemdziesięcioletniego żywota rozleciały się jak najcudniej, pokrywając kanapę i spadając poza jej brzeg na podłogę, tak iż pełno miałem pracy dla obu rąk, by przytrzymać całe to bogactwo. Od tej chwili nie oddaliłem się już od kanapki i czytałem w ciągu czterdziestu dni, gdy tymczasem raz jeszcze nadeszła zima, a po niej znów wiosna; lecz biały śnieg minął dla mnie jak sen, którego blaski widziałem z boku, bez zwrócenia nań uwagi. Sięgnąłem najpierw po wszystko, co w druku odznaczało się jako dramatyczne, potem czytałem kilka rzeczy rymowanych, później — powieści, dalej «Podróż do Włoch», a gdy następnie prąd zabląkał się w prozaiczne obszary codziennej pilności poszczególnych trudów, zostawiłem ciąg dalszy i zacząłem od początku, a tym razem odkryłem całe te gwiazdozbiory w ich pięknych położeniach względem siebie, w pośrodku zaś samotne błyszczące osobliwie gwiazdy, jak Reineke-Lisa lub Benvenuta Celliniego. Tak oto raz jeszcze przebiegłem to niebo i wiele rzeczy czytałem znów dwukrotnie, a naostatek odkryłem jeszcze całkiem nową jasną gwiazdę: Zmyslenie i Prawdę. Skończyłem to właśnie, gdy wszedł do pokoju przekupień, by się dowiedzieć, czy zatrzymam książki, bo nadarzył się jakiś inny nabywca. W tych warunkach za skarb ten trzeba było zapłacić gotówką, co narazie przechodziło moją możność. Matka widziała wprawdzie, że był on dla mnie czemś ważnym, ale czterdziestodniowe moje leżenie i czytanie uczyniło ją niezdecydowaną, wobec czego człowiek ów wziął swój sznur, związał książki, zarzucił pakę na plecy — pożegnał mnie i wyszedł.

Cały, rzekłbyś, zastęp błyszczących i śpiewających duchów opuścił pokój, który też nagle wydał się cichy i pusty; zerwałem się, spojrzałem za siebie — i mniemałbym, że w grobie, gdyby nie miły szmer, spowodowany szydełkami matki. Wyszedłem z domu; stare miasto górskie, skały, las, rzeka i jezioro, i wzgórze wielokształtne leżały w łagodnym świetle marcowego słońca, a kiedy wzrok mój ogarniał to wszystko, odczuwałem czyste i trwałe zadowolenie, jakiegom nie zaznał nigdy przedtem. Była to pełna oddania miłość wszystkiego, co powstało i trwa, miłość, która czerpie prawo i znaczenie każdej rzeczy i odczuwa związek i głębię świata. Miłość taka stoi wyżej niż owo — w celu interesownym — artystyczne wykradanie szczegółów, prowadzące koniec końców zawsze do małostkowości i kaprysów, wyżej też stoi od używania i wyodrębniania według nastrojów i romantycznego miłośnictwa, ona też jedna tylko potrafi użyć równomiernego i trwałego żaru. I otóż wszystko a zawsze zdawało mi się nowe, piękne i pamiętne, i zacząłem dostrzegać i kochać nie tylko formę, lecz również treść, istotę i historję wszelkich rzeczy.

Tłum. Alfred Tom.

Z «LEGENDKI O TAŃCU»

...W niebie był właśnie dzień wielce uroczysty; w uroczystości zasię, czemu wprawdzie przeczy święty Grzegorz z Nyssy, czego zato broni ów z Nazjanzu, było we zwyczaju — zapraszać dziewięć muz, siedzących zwykle w piekle, i do nieba je wpuszczać, żeby tutaj były w czemś pomocne. Otrzymywały dobrą strawę, po załatwieniu jednak rzeczy musiały wracać na dawne miejsce.

Gdy więc tańce oraz śpiewy i wszystkie ceremonje się skończyły, a zastępy niebieskie do stołu zasiadły, Muzę usadowiono tam, gdzie obsługiwano też dziewięć muz. Siedziały niemal ze nieośmielone, a ciasno do siebie przysunięte, spojierając wokół siebie ogniem swych czarnych lub ciemnoniebieskich oczu. Zabiegliwa Marta z Ewangelji we własnej osobie krzątała się koło nich; opasana była najładniejszym swym fartuszkim kuchennym i miała na podbródku drobną śliczniutką plamkę sadzy, a wciąż uprzyjmię częstowała muzy dobrymi rzeczami. Lecz dopiero, gdy podeszły święta tan-

cerka Muza, jako też święta Cecylja i inne jeszcze biegle w sztukach pięknych niewiasty i, weselo pozdrowiwszy trwożliwe Pierydy, przysiadły się do nich, muzy odtajały, nabrały zaufania, i rozwinęła się w tem kółku niewieściem jakaś wdzięku pełna radość. Muza siedziała obok Terpsychory i Cecylji między Polihymnją a Euterpe, wszystkie zaś trzymały się za ręce. Aż oto pokazały się też małe chłopiątka-muzykanci i zaczęły przymilać się i przypochlebiać pięknym paniom, iżby otrzymać coś z błyszczących tych owoców, które promieniały na stole ambrozyjnym. Przyszędł nawet sam król Dawid i przyniósł puchar złoty, z którego dał pić wszystkim, aż błoga radość rozgrzała ich serca; z upodobaniem przeszedł się dokoła stołu, przyczem nie omieszkał miłutkiej Erato przez chwilkę mimochodem głasnąć po twarzy. Kiedy więc w tym sposobie górnie się działo za stołem muz, zjawiła się nasza Miłościwa Pani w całej swej piękności i dobroci, usiadła na godzinkę kolo muz — i wzniosła Uranję pod wieńcem jej gwiazdzistym czule w usta pocałowała, gdy ta szeptem rzekła jej na pożegnanie, że spokoju nie zazna, dopóki muzy nie będą mogły na zawsze pozostać w raju.

Stało się jużci inaczej. Aby odwdziżyć się za okazaną dobroć i laskawość, a również ujawnić dobre swoje chęci, muzy, uradziwszy to między sobą, w odległym zakątku podziemnego świata nauczyły się jakiegoś hymnu pochwalnego, któremu usiłowały nadać formę przyjętych w niebie uroczystych chorałów. Podzieliły się na dwie połowy po cztery głosy w każdej, nad wszystkimi zaś Uranja niejako prym trzymała, a w ten sposób przygotowały osobliwą muzykę wokalną.

Gdy więc obchodzono w niebie następną uroczystość, a muzy znów służbę swoją pełniły — upatrzywszy chwilę, która wydawała im się dla ich zamierzenia pomyślną, ustawiły się razem i zaczęły łagodnie śpiew swój, co niebawem wezbrał z całą mocą. Wszelako w tych przestworach brzmiał on tak posepnie, a nawet niemal ostro i zuchwale, przytem zaś tak był pelen tęsknot i skarg, że najpierw zapanowała trwoźna cisza, potem jednak ogarnęły wszystkich cierpienia ziemskie i tęskność jakać serdeczna, aż wszyscy społem płaczem wybuchnęli.

Nieskończone westchnienia z szumem powiały skroś niebios; zatrwożeni pośpieszyli tu gromadką starszyzna i prorocy, a tymczasem muzy w zaślepieniu swoim śpiewały coraz głośniejszy i melancholijniejszy, cały zaś raj ze wszystkimi patryjarchami, starszyzną i prorokami, ktokolwiek na łące zielonej szedł sobie albo leżał — wszyscy potracili głowy. Wkońcu jednak nadeszła sama Trójca Przenajświętsza, aby tu ład zaprowadzić i gorliwe muzy długo toczącym się grzmotem siarczystem zmusić do milczenia.

Wówczas spokój i stateczność powróciły do nieba; ale biedne dziewięć sióstr musiały je opuścić, i nie wolno im było odtąd progę jego przestąpić.

Tłum. Alfred Tom.

NOC LETNIA

Chwieją się wkoło lany zboża,
Zda się, wiatr toczy morskie fale;
W głębi cichego tego morza
Potworów, dziwów niema wcale;
Tam tylko kwiaty senne stoją,
Lekko je do snu wiatr kołysze...
Jak chciwie chwytam w duszę moją
Tej nocy letniej czar i ciszę!

Jest tam w rodzinnej mojej stronie
Zwyczaj, uświęcon już wiekami:
Gdy blask łagodny gwiazd zapłonie
W cichą, pogodną noc nad nami,
Wtedy po całym złotym łanie
Budzą się nagle szmery, głosy,
Migają, brzęczą sierpy, kosy,
Noc blaski swoje rzuca na nie.

To poszli chłopcy z wioski całej
W pole do nocnej tej roboty,
Zebrać gromadnie plon dośpiący
Ubogiej wdowy i sieroty.
Tym, którym w pracy nie pomoże
Dłoń silna ojca ani brata,
Ci dobrzy ludzie zezną zboże —
W pięknym uczynku ich zapłata.

Już ustawili snopów koło,
Gromadka żeńców z pola wraca;
Jak chwila zbiegła noc wesolo,
Zabawa była to, nie praca!
Już zorza wschód czerwieni zlekka,
Już śpieszy każdy z nich do domu —
Nie wolno spocząć w dzień nikomu,
Bo zwykły, ciężki trud nań czeka.

Tłum. Czesław Jankowski.

W POSEPNEM, BEZNADZIEJNEM TĘTNIE...

W posepnem, beznadziejnem tętnie
Zimowych, mroźnych, mrocznych dni
Z myśli wyгнаłem was doszczętnie,
Nieśmiertelności złudne sny.

Dziś, kiedy pała, gore lato,
Widzę, żem słuszność wówczas miał;
Zwieńczyłem serce znów bogato,
Lecz w grobie legł urojen szal.

Jasnej mię rzeki niosą fale,
Dłoń mi chłodząco muska prąd;
Okiem w lazurów tkwią kryształe —
Gdzież ojczyzn lepszych szukać stąd?

Dopiero dziś pojmuję ciche
Twe pozdrowienie, liljo wód!
Wiem, mimo ogni wewnętrznych pychę
Żem, tak jak ty, znikomy płód.

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

CICHA CHWILA

Roku ty, w wonnych mknący szatach
Po wieczornych wód szkarłatach —
Drogi swej dobiegasz już;
Ot, widzisz mnie nad leśnym stawem,
Gdzie między zwiędłym liściem rdzawem
Milczący labędź ciągnie wzdłuż.

Samotny, cichy skrzydła rozwija —
Zanurza się pod wodę szyja —
Wznosi ją, słucha pełen dum;
Raz jeszcze nurza się, prostuje,
A potem znowu się wsluchuje
W sitowia szepczącego szum.

Patrzę na jego obyczaje —
I, jak w śnie, mi się wydaje,
Że to własna dusza ma,
Co — zdziwiona bytowaniem,
Zanikaniem, powracaniem —
Patrząc i słuchając, trwa.

Spokój ten, ten dosyt błogi —
Sam wśród cichej tej rozłogi —
Żwawo pełnym haustem chłoń!
A gdyś siebie odczuł jasno,
Niech godziny twoje zgasną,
Jak — spojrz: labędź zapadł w ton!

PIEŚŃ WIECZORNA

Oczy, lube okieneczka moje,
Tak się dawno waszem światłem poję,
Przepuszczacie miłych zjawisk roje —
Kiedyś skryją was ciemności zwoje.

Gdy powieki ciężkie mi opadną,
Dusza, troską nie nękana żadną,
Już zakończy tę wędrówkę ładną,
Do swej trumny ciemnej zstąpi na dno.

Jeszcze skierka jedna — druga płonie,
Jak dwie gwiazdki, tam po wewnętrznej stronie;
Aż rozchwianą wkońcu mrok pochłonie,
Jak gdy motyl skrzydełkami wionie.

Lecz w wieczornem polu mnie, jak brata,
Jeszcze zorza żegna dziś bogata:
Pijcie, oczy, co na rzęsę włata —
Z całej złotej obfitości świata!

Tłum. Alfred Tom.

THEODOR FONTANE

(1819—1898)

NA RIBBEKU IMĆ RIBBEK, DOBRY PAN

Na Ribbeku imć Ribbek, dobry pan,
 Z wielkiej w ogrodzie swym gruszy był znan.
 A jak nadszedł złotej jesieni czas,
 I w krąg łśniły się gruszki pełne kras:
 Gdy na wieży południe wybił dzwon,
 Pan kładł w obie kieszenie słodki plon
 I, gdy chłopiec przechodził, «Śpiesz się, śpiesz»,
 Wołał, «chłopczyku, pewno gruszkę chcesz?»
 A jak dziewczynka, wołał: «Spójrz, co mam!
 Chodź tutaj, małeńka, gruszkę ci dam».

Tak trwało lat wiele; aż syty chwał
 Na Ribbeku imć Ribbek umierać miał.
 Czuł bliskość zgonu. Jesieni był czas,
 Znow gruszki wdał śmiały się pełnią kras.
 Wtedy rzecze pan Ribbek: «Konam już,
 Synu mój, gruszkę do grobu mi włoż».
 I pan na Ribbeku po trzech już dniach
 Wyniesion był z domu pod inny dach.
 Kmiotkom jaśniała uroczyście twarz
 Przy śpiewie: «Dobry Jezu, Panie nasz...»
 A malec każdy w rozrzewnieniu lka:
 «Już umarł! Kto teraz gruszek nam da?»

Tak dziatki biadały — niesłusznie snadź:
 Winny były Ribbeka lepiej znać.
 Ten nowy jużci jest powodem skarg:
 W zamknięciu trzyma i gruszę, i park;
 Lecz stary, z mroźnych uśmiezków i drwin
 Już przeczuwając, jaki będzie syn,
 Wiedział, co czyni, gdy — śród skonu prób —
 Rozkazał gruszkę włożyć sobie w grób,
 Skąd po upływie trzech bezmała lat
 Latarośl świeża gruszy wyrzy w świat.

I lata-ci płyną, za rokiem rok —
 Nad mogiłą grusza już nęci wzrok.
 I znow w jesieni dobry, złoty czas
 Błyszczą się gruszki pełnią swoich kras;
 I chłopię, mknące śród cmentarnych ścież,
 Słyszysz szept w drzewie: «Pewno gruszkę chcesz?»
 A dziewczynka szept słyszy: «Spójrz, co mam!
 Chodź tutaj, małeńka, gruszkę ci dam».

Tak z szczodrej swej dłoni ciągle jest znan
 Na Ribbeku imć Ribbek, dobry pan.

Tłum. Alfred Tom.

BARBARA ALLEN

Jesień to była w zmienności kras,
 Gdy liście krwawią się, złocą...
 Wtedy John Graham z miłości był
 Ciężką złożony niemocą.

Do lady Allen więc laufer biegł
 I przybiegł do niej, i powie:
 «Mój pan, John Graham, z miłości mrze —
 Pójdź, lady, powróć mu zdrowie».

Barbara Allen do zamku szła,
Aż przed chorego posłanie;
Spojrzy na niego i rzecze mu:
«Kazałeś wołać mnie, panie...»

«O, lady, jesień naszła mnie więc —
Liście czerwienią się, złoćą...
Nie mi nie powiesz, widząc, żem tak
Śmiertelną chory niemocą?»

«Johnie Grahamie, to mam ci rzec,
A słuchaj dobrze, co powiem:
Pamiętasz? hojnie darzył cię los
Weselem, szczęściem i zdrowiem.

«Chociaż dziś miłość oznajmiasz mi,
I może mówisz nieklamnie —
Ja cię kochałam bardziej — w on czas,
Kiedy ją miałaś — nie dla mnie.

«Lecz w ruchu życia kołowrót jest;
Więc komu smutek, a komu —
Odplątą gorzkich nocy i dni —
Radość i szczęście dziś w domu».

Odeszła. Nagle słyszy: śród pól
Żalobnie spiż się rozdzwięczy;
Rzekła: «To po nim — i po mnie też
Ten dzwon zawodzi i jęczy.

«Kochana matko, loże mi ściel —
A niech jesiony go strzegą;
John Graham umarł, a jutro ja
Umrę z miłości dla niego».

Tłum. Tad. Newlin-Wagner.

TAK, CHCIAŁBYM TEGO JESZCZE DOŻYĆ

Właściwie to mi wszystko jedno —
Ten stał się bogaczem, tamta biedną...
No, ale Bismark — co ten może stworzyć?
Czegoś z Bismarkiem — chciałbym jeszcze dożyć.

Właściwie wszystko kręci się wkoło,
Dzisiaj smutno, jutro wesoło,
Wiosna i lato, jesień i zima —
Ach, dużo to w tem sensu niema.
Ale mój wnuczek — śnać Boża wola —
Pierwszego ma iść do przedszkola
I za jakieś dwa tygodnie
Przed się z teczką ruszy godnie,
Bibułę muszę mu w zeszyt włożyć —
Tak, chciałbym tego jeszcze dożyć.

Właściwie wszystko niczem jest na dnie,
Dzisiaj się trzyma, a jutro padnie,
Wszystko zamiera, któż zaprzeczy:
Maleje wartość ziemskich rzeczy;
Ale choć, spuszczałając z tonu,
Pragniemy coraz mniej — do zgonu
Coś nie przestaje w nas gaworzyć:
Tak, chciałbym tego jeszcze dożyć.

Tłum. Alfred Tom.

KONRAD FERDYNAND MEYER (1825—1898)

STOPY W OGNIU

Dreszcz błyskawicy. W płowem świetle — wieża.
Grzmi. Jakiś jeździec walczy z swym rumakiem.
Zeskoczył, w bramę tłucze. Płaszcz mu szumi
W wichurze. Trzyma za uzdę gniadosza.

Wąskie za kratą okno lśni złościście.
 Z chrzęstem otwiera wrota sam wielmoża.
 — «Królowi służę, wysłanym za gońca
 Do Nimes. Przyjmcie mnie! Znan wam strój królewski!»
 — «Burza! Tyś gość mój. Suknia — co mi do niej.
 Wejdz, proszę, ogrzej się! Koniem się zajmę!»
 Do ciemnej wchodzi antenatów sali;
 Słabo oświetla ją ogień kominka,
 A przy kapryśnym jego migotaniu
 Tu hugonot w pancerzu grozi, tam twarz
 Magnatki dumnej — z mroku malowideł...
 Jeździec na fotel pada przed ogniskiem
 I w żar spogląda. Duma, przypomina...
 Lekko jeży się włos. Zna żar, tę salę
 Zna. Syczy płomień. Dwie stopy drżą w ogniu.

Stół śnieżno-białym szafarka sędziwa
 Obleka płótnem. Panienska pomaga.
 Chłopczyk dzban wina przynosi. Wzrok dzieci
 W grozie na gościa, to na komin pada...
 Znow syczy płomień. Dwie stopy drżą w ogniu.

— Do licha! Ten sam herb! Ta sama sala!
 Przed laty trzema... Połów hugonotów...
 Wytworna, harda pani... «Gdzie skrył się? Mów!»
 Milczy. Ja: «Wyznaj!» Toż. «Wydaj go!» Milczy.
 Wściekam się. Co za duma! Szarpię biedną...
 Bose jej stopy chwytam i w sam środek
 Żaru je wlokę... «Wydaj go więc!»... Milczy...
 Wije się — — Herbu nie widzieć na bramie!
 Kłóż ci tu w gości kazał przybyć, głupcze?
 Udusi ciebie, gdy ma krwi choć kroplę. —
 Wchodzi wielmoża. «Śniesz? Do stołu, gościu»...

Usiedli. Troje w czarnych szatach — i on.
 Lecz z dzieci żadne modlitw nie odmawia.
 Na niego patrzą wytrzeszczonem okiem —
 Napelnia puhar, przelewa, wychyla,
 Zrywa się: «Panie, łóżka mi użycie,
 Zmęczonym, jak pies!» Służący mu świeci;
 Lecz on na progu odwraca się — widzi,
 Jak chłopczyk ojcu szeptem coś do ucha...
 Stania się, wiedzion do izby wieżowej.

Drzwi zaryglował. Bada miecz, pistolet.
 Groźnie wiatr świszczę. Jęk pod nim i nad nim.
 Coś trzeszczą schody... Jakieś kroki?... Kto tu?...
 Ucho go ludzi. Tak północ przemi a.
 Ołowiem ciężą mu powieki, pada,
 Śpiąc, na postanie. Za oknem deszcz pluszcze.

Śni. «Wyznaj!» Milczy. «Wydaj mi go!» Milczy.
 Szarpie niewiastę. Dwie stopy drżą w ogniu.
 Bucha i syczy żar, aż go pochłania...
 — «Ocknij się! Dawnoś miał odjechać. Dnieje!»
 Dzwiami tajnemi wszedłszy do komnaty,
 Przed łóżem stoi zamku pan — lecz siwy,
 Choć wczoraj kruczy włos po czole splotwał.

Konno wśród lasu jada. Wiatr nie wieje.
 Zdarte gałęzie leżą wpoprzek ścieżki.
 Ptaszęta wczesne ćwierkają wpółsennie.
 Ciche obłoczki płyną skroś powietrze,
 Jakby anieli z czat wracali do dom.
 Ciemne zagony tchną zapachem ziemnym.
 Równia otwiera się. Pług sunie polem.
 Jeździec czatuje ócz kącikiem: «Panie,
 Roztropnym mężem-ście, pełnym rozwagi,
 Wiecie, żem króla największego własność.
 Żegnam. Już nigdy nie ujrzę was!» Ów rzekł:
 «Prawdęś powiedział! Własność króla! Ciężka
 Służbę dziś miałem! Zabiłeś mi żonę —
 A żyjesz!... Zemsta, mówi Bóg, jest moja».

ŻAGWIE GÓR

Jakież tętnienie w sercum czuł,
 Choć rześko wędrowałem wdół —
 Gdy, odwrócony, śnieżne te
 Ujrzałem góry w sinej mgle —
 Jaśnienie wielkie, ciche!

Nie pysznię się ojczyzną swą,
 A całem sercem kocham ją!
 Toż każdy wiersz mój, cały był
 Przepaja ten wyżynny świt —
 Jaśnienie wielkie, ciche!

Jak wśród rozboju, śpiesznie żył,
 Wdychając ulic miejskich pył
 I rynków ziew. Widziałem bój.
 Co mówisz na to, blasku mój —
 Jaśnienie wielkie, ciche?

Cóż mogę ja ojczyźnie dać,
 Nim pójde stąd, by w ziemi spać?
 Co przetrwa mej mogiły cieśń?
 Być może — słowo, może — pieśń:
 Jaśnienie małe, ciche!

PODRÓŻNY KUBEK

Wczoraj, w szafie porządkując, wśród starzytnym znalazł różnej
 Przekazany mi od ojca — pierwszy kubek mój podróży.
 Kiedym, nucąc sobie zcicha, kurz zeń ścierał dookoła,
 Zdało mi się, że wiatr górski siwy włos mój wznosi z czoła,
 Zdało się, że pachną niwy, kędym drzemał w letnie znoje,
 Że te wszystkie, z których piłem na wędrowkach, szumią zdroje.

STUDNIA RZYMSKA

Wytryska i opada zdrój
 Do marmurowej misy wbród,
 Która, wzbierając, nadmiar swój
 Na drugiej misy sączy spód;

A druga zbytek wodnych mas
 Do trzeciej, wrąc, przelewa dna:
 I każda bierze, dając wraz,
 I mknie a trwa.

Tłum. Alfred Tom.

CHÓR ZMARŁYCH

My zmarli, my zmarli — nas więcej w przestworzu,
 Niż was tam na ziemi, niż was tam na morzu!
 My pola orali i sieli cierpliwie,
 Wam sierpy i kosy wystarczą przy żniwie,
 Co my dokonali, co my ongi wszczęli,
 To kipi wciąż jeszcze w życiowej topieli;
 Wsze nasze miłości i waśnie, i zwady
 Wrą wciąż jeszcze w żyłach śmiertelnej gromady,

A cośmy odkryli spraw, zasad, wartości,
 To całej ludzkości wciąż tor ziemski mości,
 A nasze poezje, obrazy i dźwięki
 Wciąż laury odnoszą w skrach każdej jutrzeńki.
 Szukamy wciąż jeszcze, gdzie ludzkie są cele —
 Więc czujcie, pomnijcie! Bo nas tu jest wiele!

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

JOSEPH VICTOR SCHEFFEL

(1826—1886)

Z «TRĘBACZA Z SÄKKINGEN»

Pieśń Wernera

Tak to już w życiu składa się szkaradnie,
 Że się wśród róże zawsze cieni dostanie;
 Co bądź się zdarzy, co i jak wypadnie,
 A wkońcu zawsze musi przyjść — rozstanie.
 W twych oczach nigdyś, oczarowan niemi,
 Miłość i szczęście jam wyczytać śmiał:
 Bóg z tobą! raj to, raj byłby na ziemi...
 Bóg z tobą, dziewczę, los inaczej chciał!

Cierpień, goryczy zaznałem dowoli,
 Z życia burzliwej wędrówki przychodzę —
 O cichej, błogiej już marzyłem doli,
 Gdym oto ciebie spotkał na swej drodze.
 I uzdrowiony pieścizotami twemi,
 Życiebym swoje w ofierze ci dał...
 Bóg z tobą! raj to, raj byłby na ziemi...
 Bóg z tobą, dziewczę, los inaczej chciał!

Chmur pędzą ślada, wicher drzewa schyla,
 Deszcz smaga liście, straszno w krąg i ciemno;
 Dla pożegnania właśnie dobra chwila,
 Szary — jak niebo — cały świat przede mną.
 Lecz gdzie bądź pójdę, drogami jakimi,
 Zewsząd ku tobie będę myśli stał!
 Bóg z tobą! raj to, raj byłby na ziemi...
 Bóg z tobą, dziewczę, los inaczej chciał!

Tłum. Czesław Jankowski.

HISTORJA PROROKA JONASZA

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
 (Z biblii tę powieść wziętem)
 Pił pewien prorok przez dni trzy,
 Aż strąbion legł pod stołem.

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
 Rzekł szynkarz: «Niech go kaci!
 Ten prorok pije, tak jak szewe,
 A kto wie, czy zapłaci?»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
 Rzekł szynkarz do kelnerek:
 «Azaliż jaki ma ten mąż
 Pakunek lub kuferek?»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
 Starsza kelnerka powie:
 «Zaprawdę, mąż ten goły jest,
 Jak wszyscy prorokowie!»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
Rzekł szynkarz do rzezańca:
«Hej, spisać mi rachunek dla
Bożego pomazańca!»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
Rzezańiec, w rzeczach biegły,
Włot kliny rylcem żłobić jał —
Cztery zapisał cegły.

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
Śle szynkarz dwa murzyny:
«Nieście do wieszca cegły te,
Niech włot te czyta kliny!»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
Skoro wieszcz cegły zoczy,
Klinem mu kliny wlaży w łeb,
Zawstydzon, spuścił oczy.

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
Tak wyznał prorok z żalem:
«Wždy jam ostatni przepił sykl
U Mortka w Jeruzalem».

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
Wpadł szynkarz w gniew w tej chwili
I rozkaz dał murzynom, by
Proroka wyrzucili.

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!
Nic wieszczów nie szanują,
I płacić musi, kto chce pić —
Nikommu nie borgują!

Tłum. Włodzimierz Zagórski.

ROBERT HAMERLING

(1830—1889)

Z «AHASVERUSA»

(Postać Żyda wiecznego tułacza, za czasów Nerona, zjawia się wśród chrześcijan i wyjaśnia swe posłannictwo.)

...Pierworodnym synem

Ja — niezrodzonych, stworzonych; jam pierwszą
Jest latoroślą pierwszej pary w świecie.
Pierwsze na ziemi ludzkie jestem dziecie
I pierwszym byłem tu rokoszaninem.
Mną dzieje świata zostały otwarte,
Krwawo ich pierwszą zapisałem kartę.
Mnie to wprowadzić na świat było dano
Śmierć w nim nieznaną ani przeczuwaną;
Wybiłem bramę jej przez serce brata...
Wpadła — i odtąd grasuje, jak jędzą;
Jej niewolnikiem, co żywe wśród świata,
Mnie tylko — żem ją wwiódł na świat — oszczędza,
Na dank, na karę...

Jak długo jeszcze tlić będzie wśród cienia
Ludzkiego ducha to nieugaszone,
Ciche, w tajemnic spowite zasłonę
Pragnienie śmierci — będące tem iście,
Co i najwyższe życia upragnienie;
Przebijające się nawskrós wiczyście
Przez wszystkie bytu ludzkości przemiany,
Nie znajdujące tu zadowolenia,
Wiecznie do mety ostatniej, nieznanej
Dążące? O tak, każdemu stworzeniu
W wiecznej tęsknocie tutaj żyć kazano
Do ukojenia, — jakiegokolwiek miano
Nadaje mu w swem gorącym westchnieniu:

Doskonałością czy je zwie, czy Bogiem,
 Niebem czy szczęściem! I do celu tego,
 Do ukojenia celu ostatniego,
 Duch ludzki dąży z ciągłym niepokojem.
 Jednostka może znaleźć ostatecznie
 To ukojenie — w łonie śmierci blogiem,
 Lecz ludzkość musi żyć i dążyć wiecznie,
 I walczyć! — Tej zaś męczarni ludzkości —
 Która wśród wszystkich zmian swego istnienia
 Wiecznej tęsknoty nie może uciszyć,
 Znaleźć spoczynku ni zadowolenia —
 Przez lat tysiące długich towarzyszyć:
 To jest okropnem przeznaczeniem mojem!

Tłum. Władysław Ordon.

Z «LABĘDZIEGO ŚPIEWU ROMANTYZMU»

Raz mi jeszcze otwórzcie, o, poezji zdroje,
 Z głośnym szumem i pluskiem złote źródło swojej!
 Raz jeszcze rozwiń skrzydła, o, pieśni omdlała,
 Raz jeszcze zadźwięcz, lutni, pod ręką, co pała!

Cicho wskrós duszy mojej wieje śpiew labędzi...
 Pragnieniem drży powietrze, tęsknota mnie pędzi
 Z ciasnej i dusznej izby swą dłonią liljową
 Tam wdał, gdzie sny czarowne wschodzą mi nad głową.

Z wieży świętego Marka dzień zsuwa się złoty.
 A jak nad lagunami mewy trwożnej loty,
 Tak nade mną twe pióra, melancholjo, wieją...
 O, Wenecjo! Ty jesteś morza Loreleją!

Pijany bóstwem, klęczę przed lotosu kwiatem,
 Ja sam kwiat nieśmiertelny, i nad sennym światłem
 Z fal Gangesu mój kielich podnoszę w noc jasną,
 I z wonią Indostanu mieszam duszę własną...

Nad Nilem czytam księgi granitowej głoski,
 Wpisane w skał odłamany, i dźwięk chwytam boski,
 Co porusza Memnona harfę jutrzrenkową,
 A prochy Sezostrysów wieją mi nad głową...

Na Etryjskiem pomorzu w rej wpadam, co wiedzie
 Młodzieńczego Bachusa, z muzyką naprzędzie,
 Z czarą wina i z kwieciami pasanemi biodry,
 Ku brzegom Grecji prując archipelag modry...

Zaś jak rycerz błyszczący za Okrągłym Stołem
 Artusa, siadam w zbroi i w hełmie nad czołem
 I w szrankach turniejowych nów miesięczny łamię,
 I ciągnę w Ziemię Świętą pod Golfryda znamię.

Miłością upojony, w trubadurów kole,
 Słucham, jak Wolfram pieśni wypuszcza sokole,
 I widzę, jak się tury podnoszą w błękity,
 I niebo mi rozbłyska, zakłęte w ich szczyty.

Tłum. Marja Konopnicka.

PAUL HEYSE

(1830–1914)

Z «L'ARRABBIATY»

...Znajdowali się na pełnym morzu, a wokół, jak wzrok sięgał, nie było widać zagła. Wyspę zostawili daleko za sobą, wybrzeże skąpane w słońcu majaczyło wod-dali; w pustce, jaka ich otaczała, nie jawiła się nawet mewa. Antonino obejrzał się wokół. Myśl jakaś opanowała go widocznie, bo zbladł nagle i opuścił wiosła. Mimo-woli spojrzęła nań Laurella z zaciekawieniem, ale bez śladu trwogi.

— Muszę z tem wszystkim raz skończyć — wybuchnął chłopak. — Trwa to za długo i dziwię się, żeś dotąd wytrzymał i nie szczeł marnie. Powiadasz, że mnie nie znasz! Czyżes mi się niedosć jeszcze napatrzyła, gdy krążył wkoło ciebie, pragnąc wypowiedzieć, co mam w sercu. Zawszes jednak robiła odpychające miny i obra-całaś się do mnie plecami.

— Cóż miałam z tobą do gadania? — odparła. — Widziałam wprawdzie, że chcesz się ze mną zapoznać, ale nie miałam nigdy ochoty dostać się na języki ludzkie, i to bez żadnej podstawy. Nie chcę zostać żoną twoją i wogóle nie chcę wcale zamaż wychodzić.

— Nie chcesz? Tak sądzisz teraz może, ale to nie potrwa długo! Cóż stąd, żeś odesłała z kwitkiem malarza? Byłaś dzieckiem jeszcze. Samotność da ci się jeszcze we znaki, a że jesteś szalona, weźmiesz pierwszego lepszego.

— Nikt nie zna przyszłości swojej — odparła — przeto, być może, zmienię za-patrywanie. Cóż to jednak może obchodzić ciebie?

— Co mnie to obchodzi? — krzyknął i zerwał się z ławki sterniczej, tak że łódź zachwiała się gwałtownie. — Czyż możesz tak mówić, wiedząc, co się ze mną dzieje? Zabilbym każdego, kto by uzyskał od ciebie więcej, niż ja!

— Skądże to prawo? Czym ci się przyobiegała? Czyżem winna, że ci się prze-wróciło w głowie?

— O — zawołał — nie spisał tych praw coprawda po łacinie żaden adwokat i nie opatrzył ich pieczęcią, wiem jednak, że mam do ciebie tyle prawa, co do nieba, gdzie się dostanę, jeśli będę wiódł żywot uczciwy. Czy sądzisz, że będę patrzył spokojnie, jak pójdiesz z innym do ołtarza, że pozwolę, by dziewczęta, mijając mnie, wrzyszały ramionami? Czy sądzisz, że zniosę tę hańbę?

— Czyń co chcesz! Nie dam się zastraszyć i uczynię również, co zechcę.

— Niedługo tak będziesz mówił! — zawołał, drżąc na całym ciele. — Jestem o tyle mężczyzną, by nie pozwolić sobie psuć życia przez upartą jak ty dziewczuchę. Czy wiesz, że jesteś tu w mojej mocy i uczynić musisz, co zechcę?

Drgnęła lekko i błysnęła ku niemu oczyma.

— Zabij mnie, jeśli śmiesz! — powiedziała z wolna.

— Nie należy niczego czynić połowicznie! — odparł chrapliwym głosem. — Dość miejsca w morzu dla nas obojga! Niema rady, dziecko — powiedział tonem litosnym niemal i jakby przez sen — musimy się tam znaleźć oboje razem, i to natychmiast! — krzyknął przeraźliwie i chwycił ją oburącz. Ale w tejże chwili cofnął prawą rękę, gdyż uczył straszliwe ukąszenie.

— Okaże się, czy muszę uczynić, co chcesz! — zawołała, odtrącając go od siebie. — Okaże się, czy jestem w mocy twojej! — To rzekłszy, skoczyła z łodzi i znikła momentalnie w głębinie.

Wyplynęła zaraz na powierzchnię. Spódnica owinęła się kolo jej ciała; włosy, rozplecione przez fale, splywały po karku. Silnie pracowała ramionami, kierując się w stronę wybrzeża. Nagły strach obezwładnił go i odebrał mu zmysły. Stał w barce, pochylony naprzód, ze wzrokiem tępo w nią utkwionym, jakby patrzył na cud. Potem wstrząsnął się, pochwycił wiosła i pchnął łódź z całą siłą w jej kierunku, nie bacząc, że krew splywa ze skaleczonej ręki, barwiąc dno statku.

Mimo że płynęła szparko, za chwilę znalazł się przy jej boku.

— Na Madonnę błagam cię — zawołał — wróć do łodzi! Byłem szaleńcem. Bóg

wie, co mi omroczyło zmysły. Piorun spadł z nieba, mózg mi poraził i nie wiedziałem, co czynię i mówię. Nie chcę nawet, byś mi przebaczyła, Laurello, pragnę jeno ocalić życie twoje. Wracaj do łodzi!

Płynęła, jakby nie słyszała słów jego.

— Nie dopłyniesz, bo jeszcze dwie mile do brzegu! — zawołał znowu. — Wspomnij matkę swoją. Umarłbym z przerażenia, gdyby ci się zdarzyło nieszczęście.

Zmierzyła spojrzeniem odległość wybrzeża, potem, nie odpowiadając wcale, skierowała się ku barce i chwyciła się jej rękoma. Wstał, by jej pomóc. Kaftan jego, leżący na ławce, zesunął się w wodę w chwili, gdy łódź, obciążona jednostronnie ciężarem wsiadającej dziewczyny, pochyliła się na bok. Laurella wspięła się zrzęcznie i po chwili zajęła poprzednie swe miejsce. Widząc, że jest bezpieczna, chwycił za wiosła, ona zaś wyciskała wodę z odzieży i włosów. Spojrzenie jej padło na dno łodzi i zobaczyła krew. Rzuciła szybko oczyma na jego rękę, władającą wiosłem, jakby wcale nie była skaleczona.

— Masz! — rzekła, podając mu chustkę.

Potrząsnął jeno głową i wiosłował dalej. Wstała, przystąpiła do niego i przywiązała mu rękę, w której była głęboka rana. Potem wzięła, mimo oporu z jego strony jedno wiosło, siadła naprzeciw i, nie patrząc nań, ale jeno na okrwawione wiosło dopomagała silnymi pchnięciami pędzić barkę. Oboje byli bladzi i niemi.

Tłum. Franciszek Mirandola.

FRIEDRICH NIETZSCHE

(1844—1900)

Z «TAKO RZECZE ZARATUSTRA»

O drogach twórcy

Chcesz, bracie mój, w osamotnienie iść? Chcesz drogi ku samemu sobie szukać? Uczyni zwłokę krótką i posłuchaj mnie.

«Kto szuka, łatwo sam się gubi. Każde osamotnienie jest przewinieniem»: tak oto mawia trzoda. A tyś długo należał do trzody.

Głos trzody długo jeszcze odzywać się w tobie będzie. I gdy nawet mówić poczniesz: «nie mam już z wami wspólnego sumienia», będzie to głosem skargi i bólem twym.

Bo zważ, ten ból nawet porodziło owo wspólne sumienie: tego sumienia ostatnie przeblyski żarzą się jeszcze w twym smętku.

Chcesz więc drogą tego smętku pójść, jako iż jest to droga do ciebie samego? Pokażże swe prawo i swe sily ku temu!

Czyś jest nową siłą i nowym prawem? Czyś jest nowym ruchem? Z siebie toczącem się kołem? Czy możesz zmusić gwiazdy, aby wokół ciebie krążyły?

Ach, tyle jest pochutliwości ku wyżynom! Bywa tyle pokurezy próżności! Pokaż mi, żeś nie jest z pożądlivych a próżnych!

Ach, jest tyle wielkich myśli, co są jako miechy tylko: nadymają i jeszcze bardziej puslymi czynią.

Zwiesz się wolny? Myśl, co tobą włada, usłyszeć pragnę, nie zaś — z jarzma jakiego umknąć się zdołałeś.

Czyś jest z tych, którym z jarzma umykać się wolno? Niejeden ostatnią swą wartość zaprzepaszczał, gdy odrzucał swą służebność.

Wolny od czego? Lecz cóż to Zaraturę obelodzić może! Jasno niech mi twe oczy zwiastają: ku czemu wolny?

Zali zdołasz nadać sobie swe zło i dobro i zawiesić wolę swą nad sobą, jako zakon? Zali potrafisz sędzią być sobie i mścicielem własnego zakonu?

Straszne jest to sam na sam z sędzią i mścicielem własnego zakonu. Tak zostaje wyrzucona gwiazda w przestrzeń pustą i w lodowate tchnienie osamotnienia.

Dziś jeszcze cierpisz z powodu wielu, ty jeden: dziś jeszcze masz całkowitą otuchę i nadzieje wszystkie.

Lecz przyjdzie czas, gdy cię umęczy samotność, gdy się twa duma nagnie, a otucha trzeszczeć pocznie. Wówczas krzyczęć poczniesz: «jestem sam!»

Przyjdzie czas, gdy nie dojrzyś swej wybujałości, zaś na swą niskość zbyt bliskiem okiem patrzeć poczniesz; nawet twa wzniosłość straszyc cię będzie, niby upiór. I krzyczęć będziesz kiedyś: «wszystko jest fałszem!»

Są uczucia, które samotnika zamordować pragną; gdy im się to nie udaje, wówczas same zamrzeć muszą! Zali zdobędziesz się na to, zdołasz być mordercą?

Zali poznałeś już, bracie mój, słowo «wzgarda»? Oraz męczarnię swego poczucia słuszości, gdy zechees być sprawiedliwym dla tych, co tobą gardzą?

Zmuszasz wielu, aby, zbywszy dawnych o tobie mniemań, uczyli się ponownie sądzić ciebie: ciężko ci to policzą.

Zbliżyłeś się do nich i minąłeś ich: tego ci nigdy nie wybaczą.

Wschodzisz ponad nich: lecz im wyżej się wspinasz, tem mniejszym widzi cię oko zawiści. Najbardziej jednak znienawidzeni bywają polotni.

«Jakżebyście wy zdołali oddać mi sprawiedliwość! — tak mawiać winienes — obieram sobie waszą niesprawiedliwość, jako mnie przypadający udział».

Niesprawiedliwość i brud miotają za samotnikiem: jednakże, bracie mój, jeśli gwiazdą chcesz być, musisz im mimo to świecić.

A strzeż się dobrych i sprawiedliwych! Oni zawsze radzi ukrzyżować tych, co własną sobie wynajdują cnotę — nienawidzą samotnika.

Miej się na baczości przed świętą prostodusznością! Wszystko, co nie prostoduszne, jest dla niej nieświęte; chętnie przytem ogniem ona igra, ogniem — stosu.

Wystrzegaj się porywów swej miłości! Zbyt szybko wyciąga samotnik rękę ku temu, kogo napotyka.

Niektórym ludziom nie wolno ci podawać dłoni, lecz łapę: chcę przytem, aby twa łapa i pazury miała.

Lecz najgorszym wrogiem, jakiego napotkać możesz, będziesz zawsze sam dla siebie; sam czyhasz na siebie po jaskiniach i lasach.

Idziesz, samotniku, drogą ku samemu sobie! Tuż obok ciebie droga twa wiedzie i tuż obok twych siedmiu djabłów!

Kacierzem będziesz dla siebie i czarownicą, będziesz i wróżbiarzem, i błaznem, i wątpicielem, i nieświętym, i złoczyńcą.

Winienes pragnąć, abyś się spalił we własnym ogniu: jak bowiem odnowić się chcesz, jeśliś się wprzód w popiół nie zamienił!

Idziesz, samotniku, drogą tworzącego: boga chcesz sobie stworzyć z siedmiu djabłów swoich!

Idziesz, samotniku, drogą miłującego: samegoś siebie umiłował i gardzisz przeto sobą, jak gardzą, którzy kochają.

Tworzyć pragnie kochający, jako że wzgardził! Cóż ten wie o miłości, który nie musiał gardzić tem właśnie, co ukochał!

Z miłością swą idź do samotni i z twórczością swą, o bracie mój; — późno powlecze się wreszcie za tobą kulawa sprawiedliwość.

I ze łzami memi idź do samotni, o bracie mój! Kocham tego, co ponad siebie samego tworzyć pragnie, i tak oto zanika. —

Tako rzecze Zaratustra.

Tłum. Wacław Berent.

Z «DYTYRAMBÓW DIONIZYJSKICH»

Znak ognisty

Tu, gdzie pośród mórz ostrów stromo wzrósł,
napiętrzony, jak oliarny głaz,
tu pod czarnem nieci sobie niebem
Zaratustra górne ognie swoje —
dla rozbitków znaki płomieniste,
wici dla tych, co odpowiedź mają.

Płomię ono o podbrzuszu szarem
 — w zimne dale pała żądzą swą,
 w coraz czystsze wyżnie szyję swoją gniew —
 nakształt węża niecierpliwie wspięte:
 znak ten oto stawilem przed sobą.

Moja dusza jest płomieniem owym:
 nowych dali wciąż niesyła,
 wgórze pała, wgórze, cichy ogień jej.
 Czemuż uszedł Zaratustra od ludzi i zwierza?
 Czemuż odbiegł wszystkim stały ląd?

Poznał on już samotności sześć —
 lecz mu nawet morze niedość jest samotne,
 wszedł na ostrów i płomieniem na górze się stał.
 Po siódmą samotność
 zapuszcza teraz sieć nad głową swą.

Rozbitki błędne! Szczęty dawnych gwiazd!
 Morza przyszłości! Niezbadane nieba!
 po wszechsamotność rzucam oto sieć:
 niecierpliwości ognia odpowiedzcie
 i mnie, rybitwie na wysokich górach,
 samotność siódmą, ostatnią pojmajcie! —

Tłum. Stanisław Wyrzykowski.

DETLEV VON LILIENCRON
 (1844—1909)

KAMRAT HULTAJ

Na czapce mej pióro, wśród zabaw mknie życie,
 Halli!

Post ani oszczędność nieznanne w mym bycie,
 Hallo!

Dać dziewczce przejść drogą? Porywa mnie śmiech!
 Gdzie bójka, w to graj mi! To przecie nie grzech!
 A jeśli pić trzeba, to piję za trzech!
 Halli i hallo!

Do djabła! dziewczyna mi przeszła przez drogę,
 Halli!

I z serca się teraz jej wyzbyć nie mogę,
 Hallo!

A miała niespełna szesnaście lat,
 W włos czarny wplatała czerwoną kwiat,
 Gdy szczebiotała, to śmiał mi się świat.
 Halli i hallo!

A miała jagody tak świeże, różowe,
 Halli!

Zębami gryźć mogła orzechy laskowe,
 Hallo!

Stroiła mi pokój w mak, jaskier i glóg,
 Co pośród tajemnych zbieraliśmy dróg.
 Jak za to do piersim ją cisnął, wie Bóg!
 Halli i hallo!

Z żółtego jedwabiu jej dałem sukienkę,
 Halli!
 Wyznała, że strasznie mnie kocha w podziękę,
 Hallo!
 A kiedyś kieszenie napelnił jej w mig
 Stosami cukierków, owoców i fig,
 To jadła dzień cały, nie dbając o szyk.
 Halli i hallo!

Cudownie nam razem czas cały upłynął,
 Halli!
 Pranałem, by nigdy, przenigdy nie minał,
 Hallo!
 Lecz rzecz ta ciążyła mi. Rzekłem więc stąd:
 Dla kupna wielbłądów polecił mi rząd
 Do Samarkand jechać — daleki to ład!
 Halli i hallo!

A gdym na rozstanie dał rękę mej małej,
 Halli!
 Hej: oczy jej lzy się gorzkiemi zalały,
 Hallo!
 I odtąd wciąż myślę przez cały ten czas,
 Że szorstko, okrutnie rozdzieliłem nas...
 Hej wina! do kata! a tu atut as!
 Halli i hallo!

Tłum. Leopold Staff.

ŚMIERĆ W KŁOSACH

W pszenicy, maku — w kłosach zbóż	Pragnienia męka, febry szal
Spoczywa żołnierz zapomniany;	Podnoszą mu w agonji szyję;
Dwa dni go już, dwie noce już	Ostatni obraz senny wstał —
Nieprzewiązane palą rany.	Zamglone oko wgórę bije.

Hen — w polu kłośnem kosa brzmi,
 Swą widzi wieś — jej trud i ciszę.
 Rodzinny świecie, żegnaj mi! —
 I głowę zwiesił — i nie dysze.

ŚWIĘTO ZWYCIĘSTWA

Trzepot sztandarów	Groby milczące,
I tłumy wciąż inne.	Zniszczenie, szkielety.
Wieniec rzucane	Wianki powiedle,
I śpiewy dziękczynne.	Samotne kobiety.

Uścisk gorący
 Po srogiej tęsknocie.
 Serca rozdarte —
 Przelanych lez krocie.

Tłum. Alfred Tom.

KARL SPITTELER

(1845—1924)

PIOSNKA O DZWONIE

Dzwonie, dzwonie srebrnousty,
 Zagadkowe są twe gusty:
 Z nietoperzem i puszczykiem
 Kryjesz się w ustroniu dzikiem;
 Skąd świąteczność ta w twym tonie?
 Kto cię śpiewać uczył, dzwonie?

«Kiedy szyb mnie krył głęboki,
 Spoglądałem w piekiel mroki;
 Tu z wysokiej jasnej wieży
 Widzę skroś ten powiew świeży:
 Ból, spowity w ducha tęczę —
 Cóż dziwnego, że tak dźwięczę?»

AURORA

Kiedy rosa z niebios mży,
 Mknie Aurora, sypiąc skry.
 Czyni w rannem lśnieniu gwiazd
 Na ponurą ziemię wjazd.
 Listki z trzech na piersi róż
 Sieje w krąg przy szumie zbóż.
 Czterokroć swe białe dłonie
 Ku nieb każdej zwraca stronie:

«Wiatry, przyjdźcie w lokach płasąć!
 Wszelkiem życiem trzeba wstrząsać!
 Korzeń winien zyskać chlubę,
 Dzielność każda ma zdać próbę!»

Lecą, pędzą głośną zgrają,
 Szturmem róże porywają,
 Ze zdobyczą kędyś bieżą
 Przez tę jasność ranną, świeżą;

Trącą korzeń, pień i mury —
 Czy też nie wytrzyma który;
 To wywróca zgnile próchno,
 Moc młodości w soki dmuchną.

Lecz Aurora, wznioślszy dłoń,
 Błogosławi całą bloń:
 «Co minęło, nie istnieje,
 Będzie żyw, kto ma nadzieję.
 Musi paść, kto gnuśny, kruchy —
 Bóg pozdrawia mężne duchy!»

TYLKO KRÓLEM

Konsul Cornelius Clemens rzecze: «Chcę,
 By z niewolników moich każdy pracę
 Dostawał wedle chęci i uzdolnień.
 Co robim chętnie, to i dobrze robim.
 Kto nie na miejscu swem, jest napół sobą.
 Najlepszy garncarz — ogrodnikiem lichym».

Lecz, gdy raz czynił przegląd swoich włości,
Widzi: niewolnik, pośmiewisko tłuszczy,
Pracuje nade drogą tak niezręcznie,
Jak i bezradnie, uderzeniem młota
Niepewnem raz wraz raniąc sobie palce.

Niechętnie zwrócił się do majordoma
Konsul, a okiem bacznie wciąż spoglądał.
«Darujcie», tamten rzekł, «wszelkie rzemiosło
Już, od walkarza począwszy do tkacza,
Z nim próbowałem: lecz jest do niczego».

Tu niecierpliwie zagabnął partacza
Cornelius Clemens: «Czemże byłeś tedy
W ojczyźnie swej — z urzędu i rzemiosła?»
Markotną w górę podniósł twarz niewolnik
Z posepną dumą: «Panic, tylko królem».

Milczał, litością szczerą zdjęty, konsul,
A w myśli ważył dziwny los człowieka.
Aż pełen łaski rzekł do sług: «Uśmiercić!»

Tłum. Alfred Tom.

Z «IMAGO»

...Po rozmowie ze swym rozumem przesiedział Wiktor kilka godzin bez ruchu, bez myśli, ogłuszony druzgoczącą rewelacją. Potem opanował się nagle i rozkazał, zwracając się w głąb swej duszy: «Niech się zjawi dzielny rycerz!»

Ukazał się zaraz rycerz, okryty lśniąca pobrzękliwą zbroją, a za nim kroczy lew. «Jestem — zameldował — proszę o rozkazy».

«Zagraża wielkie niebezpieczeństwo!» — rzekł mu Wiktor. — «W szeregi nasze wcisnął się nikczemnik, który pozwala sobie, zdradzając świętą służbę boskiej Imago, podkochiwać się w niegodnej, zwyczajnej, ziemskiej kobiecie. Przeprowadź surowe śledztwo i tego, który się ośmiela oczkować z niejaką Pseudą, alias panią dyrektorską Wyss, schwytaj na uczynku i staw niezwłocznie przed moim obliczem».

«Rozkaz!» — zawołał dzielny rycerz i z brzękiem i szczękiem odszedł, a lew za nim. Niedługo potem stanął przed Wiktorem lew, niosąc w paszczy zemdłałego królika. «Oto winowajca!» — zaryczał, rzucił królika na ziemię, pokłonił się i wyszedł.

«Byłem tego pewny» — zachnął się gniewnie Wiktor. — «Oczywiście, znowu to głupie serce, ten marny królik, wszystko przewraca do góry nogami». Podniósł za uszy królika i powiedział mu długie kazanie: «Czyż nie widzisz, głupie naiwne stworzenie, że sam sobie robisz piekło na ziemi? Słuchaj pilnie i zapamiętaj sobie pięć paragrafów, dotyczących miłości; są tak proste i łatwe, że zrozumiałaby je nawet glista ziemna.

Paragraf pierwszy: Niema na świecie kobiety, któraby zniosła, by ją pierwszy pokochał mężczyzna; musi cię pokochać sama, a o miłość twą błagać, niby o wielką łaskę. Inaczej nie zrozumie miłości. Inaczej będzie cię dręczyła. Trudno i darmo, chcą być dręczone; przeto, jeśli ty nie będziesz jej dręczył, ona zacznie cię dręczyć. Mimo to kobieta nie jest wcale zła, nie może tylko być inna, albowiem takie jest prawo natury! A wiesz co to: prawo natury? To coś, czego nie można zmienić ani zapomocą zębów, ani pazurów. Czyś zrozumiał? Odpowiedz».

«Kwik» — wrzasnął królik.

«Tak, kwik Zapamiętaj to sobie i postępuj wedle tej maksymy. A teraz paragraf drugi: Serce kobiety zamężnej zdobywa się od dołu, to znaczy przez cudzołóstwo. Ale tego nie chcemy, ani ja, ani ty. A więc cóż z tego wynika? Odpowiadaj zaraz».

«Kwik» — odparł królik.

«Dobrze! Teraz paragraf trzeci: Jeśli mogłeś poślubić jakąś istotę płci żeńskiej, a zaniedbałeś to uczynić, bez względu na powód, choćby najszczytniejszy nawet, to wiedz, że nienawidzić cię będzie po wszystkie dni żywota swego. — Paragraf czwarty: Nie możesz pobudzić do miłości serca zaspokojonej w swych potrzebach małżonki i szczęśliwej matki, podobnie jak nie możesz w pełnym żołądku wywołać uczucia głodu. Powiedz: kwik».

«Kwik».

«Paragraf piąty: Jeśli jaka dama nie może cię znieść...»

«Kwik».

«Czekajże ze swoim głupim kwikiem, aż skończę zdanie».

W tej chwili wysliznął mu się z ręki królik, spadł na ziemię, wrzasnął przerażliwie i umknął, jak oparzony. «Głupcze jeden! — krzyknął za nim — strzeżno się, bo jeśli mi raz jeszcze tkniesz liść sentymentalnej sałaty, to wówczas!...»

«Dałem mu nauczkę! — roześmiał się wesoło — ani piśnie w przyszłości».

Aby się zupełnie upewnić, uczynił, co należało, to znaczy odbył przegląd całej arki Noego duszy swojej, lustrując wszystko od strychów do piwnic, gdzie spoczywała podświadomość, i obszedł wszystkie kąty, nie szczędząc przestróg i nakazów. Przemawiał do bydlątek szlachetniejszej rasy, apelując do ich ambicji, wystawiając niedaleką świetność, honory i triumfy, a także przywodząc im przed oczy nikczemną rolę wzgardzonego konkurenta jakiejś pani dyrektorowej Wyss. Drobniejszą zwierzynę brał na przynętę użycia i rozkoszy miłosnych, już zaznanych, i przedstawiał im słodycze i rozkosze, jakie je czekają w przyszłości, byle chciały przez krótki jeszcze czas żyć wstrzemięźliwie. Potem kazał na zakończenie zaryczeć lwu w głąb piwnic. «Czyście przekonane wszystkie?»

«Tak, jesteśmy przekonane».

«Tedy sprawiajcie się dobrze i pilnujcie się wzajem!» — rozkazał Wiktor.

Tłum. Franciszek Mirandola.

GERHART HAUPTMANN

(ur. 1862)

Z «TKACZY»

(W izbie tkackiej starego Hilsego, który rozmawia z synem i synową.)

Gottlieb (*wpada zdyszany*): Widziałem ich, widziałem. (*Do starej jeszcze w sieni*) Są tu, kumo, są tu! Mają widły, motyki i drągi! Stańli tam pod górą koło Dietricha i robią gwałt. Pewnie tam wypłata. O Boże, co tu jeszcze będzie? Ja tam nie pójde! Tyle narodu, tyle narodu! No, jak się zawezmą i zaczną, źle będzie z fabrykantami.

Stary Hilse: Czegoś tak gonil, będziesz znowu krzyczał, aż spadnie na cię dawne choróbsko, legniesz na krzyże i będzie cię rzucało.

Gottlieb (*podniecony, uradowany*): Musiałem gnać, nie chcieli mnie już puścić. Już tak nalegali, żebym z nimi został. Stary Baumert mówił nawet: Powiedz tam ojcu... miałem powiedzieć, niechno tato też tam idzie i pomoże odplacić fabrykantom za wszystkie męki. (*Namiętnie*) Teraz inaczej będzie — gadał — całkiem inaczej będzie z tkaczami. Musimy wszyscy pójść pomagać, ażeby tak się stało, wszyscy chcemy mieć w niedzielę kawał mięsa w garnku, a we wszystkie święta kielbasę z kapustą. Inaczej będziemy wyglądali! — gadał.

Stary Hilse (*z tłumionem oburzeniem*): I to ma być twój ojciec chrzestny? I powiada, że masz razem z nimi brać udział w takich kryminalnych sprawkach? Nie mieszaj się do tego, Gottlieb. Tam czart się wmieszał; to djabelska robota!

Ludwika (*opanowana namiętnem wzburzeniem*): Tak, Gottlieb, tak, siedź za piecem, weź łyżkę w garść, a miskę mleka na kolana, wdziej surdut i zmów pacierz — to się ojcu spodoba. I taki człek chce się zwać mężczyzną!... (*Śmiech w sieni.*)

Stary Hilse (*z tłumioną wściekłością*): A ty chcesz być porządną żoną! Co? Ja cię już raz nauczę! Chcesz być matką — a masz taki paskudny język! Taki przykład dajesz dziewczynie, namawiasz męża do buntu, do rozboju!

Ludwika (*gwałtownie*): Eh, waszemi pobożnemi gadaniami ani razu dziecka się jeszcze nie nakarmiło. Wszystko czworo leżało na ziemi w gnoju i łachach. Ani jedna pielucha nie wyszła. Ja, żebyście wiedzieli, chcę być matką — i dlatego żyję sobie, niech wszystkich fabrykantów dzuma porwie i piekło pochłonie! Tak, ja właśnie jestem matką. Jak mam żywić takiego robaczka? Jak tylko się narodziło — wciąż płakałam, aż się śmierć zlitowała. A wy co? Obchodziło to was? Modliliście się, godzinki śpiewali, a ja zdzieralam nogi do krwi za kropelką mleka. Ile nocy nie spałam! Zachodziłam w głowę, jakby jedno bodaj od śmierci uchronić. Co taki robaczek winien, że musi tak z głodu konać! A tam naprzeciwno u Dietricha, tam kąpią się w winie i myją mlekiem. No, niech tu się tylko zacznie — i dziesięć koni mnie nie zatrzyma. Ja to wam powiadam, jak tylko zaczną burzyć Dietricha, ja tam będę pierwsza. Biada temu, co zechce mnie powstrzymać. Już mam dość tego i koniec!

Stary Hilse: Jesteś zgubiona, niema ratunku dla ciebie.

Ludwika (*wpada we wściekłość*): Dla was niema ratunku, wy mazgaje! Tchórze, nie mężczyźni! Niezdary, tylko pluć na was! Kaleki, co nawet przed dziećmi macie strach. Hołota, co jak ją biją, jeszcze dziękuje uniżeniu! — Całą krew wyskali wam z żył, że nawet się już nie potraficie zarumienić. Tylko wziąć na was bat i walić, dopóki szpik w waszych leniwych kościach się nie ruszy!

(*Odchodzi szybko. — Chwila kłopotliwego milczenia.*)

Stary Hilse (*zostawia robotę, podnosi się i mówi uroczyście*): Gottlieb, twoja żona gadała tu takie rzeczy... Gottlieb, przypatrz się! (*Odstania pierś*) Tu siedziała kula — jak naparstek. Gdzien rękę zostawił, to wie król. Myszy mi jej nie odgryzły. (*Chodzi po izbie*) Twoja żona... jeszcze się o niej nikomu nie śniło, kiedy moja krew kwartami się już lała za ojczyznę. Niech sobie plecie, co jej tam ślina do ust przyniesie, niech gada ile chce. Co mi to — ot, puste patrony. Bać się? Ja mam się bać? Czego mam się bać, powiedzno mi wreszcie. Może tych kilku żołnierzy, co tam idą za buntownikami? Gdyby tylko to! To jeszcze nie byłoby źle. Choć mi tam coś w krzyżach lamie — jakby trzeba było, tobym miał kość jak żelazo. Dalbym sobie radę z kilkoma głupimi bagnetami. No, a co by się stało, jakby poszło źle? Jakże chętnie, jak chętnie poszedłbym na odpoczynek. Nie trzeba mnie prosić do trumny, lepiej dziś, niż jutro. No, a jak przyjdzie skonać, to co? Czego mam żałować? Może płakać za tem starem połamanem cielskiem, za tym strachem i mizerją, co to się życiem nazywa?... Ale potem, Gottlieb, może przyjdzie coś — no, jak to stracisz, toś przepadł na zawsze.

Gottlieb: E, kto wie, co tam będzie po śmierci, nikt jeszcze tego nie widział.

Stary Hilse: Powiadam ci, Gottlieb, wierz w to jedno, co nam, biedakom, zostało! Pocóżbym tak siedział i harował, jak w kryminalne, więcej niż czterdzieści lat? Czybym wytrzymał to spokojnie, jak tam naprzeciwno panoszą się, żyją w rozpuście i zbijają złoto z moich trosk, głodu i krwawej pracy! No, a dlaczegom wytrzymał? Bo mam nadzieję, mam jakąś pociechę w mojej biedzie. (*Pokazuje przez okno*) Ty masz tu swoje, a ja mam na tamtym świecie — takem myślał. Niech mnie porąbią, ale wiem na pewno, że tak; mamy obiecano, będzie sąd ostateczny! My nie jesteśmy sędziami, bo «Ja sam sądzić i karać będę» — mówi Bóg nasz, Pan miłosierny.

Głosy (*przez okno*): Tkacze, wychodzić!

Stary Hilse: Aha, pewnie, — bawcie się, jak wam dobrze! (*Idzie do warsztatu*) Mnie będziecie musieli już tu zostawić.

Tłum. Edmund Libański.

Z «WNIEBOWZIĘCIA HANUSI»

(Hanusia Mattern, sierota, dręczona przez pijaka-ojczyrna, szuka śmierci w stawie. Wyratowana z wody, po kilku godzinach umiera w domu ubogich.)

Nieznajomy (*podchodzi do trumny Hanusi i mówi, zwrócony do obecnych; ci wszakże cofają się ze czcią od tej wyniosłej i przemawiającej uroczyście postaci*): Nie lekajcie się! (*Pochyla się i ujmuje rękę Hanusi, jakby próbując życia, potem mówi łagodnie*): Nie umarła dziewczeczka, ale śpi! (*Z najgłębszą, wewnętrzną, świadomą siebie siłą*): Hanusiu Mattern, ja ci mówię: wstań!

(Jasne złoto-zielone światło napelnia izbę. Hanusia otwiera oczy i zwraca się do ręki Nieznajomego, nie śmiejąc mu spojrzeć w oblicze. Zstępuje z trumny i odrazu pada przed Wskrzyszycielem na kolana. Obecnych ogarnia lęk. Uciekają. Z Hanusią zostaje Nieznajomy sam. Ciemny płaszcz spadł z jego ramion; odziewa go teraz biała, złotem lita szata.)

Nieznajomy *(łagodnym, miękkim głosem)*: Hanusiul

Hanusia *(w zachwyceniu, głowę pochyla jak może najniżej)*: Oto — On!

Nieznajomy: Kto ja jestem?

Hanusia: Tyl...

Nieznajomy: Nazwij imię moje!

Hanusia *(szepce ze czcią)*: Święty... święty...

Nieznajomy: Ja znam wszystkie cierpienia i dolegliwości twoje!

Hanusia: Ty drogi... drogi...

Nieznajomy: Podnieś się!

Hanusia: Szata twoja bez zmayı, a jam pełna winy!

Nieznajomy *(kładzie prawą rękę na głowie Hanusi)*: Oto odejmuję od ciebie wszelką niskość ziemi. *(Dotyka jej oczu, z łagodną przemocą podniósłszy jej głowę)* Oto zrenicom twoim daję wieczne światło. Przyjmijcie w siebie słońca słońce i zwróćcie się ku słońcu. Przyjmijcie w siebie dzień wieczności, od zórz porannych aż do zórz zachodnich, i od zórz zachodnich aż do zórz porannych. Przyjmijcie w siebie wszelkie światło światła, błękit morza, błękit niebios i zielen łąk — na wieki. *(Dotyka jej uszu)* Oto daję uszom twoim moc słyszenia milionów anielskich chórów i milionów sfer brzęczych — na wieki. *(Dotyka ust jej)* Oto rozwiązuję twój język z mowy, co była jako niemowlęca, a kładę ci w usta ducha mego i ducha ojca mego i ducha świętego — na wieki!

(Hanusia, drżąca na całym ciele, usiłuje się podnieść, ale jest jakby przygnieciona nadmiarem rozkoszy. Wstrząsana tkaniem płacze cicho i tuli głowę na piersiach Nieznajomego.)

Nieznajomy: Lzami twemi obmywam duszę twoją z prochu i ran ziemi. A stopy twoje wywyższam ponad gwiazdy niebios!

(Przesuwa rękę po schylonej głowie Hanusi i mówi w taki słodkiej rozbrzmiewającej muzyki. — We drzwiach ukazują się anielskie postacie: duże i małe, chłopiące i dziewczęce, zatrzymują się zrazu nie-miało u progu, potem wchodzą, wstrząsają kadzielnice, zdobią izbę w kobierce i kwiaty.)

Nieznajomy: Królestwo Boże — przedziwny, cudny gród!
Nieznanne lzy tam ni wojny, ani głód.

(Harfy zrazu zcicha — potem pełnemi tonami)

Z marmurów ściany, a złotem kryty dach,
Wino tam rzeką w rubinu płynie skrach!
W ulicach kwiecie wiosenną roni woń,
Na wieżach w dzwony anielska bije dłoń!
Majowa zielen oplata domów szczyt,
Powój je wieńczy i róż jutrzennych świt!
Łabędzi białych szeroki płynny ruch,
Z szumem się strzępi ich srebrno-dźwięczny puch,
W powietrze modre niesie je bystry prąd,
W lazurach grają ich duchy stąd i stąd
I wiążą w zorzach girlandy białych szarf,
Trzymając pióra, jak struny złotych harf,
Na Syjon patrzą, na ziemię, na toń mórz,
A ziemia płonie purpurą młodych róż,
A w zielen leśną śnieżysty kryje kwiat,
Tam święci chodzą w białości swoich szat.
W ogromnem morzu szum wina zamiast wód,
A święci idą wśród szumu tego wbród,

A lazur morza i piany srebrnej blask
 Obmywa pierś ich chryzmatem bożych łask,
 A święci idą wskroś morza, aż na brzeg,
 A krew Chrystusa wybiela ich nad śniegi!...

Tłum. Marja Konopnicka.

RICHARD DEHMEL

(1863—1920)

PIEŚŃ ROBOTNIKA

Mamy łóżko i dziecię mamy — tak!
 O, żono!
 I pracy aż nadto dla dwojga nas!
 A czyż słońca nam, deszczu, wiatru brak?
 Ot, i drobiazg zdalby się w sam raz,
 Byśmy mogli wolni być, jak ptak:
 Tylko czas!

Gdy w niedzielę chodzimy wśród pól i łąk,
 O, dziecię!
 A nad kłosami wprzód i wspak
 Jaskólek szparkich lśni się krąg —
 Nie strój potrzebny, pełen kras,
 Byśmy piękni stali się, jak ptak:
 Tylko czas!

Tylko czas! Wietrzymy burzy znak,
 My — lud!
 Już bliski kresu ten znój a głód;
 Toć nam — żono, dziecię! — li tego brak,
 Co własny nasz wytwarza trud,
 Byśmy radość czuli tę, co ptak!...
 ...Tylko czas!

KOŁYSANKA

Śpij, krzykaczul śpij, cacany!
 Spójrz: w lusterku — dwa barany;
 Jak ten beknie, tamten wrzaśnie,
 A ten mniejszy — to mój właśnie!
 Bębnie jeden, cicho leż,
 Nie drzyj się, jak dziki zwierz!

Śpij, najmędrsza z oslich główek:
 Jutro spadnie śnieg miętówek,
 A trojaków grad w sobotę,
 A za tydzień jajka złote;
 Pan Bóg tak się będzie śmiać,
 Aż się niebo zacznie chwiać.

A ty przyjdiesz, weźmiesz dary
 I rozsiejesz w krąg ofiary;
 Strasznie się ucieszą chłopcy
 I bogactwo zwiążą w snopy — —
 Drze się wciąż, nie będzie spal,
 Choćbym jak najęty łąga!

Co za paszcza! — bez uroku...
 Wczoraj w nocy, mały smoku,
 Przez czerwone wrota piekła
 Taka wielka ćma uciekła;
 Tu ci teraz w nosek dmie
 I przymyka oczki twe —

A przy jej skrzydełek drgnieniach
 O łagodnych śnisz płomieniach,
 Co się polubiły wzajem
 I złączyły piekło z rajem —
 Śpi już wreszcie, umilkł wrzask,
 Wielki Boże, pełnyś łask!

Tłum. Alfred Tom.

GNIAZDO RODZINNE

Więc nawet w chacie rodzicielskiej starej,
 Nawet wieczorem nie znajduję ciszy...
 Na dworze starej topoli rozgwary
 Wśród głuchych tęsknot dusza moja słyszy.

I słyszę: cicho ktoś otwiera wrota
 I z lampką matka ma chodzi w pokoje...
 Cała się moja rozwiła tęsknota
 I wsiąkła, matko, w jasne światło twoje...

Tłum. Leopold Staff.

ALEŻ NIE!

Pójdź, dziewczeczko... pochyl skroń...	Zasepioną minkę masz...
Spokój daj pończosze...	Ja to wszystko znoszę...
Proszę...	Proszę...
Starym zostaw te rozkosze...	Starym zostaw te rozkosze...
Dla nas młodych kwitnie błoń.	Młodzi patrzą sobie w twarz!
Przestań już:	Pójdźże już:
Pójdź, pójdź, pieścizotko!	Patrz, pieścizotko!
Z ostromlecza kwieciem tuż	Z ostromlecza kwieciem tuż
Wiatr wieczorny igra słodko.	Wiatr wieczorny igra słodko.

Żle nie było ci tu spać?
 Gniewasz się potrosze...
 Proszę...
 To dla młodych są rozkosze...
 Starzy chodzą sami spać!
 Znowu cóż?
 Łzy, pieścizotko?
 Z ostromlecza kwieciem tuż
 Wiatr wieczorny igra słodko.

Tłum. Władysław Nawrocki.

FRANK WEDEKIND

(1864—1918)

Z «PRZEBUDZENIA SIĘ WIOSNY»

(Strych w stodole. Melchjor leży nawznak na świeżem sianie. Wendla wchodzi na strych po drabinie.)

Wendla: To ty tu jesteś? Wszyscy cię szukają. Pojechali znowu po siano. Musisz pomóc. Burza nadchodzi.

Melchjor: Precz ode mnie! — Precz ode mnie!

Wendla: Co ci się stało? Czemu twarz ukrywasz?

Melchjor: Precz! precz! bo cię zrzucę nadół!

Wendla: Nie! teraz właśnie nie pójdę! *(Kłęka przy nim)* Dlaczego nie chcesz iść z nami, Melchjorze? Tutaj tak duszno i ponuro, a choćbyśmy nawet i zmokli, cóż to szkodzi?

Melchjor: Siano tak pachnie. — Jakie tam niebo musi być czarne — jak całun. Nic nie widać. Widzę tylko ten świecący mak na twojej piersi... i słyszę bicie twego serca...

Wendla: ...Nie całuj mnie, Melchjorze!... nie całuj mnie!

Melchjor: Słyszę... bicie... twego serca...

Wendla: Kto całuje... ten kocha... Nie!... nie!...

Melchjor: O, wierzaj mi, niema żadnej miłości! Wszystko tylko egoizm... wszystko samolubstwo... Ani ja ciebie nie Kocham... ani ty mnie...

Wendla: Nie!... Nie... Melchjorze!... nie!...

Melchjor: Wendlo!...

Wendla: O, Melchjorze!... nie!... nie...

(Jasna noc listopadowa. Na krzakach i drzewach szumią żółtkłe liście. Melchjor wchodzi na cmentarz przez mur.)

Melchjor *(zeskakuje z muru na cmentarz)*: No! tutaj mnie już nie dosięgnie ta stora. Przeszukują domy publiczne — a ja tymczasem mogę tu odetchnąć i poracho-

wać się z sobą. Surdut podarty, kieszenie puste — — cały świat moim wrogiem. Jak się dzień zrobi, będę musiał przekraść się do lasu i dalej...

(Maurycy Stiefel, z głową pod pachą, przeskakuje przez groby.)

Maurycy: Czekał no, Melchjorze! Taka sposobność prędko się nie zdarzy! Ani wiesz, jaka to dobra chwila!

Melchjor: Ty tutaj? Skąd?

Maurycy: Stamtąd — z pod muru. Przewróciłeś mój krzyż. Leżę pod samym murem. Podaj mi rękę, Melchjorze...

Melchjor: Ty nie jesteś Maurycy Stiefell...

Maurycy: Podaj mi rękę. Pewien jestem, że mi będziesz wdzięczny. Lżej ci będzie. Jakież to szczęśliwe spotkanie! Przyszedłem naumyślnie.

Melchjor: Więc ty nie śpisz?

Maurycy: Nie — to nie to, co wy spaniem nazywacie. Siedzimy sobie na wieżach kościelnych, na wysokich dachach, gdzie tylko chcemy...

Melchjor: A umiecie zapominać?

Maurycy: Wszystko umiemy. Podaj mi rękę! Umiemy żalować młodości, że taką cześć żywi dla idealizmu, i starości, której serce pęka z mądrości stoickiej. Widzimy, jak cesarz drży przed rębaczem, a żebrak uliczny przed trąbą sądu ostatecznego. Widzimy aktora poza jego maską i poetę, jak maskę nakłada w ciemności. Widzimy zadowolonego z siebie w całym jego żebraczym szczęściu, a w strudzonej i obciążonym widzimy kapitalistę. Patrzymy na zakochanych i widzimy, jak się rumienia przed sobą pokryjomu, przeczuwając, że są oszukanymi oszustami. Widzimy, jak rodzice wyprowadzają na świat dzieci, aby im móc powiedzieć: Jakież szczęśliwe jesteście, mając takich rodziców! I widzimy dzieci, robiące to samo. Widzimy, jak niewinność ginie z samotnej żądzy, a dziewczka uliczna zachwyca się Schillerem. Widzimy, jak Bóg i djabeł kompromitują się nawzajem przed sobą i wpajają w nas coraz silniejsze przekonanie, że chyba obaj muszą być pijani.. Spokój, zadowolenie... Melchjorze!...

Melchjor: ...Jestem wygnany. To, co mi dodawało odwagi, leży w grobie. Wątpię czy byłbym zdolny do jakichkolwiek szlachetniejszych porywów — nie widzę nic, nic, coby stanęło na przeszkodzie mojej zagładzie. Jestem najbardziej godnym pogardy stworzeniem na świecie...

Tłum. Z. Wojcicka-Chylewska.

PIEŚŃ O POSŁUSZNEJ PANIENCE

Mówiła mi mateczka: «Zważ,

Że już szesnaście latek masz...

Więc dybie na cię pokus moc,

A osobliwie w noc!

Chcesz sobie życie zmienić w raj,

Pamiętaj, dalibóg!

O złoty środek zawsze dbaj,

Bo to najprostsza z dróg!»

Jak na złość, Jaś przez okno chlust

Najprostszą drogą do mych ust

I kradł całusy — ach, jak kradł!

A mnie z ócz ginął świat.

Gdy nie chciał mi spokoju dać,

Mówiłam: «Dalibóg!

O złoty środek trzeba dbać,

Bo to najprostsza z dróg».

Padając w szale do mych stóp,

Rzekł: «Pójdź! weźmiemy zaraz ślub».

Ja na to: «Ani mi się waży!

Za kogo ty mnie masz?»

Widząc, że próżny ze mną bój,

Sam rzece, dalibóg:

«Więc złoty środek, skarbie mój,

Bo to najprostsza z dróg!»

Wciąż nocą, gdy mię zmorzy sen,

Śni mi się złoty środek ten —

I nie poza nim nie chcę znać

Ni o cokolwiek dbać!

Co bądź mi, losie, oddać każ,

Dam wszystko, dalibóg!

Za złoty środek... za ten... nasz —

Za tę... najprostszą z dróg.

Tłum. Władysław Nawrocki.

OTTO JULIUS BIERBAUM

(1865—1910)

CZASAMI W CICHĄ NOC...

Czasami w cichą noc,
Gdy pierś oddycha szerzej,
Kiedy księżyc sierp
Na czarnem niebie leży;

Gdy świat spokojem tchnie,
I grzeszna chuć ustaje —
Mnie wtedy dusza ma
W dzieciństwa wieści kraje.

I widzę: słabo tak
Stąpają nóżki małe,
I widzę oczy me
I me rączka białe;

I słyszę usta me —
Jak szczerą ich wymowa!
I wraz o życiu mem
Zwieszona duma głowa:

Czy zawsze czysto tak
Po drogach szedłeś świata,
Jak drobne nóżki twe
W dziecięce biegle lata?

Czy zawsze usta twe
Przezroczo tak mówiły,
Jak niegdyś dziecka głos
Donośny, choć bez siły?

Czyś zawsze w niebo siał
Wzrok jasny i ochoczy,
Jak ongi w słońca twarz
Patrzyły dziecka oczy?...

Spoglądam, sierpie, wzwyz
Na białe twe przepychy
Mnie często wielki żal
Przejmuje w nocy cichej.

Tłum. Alfred Tom.

MUZYKA SZCZĘŚLIWEGO LATA

O, czasie żniwa złotych zbóż!
O, dźwięku sierpów skroś dościgłych plonów!
Błogosławiąca pieśni zamaszystej kosy!

Słońce gra na ciężkich, sytych
Barwach świetlne mocy pienia.
Złotym snopem zbóż przykryty
Siedzi wielki Pan wśród cienia.

Żółty jest pieśni ton głęboki... Płynie
Szeroką strugą pod dźwięku nawałem;
Fanfary krwawią. Błękit w huk się winie;
Zieleń wezbrała jasnym fletu szale.

Głowę uwienioną w rogi
Wielki Pan do taktu kiwa:
«Zwolna zbliża się szczęśliwa
Chwila, gdy znów wrócą bog ».

O, czasie żniwa złotych zbóż!
O, dźwięku sierpów skroś dościgłych plonów!
Błogosławiąca pieśni zamaszystej kosy!

Tłum. Leopold Staff.

STEFAN GEORGE

(ur. 1868)

Z «ROKU DUSZY»

Park, mówisz, zamarł? Patrz, obłoków cień
Jaśnią błękitnej prześwieca pogody,
Promienny uśmiech oddalonych lśnień
Ubarwia ścieżki i rozwidnia wody.

Z szarych bukszanów, z złotych brzozy skrzeń
Wić będziem wieniec: ciepły dzisiaj dzień,
Niecałkiem zwiędłe kwiecie późnych róż
Zerwij, ucałuj i pospołu złóż.

Gasnące astry, czerwień, co się tli
Na winnej lozie, ostatek zieleni
Spleć lekko w wieniec, a końca jesieni
Bładawą wizję razem stworzą ci.

*

Szukamy ławek niezakrytych cieniem —
Poić się długim, pogodnym jaśnieniem,
Jesteśmy wdzięczni, gdy się w drzewach zerwie
I spłynie na nas promieni ulewa,
Lub zasluchani patrzym, kiedy w przerwie
Żrzące owoce opadają z drzewa.

*

Pomnisz ty jeszcze piękny obraz tego,
Co zrywał róże z nad przepaści wrót
I zapominał, że godziny biega,
Pijąc w przelocie z kwietnej czary miód?

Gdy zaś daleką znużył się pogonią
Złotych motyli na rozłogach niw,
Siadywał w parku nad sadzawki tonią,
W głębokiej tajni zasluchany dziw...

A od wysepki, gdzie w glazów koronie
Szenrze kaskada, na mechu znacząc ślad,
Nadpływał labędź i w dziecięce dłonie,
W pieściwe, szyję smukłą kładł.

*

Wzgórze, gdzie stoim, już się nurza w mroku,
Zaś tamto jeszcze w świetle dziennem lśni,
Księżyc w rozwiewnym poświatły otoku
Zrazu się jeno białą chmurką mgli.

Bledziej majaczy smuga dróg daleka;
— Powiedz, wędrowcze, co szmer znaczy ten:
Czy to z gór woda niewidzialnie ścieka,
Czy szczebiot ptaka, co zapada w sen?

Tłum. Stanisław Wyrzykowski.

Z «WOJNY» (1917)

Nie czas na radość; triumfu nie będzie,
Jeno moc zgonów, lecz bez dostojęństwa...
Dłoń twórcy cofa się przed potwornością
Blach i ołowiu, rusztowań i luf.
Śmieje się wściekle z małpujących przeszłość
Mów bohaterских ten, co w miazgach, strzępach
Brać padającą widział, co w haniebnie
Rozrytej ziemi z robactwem się gnieździł...
Kędyż dziś wielki dawny bojów Bóg?
Schorzale światy dogorączkowują
W szaleństwie zbestwień. Świętą tylko krew,
Która bez zmayı trysła — cały nurt!

Gdzież Mąż, co dzisiaj przewodzi? gdzież Słowo
 Jedynie ważne przed późniejszy sąd?
 Śmieszne — w koronach teatralnych — króle,
 Radey, handlarze, skryby — nie a tłum.
 I ułożonych trybów kres: zachwianie,
 Groźba zamętu... wtem z szarego domku
 Najwypłowiawszej z naszych miast mieściny,
 Wsparty na lasce, powstał zapomniany
 Starzec bez odznak... znalazł na czas radę
 I uratował, co gromkie pyszałki
 Nad brzeg przepaści przywiodły już: państwo...
 Przed gorszym wrogiem i on nie zasłoni.

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

HUGO VON HOFMANNSTHAL

(1874—1929)

Z «ROZMOWY O PISMACH GOTFRYDA KELLERA»

Pomiędzy młodymi, choć nie młodzieńczymi, przyjaciółmi, którzy siedzieli w drewnianej przewiewnej altanie, skleconej w kącie ogrodu — tam, gdzie stykały się winem porośłe mury, rozmowa zesłała niepostrzeżenie na ten piękny, świetlany temat.

Bo z początku nie rozmawiali zgola o książkach, lecz o uroczystościach, i nikt z nich nie przypominał sobie, aby kiedyś w życiu — w domu lub na obczyźnie — uczestniczył w jakiejś szczególnie pięknej, chyba że z czasów dzieciństwa rozpality się w pamięci kule ogniste i sypiące się iskry wspaniałej rakiety. Jako ziomkowie Austriacy, wyłączali jedynie stare a czarowne Boże Ciało, natomiast o napotykanym kiedykolwiek świeckich, a nawet artystycznych zabawach i obchodach, o rzymskich, monachijskich lub paryskich karnawałach wyrażali się, że nie były warte trudu... Aż oto napomknął jeden z nich o książkach Gotfryda Kellera, pełnych uroczystości tego rodzaju. «Zielonego Henryka» — odezwał się sekretarz poselstwa — «obrzydziły mi też istotnie owe nieskończone monachijskie święta artystyczne. Jak piękna byłaby ta książka, gdyby zawierała sam początek, a reszta by zaginęła! Początku tego nie przypominasz sobie doprawdy, jak rzeczy czytanej, lecz jakby coś przeżytego. Jakież to piękne, jakże tam jedna dobra rzecz i przeżycie mieści się obok innych, jedno na drugim się skupia; nihy śliczne, wyborowe owoce, leżą tutaj jedno na drugim szczęśne dni młodości». — «Szczęśne dni?» — wtrącił muzyk — «ależ przecie wcale mu się tak dobrze nie wiedzie». — «Czy mu dobrze, czy źle — nie pamiętam już dzisiaj. Lecz blask jakiś spoczywa na tem wszystkim, blask młodości, blask życia». — «Blask mądrości — wymów to śmiało, bo widzę, że jąłeś się stopniowania». Powiedział to trzeci z czterech przyjaciół, skromny obywatel ziemski i wcale dzielny literat, choć na tę ostatnią nazwę zżymałby się pewnie. «Siła mądrości igra tutaj z dziką gmatwaniną życia i urabia ją i polśniewa blaskiem swym na wszystkim, co stworzyła, podobnie jak przyroda, cokolwiek jako twór swój z rąk wypuszcza, blaskiem takim powleka. To właśnie podziwiam najbardziej w dziełach tego męża: moc, która wszystkimu, nawet rzeczy najgłupszej, najpowikłańszej, nada jeszcze formę, dzięki której przez chwilę żyje i świeci». — — —

Tłum. Alfred Tom.

WIELU JUŻCI...

Wielu jużci musi zemrzeć wdole,
 Kędy statków ciężkie zgrzytają wiosła,
 Inni żyją wgórze tam, u steru,
 Znają ptasi lot i gwiazd odległe kraje.

Wielu leży ciągle, z obowiem w członkach,
 U korzeni zgmatwanego żywota,

Innym krzesła, trony wzniesiono
 W jaskiniach Sybill, w salach królowych,
 I siedzą tam oto, jak u siebie,
 Z lekką głową, lekkimi rękoma.

Lecz cień pada od żywotów tamtych
 Na te inne, na górne żywoty,
 I te lekkie tak są z ciężkimi
 Jak z powietrzem i ziemią związane:

Prazapomnianych ludów omdłałości
 Otrząść nie mogą z mych ciężkich powiek,
 Ani stłumić w przerażonej duszy
 Głuchych waleń się gwiazd oddalonych.

Wiele losów z moim wraz się przedzie,
 Byt je wszystkie płacze, jakby w igraszce,
 I mym działem więcej coś, niż życia
 Gibki płomień albo szczupła lira.

Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).

ICH DWOJE

Trzymała puhar w ręce wątłej, białej.
 Jej usta jego brzegom się równały.
 Krok lekki, pewny, jak krok stóp anielich:
 Kropelki nawet nie uronił kielich.

Tak dzielna, silna była jego dłoń.
 Siedział na koniu dzikim, okazałym
 I ruchem ręki dokazał niedbałym,
 Że, drżąc, stał pod nim poskromiony koń.

Jednakże, kiedy jej dłonie dziewczęce
 Ten puhar oddać miały w jego ręce,
 Było to dla nich zbyt ciężkie, zbyt trudne,

Każde z nich bowiem tak ogromnie drżało:
 Dłoń dłoni znaleźć nie mogła, a cudne
 Ciemne się wino na ziemię polało.

Tłum. Leopold Staff.

RAINER MARIA RILKE
 (1875—1926)

Z «KSIĘGI OBRAZÓW»

Rycerz

Rycerz wyrusza, odziany w stal,
 na koniu w szumiący świat;
 a w świecie jest wszystko:
 jest dzień i jest dal,
 jest wróg i jest druh, i jest bal wśród sal,
 i jest maj, i dziewczyna, jest las i jest Gral,
 i Boga pełen jest każdy cal,
 i wszędy Jego jest ślad.

Ale pośrodku zbroi rycerza,
za najciemniejszym pierścieniem,
czyha i myśli Śmierć z za pancerza:
«Kiedyż przejasnem mignieniem
na stal tę runie klinga, co mści,
klinga, niosąca zaranie,
co mnie dobędzie stąd jak lew,
gdzie sromotnego gnicia
tyle spędziłam dni —
bym się podniosła z ukrycia
na granie,
na śpiew».

Pont du Carrousel

Szaro na moście stoi ślepiec stary,
jak słup graniczny królestw bez imienia.
On może jądrem jest, środkiem istnienia,
wkoło którego krążą gwiazd zegary,
i konstelacyj jasnych centrum cichem.
Bo wszystko przy nim pędzi, błyszczy szychem.

On jest ten święty, który się nie zmienia,
wstawiony w chaos wielu błędnych dróg;
on jest podziemnych pieczar ciemny próg,
stojący pośród płytkiego plemienia.

Tłum. Witold Hulewicz.

Z «WIERSZY NOWYCH»

Pantera

Paryż, Jardin des Plantes

<p>Wzrok jej, o sztaby twarde bijąc siłą, zmęczył się. Oko nie widzi nic więcej: zda się sztab było paręset tysięcy — za sztab tysiącem świata zaś — nie było.</p>	<p>Miękki krok zwierza, co się pręży, mien w więzieniu klatki tłukąc się bez końca, to taniec siły, w którym wola mrąca zastyga w środku maleńkiej przestrzeni.</p>
--	---

Czasem zasłona wznosi się pupili,
i jakiś obraz wpływa poprzez ciszę
napiętych nerwów — zlekka się kołysze
i w głębi serca umiera po chwili.

Tłum. Zuzanna Rabska.

Święty Sebastjan

<p>Stoi, jakgdyby leżał rozciągnięty, trzymany jedną niezmożoną wolą i, jak karmiące matki, z aureolą, i w sobie samym jak wieniec zwinięty,</p>	<p>Jedne po drugich upierzone pręty idą — i jakby z bioder mu tryskały żelaznym dźwiękiem drżą śpiczaste strzały. Lecz on ma uśmiech ciemny nietknięty.</p>
--	---

Po raz ostatni wielki żal nabrzmiewa,
oczy odkryte boleśnie zalewa,
raz się buntuje, jakby ciska precz,
i pogardliwie na katów się gniewa
za to, że niszczą taką piękną rzecz.

Tłum. Witold Hulewicz.

Z «ELEGJI DUINEZYJSKICH»

Od jak już dawna, figowcze, jest mi to wiele znaczące,
 że kwitnienie swe omal zupełnie pomijasz
 i w głąb rychło zawiązanego owocu,
 nierozsławiony, tłoczysz czysty swój sekret.
 Jak wodotrysku próżnia, twe wykręcone gałęzie
 sok nadół pchają i wzwyz: a on skacze ze snu,
 prawie nieobudzony, w błogość najstodszych dokonań.
 Spójrz: jak bóg ów w labędzia.

...Ale my zwlekamy,

Ach, my się pysznim kwitnieniem i w zapóźnione wnętrze
 końcowego owocu naszego przenikamy zdradzeni.
 W nielicznych tak mocno wznosi się pasja działania,
 że wtedy już stoją jak wryci i w serca pełni płoną,
 kiedy pokusa kwitnienia, jak nocne skojone powietrze,
 dotyka młodości ich warg, dotyka ich powiek:
 w bohaterach być może i w zaświat wczas przeznaczonych,
 którym śmierć, jak ogrodnik, inaczej żyły wygina.
 Ci to się wałą o ziem: własny swój uśmiech
 wyprzedzają, jak ów zaprzęg rumaków na wklęsłych
 łagodnych obrazach z Karnaku przed królem, który zwycięża.

Dziwnie bliski jest przecie bohater młodo umarłym. Trwanie
 nie ma do niego przystępu. Wznoszenie jest jego bytem; bez przerwy
 ujmuje siebie i wkracza w konstelację zmienioną
 swego trwałego niebezpieczeństwa. Niewieluby go tam znalazło. Natomiast
 los, co nas mrocznie przemileza, nagłym zachwytem porwany,
 w burzę śpiewa go wprost jego rozszumiącego świata.
 Żadnego nie słyszę, jak jego. Przenika mnie raptem
 z prądem płynnym powietrza ton jego przyciemniony.
 Wtedy, jakżeż chętnie skrylbym się przed tęsknotą: o, gdybym,
 gdybym był chłopcem i jeszcze mógł nim zostać, i siedział
 na przyszłych ramionach wsparty, i czytałbym o Samsonie,
 jak matka jego nie zrazu, a potem wszystko zrodziła.

Nie byłże w tobie już bohaterem, o matko, czyż nie tam
 w tobie rozpoczął się już wybór jego wszechwładny?
 Tysiące burzyły się w łonie i nim być pragnęły,
 lecz spójrz: on opuszczał i chwytal, wybierał i zdołał.
 A gdy kolumny kruszył, to wówczas, gdy się wydarł
 ze świata twojego ciała w ciaśniejszy świat, gdzie nadal
 wybierał i zdołał. O, bohaterów matki,
 o, źródło rwących potoków! O, jary, w które
 zwysoka, z serca krawędzi, ze skargą
 już dziewczęta runęły, w przyszłości oliary dla syna.
 Bo, jeśli gnał bohater poprzez przystanki miłości,
 każdy wynosił go ponad, każdy za nim drgający puls serca,
 on, odwrócony już stał, na końcu uśmiechu, odmienion.

Tłum. Stefan Napierski.

Z «SONETÓW DO ORFEUSZA»

Jednorożec

O, to jest zwierzę, które nie istnieje.
 A oni tego nie wiedzieli wcale;
 kochali postać, kroczącą wspaniale,
 i blask, co cicho w oczach błękitnieje.

Nie było go. Lecz z ich miłości czyste
wzrosło. I miejsca ustąpili zjawie;
a w tej przestrzeni jasne, oczywiste
podniosło łeb, nie potrzebując prawie

być. I nie dali mu ziarna drobiny,
lecz tylko tę możliwość jego bytu,
a to moc taką dało mu, że z czoła

wyrwał się wielki jeden róg. Jedyny.
I do dziewicy szło białe z błękitu,
i było w lustrze i w niej, i dokoła.

Tłum. Witold Hulewicz.

THOMAS MANN

(ur. 1875)

Z «TRYSTANA»

(List poety Detlewa Spinnella do hurtownika, p. Kloeterjahna.)

Pan Spinell siedział w swoim pokoju i «pracował».

Był to pokój, jak wszystkie w «Zaciszu»: staroświecki, prosty i wytworny. Ciężka komoda obita była lwiami, wysokie lustro ściennie nie było z jednolitej płyty, lecz składało się z wielu małych, czworokątnych, w olów oprawnych kawalków, żaden dywan nie pokrywał sino lakierowanej podłogi, w której sztywne nogi sprzętów przedłużały się jasnemi cieniami. Przystronne biurko stało w pobliżu okna, które romansopisarz zasłonił żółtą firanką, prawdopodobnie, aby się bardziej «uwewnętrznić».

W żółtawym półmroku siedział pochylony nad swym sekretarzykiem i pisał — pisał jeden z tych licznych listów, które co tydzień wyprawiał na pocztę i na które zabawnym sposobem nie otrzymywał przeważnie wcale odpowiedzi. Leżał przed nim duży gruby arkusz, w którego lewym, górnym rogu pod zwięzłe narysowanym krajobrazem widniało w najnowomodniejszych czcionkach nazwisko Detlev Spinnell, i który pokrywał on starannie malowaniem i jak najwyraźniejszym piśmem.

«Mój Panie! — pisał — zwracam do Pana te kilka wierszy, bo nie mogę inaczej, bo to, co mam Panu do powiedzenia, przepelnia mnie, dręczy i wprawia w drżenie; bo słowa napływają mi z taką gwałtownością, że udusiłbym się nimi, gdybym się nie mógł w tym liście do Pana ich pozbyć...»

By oddać prawdzie sprawiedliwość, to nie było wcale mowy o «napływaniu» i Bóg wie, skąd się panu Spinellowi to wzięło. Słowa zdawały się wcale nie napływać, jak na kogoś, którego obywatelskim zawodem było pisanie, ruszał żałośliwie pomalutku z miejsca, i kto go widział, musiał dojść do przekonania, że literat to człowiek, któremu pisać jest trudniej, niż innym ludziom...

«Jest to — tak brzmiał list dalej — nieodparta potrzeba, by to, co widzę, co od tygodni, niby niezatarta wizja, stoi mi przed oczyma, unaocznic też Panu, dozwolic Panu ujrzec mojemi oczyma w tem słownem oświeceni, w którym to widzę wewnątrzem spojrzeniem. Jestem zwykły ustępować temu naporowi, który mnie zmusza w niezapomnianych i promiennych, właściwie umiejscowionych słowach czynić przeżycia moje przeżyciami świata. I przeto posłuchaj mnie pan!»

Chcę tylko i jedynie rzec, co było i jest, opowiadam jedynie historję, zupełnie krótką, niewymownie oburzającą historję, opowiem ją bez komentarza, bez skargi i wyroku, tylko swojemi słowami. Jest to historja Gabrijeli Eckhof, mój Panie, kobiety, którą Pan nazywa swoją żoną... i zważ Pan! Dla Pana była ona przeżyciem; a jednak dopiero moje słowo naprawdę podniesie ją Panu do znaczenia przeżycia.

Przypomni Pan sobie ogród, mój Panie, stary zachwaszczony ogród za szarym domem patrycejuszowskim? Zielony mech rósł w szczelinach zwietrzałych murów, które zamykały jego w śnie pogrążoną dzikość. Przypomina też Pan sobie na środku jego

wodotrysk? Lilje koloru lila kłoniły się nad jego zmurszałą krawędzią, i jego biały strumień opadał z tajemniczym gwarem na popękane kamienie. Dzień letni miał się ku końcowi.

Siedem dziewięć siedziało wokół wodotrysku; jednak we włosach siódmej, pierwszej z nich, jedynej, zachodzące słońce zdawało się lkać tajemnie lśniąca oznakę wyższości i pierwszeństwa. Oczy jej były niby trwożliwe sny, a jednak uśmiechały się jej jasne wargi...

Śpiewały. Zwracały swe wąskie twarze ku górze, ku szczytowi promienia wodotrysku, tam, gdzie w znużonym i szlachetnym zaokrągleniu skłaniał się do upadku, a ich ciche czyste głosy opląsywały jego smutny taniec. Może splatały swe wątle ręce wokół kolan, śpiewając...

Czy pamięta Pan ten obraz, mój Panie? Czy widział go Pan? Nie widział Pan. Ani Pańskie oczy, ani Pańskie uszy nie były stworzone, by zauważyć czystą słodycz jego melodji. Widział to Pan? — Powinien Pan był wstrzymać oddech, winien Pan był zabronić bić sercu własnemu. Winien Pan był powrócić w życie, w Pańskie życie, i po koniec swego istnienia ziemskiego zachować to, co Pan widział, jako nienaruszone i święte w swej duszy. Lecz cóż Pan uczynił?

Ten obraz był kresem, mój Panie; czyż musiał Pan przyjść i zniszczyć go, by dać mu dalszy ciąg pospolitości i szpetnego cierpienia? Była to wzruszająca i pełna ciszy apoteoza, zanurzona w wieczorne przejaśnienie ruiny, rozkładu i gaśnięcia. Stary ród, zbyt znużony i zbyt szlachetny dla czynu i dla życia, stoi u kresu swych dni, a ostatnimi objawami jego są głosy sztuki, kilka dźwięków skrzypcowych, pełnych świadomej melancholji dojrzałości do śmierci... Czy widział Pan te oczy, z których te dźwięki lzy wyciskały? Może dusze szczęściu towarzyszek należały do życia; dusza jednak ich siostrzanej władczyni przynależała pięknu i śmierci.

Pan widział tę piękność śmiertelną: patrzył pan na nią, by jej pożądać. Ślad czci, ślad trwogi nie dotknął serca Pańskiego wobec jej wzruszającej piękności. Niedosyć było Panu patrzeć, musiał Pan posiadać, wyzyskać, zbezczeszczyć... Jakże świetny był Pański wybór! Jest Pan smakoszem, mój Panie, plebejskim smakoszem, chamem ze smakiem.

Proszę Pana wziąć pod uwagę, że nie pragnę zgoła Pana dotknąć. To, co mówię, nie jest zgoła obelgą, tylko formułą, prostą psychologiczną formułą dla Pańskiej prostej, literacko wcale niezajmującej osobistości, i wypowiadam ją tylko dlatego, że coś prze mnie, by wyjaśnić Panu nieco jego postępowanie i istotę, gdyż mojem nieuniknionem powołaniem na ziemi jest nazywać rzeczy po imieniu, dopuszczać je do głosu i prześwieślać to, co nieświadome. Świat jest pełen tego, co nazywam «nieświadomym typem», a niecierpię nieświadomych typów. Niecierpię tego całego głuchego, bezwiednego i nieświadomego życia i działania, tego świata drażniącej naiwności wokół siebie. Gna mnie coś nieodparcie, aby — o ile sił mi starczy — wyjaśnić, wypowiedzieć i uświadomić wszelkie dokoła istnienie — bez względu na to, czy wywoła to skutek dodatni lub ujemny, czy przyniesie pociechę i ulgę lub cierpienie.

Jest Pan, mój Panie, jak rzekłem, plebejskim smakoszem, chamem ze smakiem. Jako człek gruboskórny, stojący na bardzo niskim stopniu rozwoju, doszedł Pan przez bogactwo i siedzący tryb życia do nagłego, niehistorycznego i barbarzyńskiego zepsucia systemu nerwowego, które pociąga za sobą pewne lubieżne wyrafinowanie uciech. Być może, że mięśnie Pańskiego przetyku zostały wprawione w ruch mlaskania, jak wobec wybornej zupy lub rzadkiej potrawy, gdy Pan postanowił przywłaszczyć sobie Gabrję Eckhof...

W rzeczywistości wprowadza Pan w błąd jej rozmarzoną wolę, wywodzi ją Pan z jej zachwaszczonego ogrodu w życie i brzydotę, nadaje jej Pan swe ordynarne nazwisko, czyni ją Pan małżonką, gospodynią, czyni ją Pan matką. Zniża Pan znużoną, trwożną i w bezużyteczności swej kwitnącą piękność śmierci w służbę pospolitej codzienności i owego niedorzecznego, niezdarnego i godnego pogardy bożyszcza, które zowie się naturą, i nawet przecucie głębokiej nizeczemności tego poczynania nie budzi się w Pańskim chamskim sumieniu.

Raz jeszcze: cóż się dzieje? Ona, z oczyma, które są jak sny trwożne, obdarza Pana dzieckiem i nadaje temu stworzeniu, które jest dalszym ciągiem niskiej egzy-

stencji swego rodzica, całą swą krew i zdolność do życia, i umiera. Umiera, mój Panie! I jeśli nie ginie w pospolitości, jeśli się jednak wreszcie dźwiga z głębi swego ponizienia i dumnie, i błogo zanika pod śmiertelnym pocałunkiem piękna, to moja była w tem troska. Pańską troską natomiast było to, aby w dyskretnych kurytarzach skrać sobie chwile z pokojówkami.

Jej dziecko jednak, syn Gabrijeli Eckhof, kwitnie, żyje i triumfuje. Może będzie wiódł żywot swego ojca, zostanie handlującym, podatki placącym i dobrze jedzącym obywatelem; może żołnierzem lub urzędnikiem, bezwiedną i tęgą podporą państwa; w każdym razie bezmuzycznym, normalnie funkcjonującym stworzeniem, bezwzględnie i zaufanym, silnym i głupim.

Niech pan przyjmie do wiadomości, mój Panie, że Pana nienawidzę, Pana i Pańskiego dziecka, jak nienawidzę samo życie, pospolite, śmieszne, a jednak triumfujące życie, które Pan przedstawia, wieczyście przeciwne i śmiertelnie wrogie piękności. Nie śmiem powiedzieć, że Panem pogardzam. Nie mogę tego. Jestem rzetelny. Pan jest silniejszy, ja mogę w walce przeciwstawić Panu tylko jedno: ducha i słowo. Dziś posłużyłem się tem. Bo list ten — gdyż i co do tego jestem rzetelny — jest tylko aktem zemsty, i jeśli znajdzie się w nim choć jedno słowo ostre, świetne i zdolne Pana skonfundować, dać mu poczuć moc obcą, zachwiać na chwilę Pańskim niewzruszonym spokojem, to rad będę.

Detlev Spinell.

I pismo to pan Spinell włożył w kopertę, opatrzył znaczkami, zadresował pięknie i oddał na pocztę.

Tłum. Leopold Staff.

THODOR DÄUBLER

(ur. 1876)

Z «ZORZY PÓLNOCNEJ»

Ja jestem wiara w słońce majestał święty,
I moja żądza karmi ich promienie.
Własna mnie siła w liczb niezmierność zenie,
I przedzą jestem wieczności objęty.

Niewyczerpany jest ów źródł zakłęty
Mej jaźni — bowiem bolesne krążenie
Wędrownych światów dało mi istnienie;
Więc staję się, choć nigdy nie poczęty.

Jam jest! a iżem jest, pragnę żywota;
A iż żywota pragnę — istnieć będę
Na wieki jako dążność i istota.

Ja jestem sobą — z mocy woli wolnej,
I stanę się, gdy lotu moc zdobędę,
Bom tylko z siebie sam zmartwychwstać zdolny.

Przebudzenie

Czemuś tak blade, o, ty śliczne ranka złoto?
Oto się las przeczuciem południa weseli.
Bez jednej zmarszczki woda gładkim szkli migotem,
I życie snuje się, jak nitka u kądzieli.

Łąka pełna radości i porannej rosy.
Coś śpiewa w ciemnym gąszczu, po chaszczach i sękach.
Skroś ptasi świr świegocą mych siostrzyczek glosy —
I moje ukojenie gra w blaskach i dźwiękach.

Wkoło wielkich cyprysów piosnka się owiła.
 Jak wążle dzieci, blade są oliwne drzewa.
 Na każdym liściu noc lzy kroplę zostawiła,
 A we mnie wewnętrznym głosem: Powiedz: «tak» — coś śpiewa.

Więc tak! Wstrząsnąłem jedną małą krzewiną;
 Czuję wilgotną świeżość, lzy po liściach płyną;
 Poranna radość pała i skrzy się srebrzyście —
 I tęsknię, jak te gęśle, co dźwięczą przeczyście.

I s t o t a

Tej nocy w boru duch obalił pień dębowy.
 Podpełzłem: mocz-dąb legł w trawach, zdruzgotany;
 Skroś karczów wilczy głód zaszczekał, żądzą gnany,
 Strach wyrzwał z poza drzew i wabił do dąbrowy.

Puszczyk po dziuplach olch bezgłośnie sprawiał lowy;
 Z jękiem się wschodni wiatr o kniej rozbijał sciany;
 Bezpióry upiór mknął i w pola gnał zziąjany,
 Zadrzała woda w takt przeznaczeń zegarowy.

Coś się poczęło gdzieś, czy coś się gdzieś skończyło.
 W tajemny światła gąszcz pogrążam się struchlały,
 I mój paniczny zmysł poi się swym żywiołem.

Potęgą jest mi szal, a obłąd jest mi siłą.
 Zawrotnym lękiem tym, jak wichrem oszalały,
 Rozskrzydła się mój duch, objęty czarów kołem.

Tłum. Wacław Husarski.

GEORG HEYM
 (1887—1912)

UMBRA VITAE

Naprzód podani w ulicach ludzie stoją
 I patrzą na ogromne nieba znaki,
 Gdzie się kometów groźne ognie roją
 Wokół zębatach czarnych wież zygzaki.

I wszystkie dachy pełne są znachorów,
 Którzy wtłaczają w niebo wielkie rury
 Magów, wyrosłych z dziur dachów-potworów,
 Co czary czynią, stercząc ponad mury.

W noc samobójcy ciągną wielką zgrają,
 Swej zagubionej szukając istoty,
 W prochu swe miotły ramion zanurzają,
 Na świata strony gnani przez Golgoty.

Są jako pył, co trzyma się przez chwilę.
 Już na ich drogi opadają włosy.
 Skaczą pośpiesznie, byle umrzeć, byle
 Gdzieś w polu złożyć głów nieżywych kłosy.

Złożyli martwe głowy, jeszcze drgają.
A trzody leśne głupio, ślepo, wiernie
Stoją i w brzuch im rogi pogażają.
Grób im stworzyły balsamy i ciernie.

Morza stanęły. Na falach okręty
Wiszą gnijące, zbiedzone, stroskane,
I żaden wietrzyk nie powieje święty,
Dziedzińce wszystkich nieb pozamykane.

Już drzewa w porach się nie odmieniają
I wiecznie martwe w zakończonej walce
Ponad zapadłe drogi szapierzają
Drewniane, długie, wysuszone palce.

Kto umarł, ten się wznosi w nowym bycie.
Jeszcze brzmią słowa przezeń wymawiane,
Nagle go niema. Gdzie jest jego życie?
A oczy jego jak szkło są złamane.

Cienie są liczne. Schowane, zmacone.
I sny, co szumią pod niememi drzwiami.
Gdy oczy przejrzą, blaskiem dnia olśnione,
Strząść muszą szary sen, który je mami.

Tłum. Witold Hulewicz.

FRANZ WERFEL

(ur. 1890)

PIEŚŃ PIJACKA

Jak pijacy jesteśmy
nad własnym pochyleni mordem.
Chwiejni w delfickiem
zamgleniu dwuznacznem.
Jakaż tajemnica?
Któż stuka tam?
Tajemnicy żadnej.
Nie stuka nikt.
Pozwól nam żyć!
Ostateczną się upić próżnością —
niech nas upoi, ogłuszy.
Kłamstwa miłą pozostaw
ojczyznę karmiącą!
Skąd żyjemy,
nie wiemy...
Gwarzymy tu i tam
przypadkowe słowa lub inne.
Nocą z czarnej wody rąk wyciągniętych
widzieć nie chcemy.
Las ciemny dokoła?
Dzwonnica ponad wierzchołki?
Precz! Precz,
żyjemy tu, tam.
Podaj czarnego snu nam kruż!
Pozwól żyć tylko
i pić, i pozwól pić!

Tłum. Stanisław Kubicki.

HEKUBA

Nieraz idzie ona przez noc ziemi —
Z biednych najbiedniejsze serce ziemi.
Zwolna wieje pod gwiazdami, liśćmi
I skroś drogę, drzwi i tchu wędrowni —
Stara matka, najnędzniejsza z matek.

Tyle mleka miała niegdy w piersiach,
Tylu synów trzeba było karmić.
Niemasz ich! — Dziś wieje w noc na ziemi,
Stara matka — światła rdzeń — wygasła,
Jak się toczy dalej zmarzła gwiazda.

Pod gwiazdami, liśćmi tak powiewa,
Nocą przez tysiące zgasłych komnat,
Pośród śpiących matek, kobiet młodych,
Wieje mimo łóżek z siateczkami,
Mija krągły, jasny sen dzieciątek.

Czasem staje u wezłowia łóżka
I spogląda wkoło tak cierpiąca —
Ona, nikły wiew, przez ból stworzony —
Że dopiero w niej się ból stał ciałem,
I światełka w martwych lampach płaczą.

A kobiety schodzą ze swych łóżek —
Gdy powiała hen — nagiemi kroki...
Długo siedzą nad śpiącymi dziećmi
I powoli patrzą w izby mętność,
W oczach — lzy nierozumianych cierpień.

Tłum. Alfred Tom.

Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.